Cenckiewicz o Wałęsie

Polska zmienia politykę **w sprawie Ukrainy?**

Gdzie są pieniądze **z sejfu KOD**

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829
Nakład: 110 tys. egzemplarzy

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)
NR 6/208 6–12 LUTEGO 2017

PIOTR GOCIEK O MICHALINIE WISŁOCKIEJ

65 LAT NA TRONIE
ELŻBIETA II – KRÓLOWA LUDZKICH UMYSŁÓW

Jarosław Kaczyński w ostrym wywiadzie dla „Do Rzeczy”:

Muszę sam być opozycją wobec rządu

eprasa.pl 2088586fa3

ZDROJOWA HOTELS®

2017 WAKACJE FIRST MINUTE

DO 20% TANIEJ

REZERWUJ PRZED INNYMI

HOTELE W NAJPIĘKNIEJSZYCH KURORTACH™

REZERWACJA +48 91 40 40 400 • WWW.ZDROJOWAHOTELS.PL

WWW.MARINEHOTEL.PL
Marine Hotel***** & Ultra Marine
KOŁOBRZEG

WWW.DIUNEHOTEL.PL
Diune Hotel***** & Resort
KOŁOBRZEG

WWW.SANDHOTEL.PL
Sand Hotel****
KOŁOBRZEG

WWW.JANTARSPA.PL
Jantar Hotel*** & SPA
KOŁOBRZEG

WWW.BLVD.PL
Boulevard Ustronie Morskie
USTRONIE MORSKIE

WWW.BALTICPARK-MOLO.PL
Baltic Park Molo Apartments
ŚWINOUJŚCIE

WWW.CRISTAL-RESORT.PL
Cristal Resort Szklarska Poręba
SZKLARSKA PORĘBA

OFERTA WAŻNA DO 28.02.2017

eprasa.pl 2088586fa3

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Kto grozi Europie

Donald Tusk zabrał głos w sprawie przyszłości UE. A właściwie nie tyle zabrał głos, ile zakrzyknął: wysłał list do 27 przywódców państw Unii i ostrzegł przed Donaldem Trumpem, nowym prezydentem USA. Obok masy sloganów i typowej unijnej nowomowy pojawiły się tam stwierdzenia mocniejsze – takie, które w ustach przewodniczącego Rady Europejskiej mogą zaskakiwać.

Były polski premier najpierw stwierdził, że „niepokojące deklaracje nowej administracji amerykańskiej czynią naszą przyszłość w wysokim stopniu nieprzewidywalną". Następnie zaś dodał, że „po raz pierwszy w naszej historii coraz bardziej wielobiegunowy świat zewnętrzny staje się jawnie antyeuropejski lub – w najlepszym wypadku – eurosceptyczny. Szczególnie zmiana w Waszyngtonie stawia Unię Europejską w trudnej sytuacji; nowa administracja zdaje się kwestionować ostatnie 70 lat amerykańskiej polityki zagranicznej". Nic dziwnego, że takie słowa musiały wywołać reakcję. BBC wprost napisało, że „Tusk widzi Trumpa jako zagrożenie dla Europy", a portal Politico uznał, że „Tusk potępił »niepokojące deklaracje« administracji amerykańskiej". Ten list, który miał służyć obronie UE i który dlatego spotkał się z uznaniem dużej części lewicowych elit – tak polityków, jak publicystów – jak w soczewce pokazuje wszystkie problemy i słabości obecnej Unii.

Po pierwsze, o ile wiadomo, kto wybrał Trumpa na prezydenta USA, a byli to amerykańscy wyborcy, o tyle nie jest jasne, w jaki sposób i dlaczego został wybrany Tusk. Z pewnością nie wygrał w żadnych powszechnych europejskich wyborach. Nie ma też realnego mandatu do zabierania głosu w imieniu mieszkańców Europy. Jest po prostu sekretarzem i organizatorem prac szefów państw, szumnie nazywanym prezydentem Europy. Tak jak Unia jest fikcyjnie jednym państwem, tak Tusk jest jej fikcyjnym szefem. To, że napisał list, który może sprawiać wrażenie, jakby faktycznie występował do liderów Unii jak równy do równych, jest zatem wyłącznie działaniem teatralnym. Być może pozwoli mu jeszcze raz zdobyć mandat na kolejne dwa i pół roku, jednak na pewno ani ten list, ani żadne inne działania nie zmienią tego, że Tusk liderem Unii nie jest.

Mniejsza jednak o to. Ważniejsze jest co innego, a mianowicie treść. Próbując zdobyć sympatię europejskich przywódców, Tusk pisze tak, jakby głównym problemem Unii było postępowanie nowej administracji w Waszyngtonie. Nie tylko faktycznie atakuje jedynego prawdziwego gwaranta europejskiego bezpieczeństwa, czyli właśnie Trumpa, lecz także – gorzej – nie potrafi ani nie chce dostrzec realnych przyczyn kryzysu Unii. Czy to Donald Trump doprowadził do Brexitu czy nieudolność i dążenie do poszerzenia kompetencji brukselskich urzędników, z Tuskiem na czele? Albo jeszcze ważniejsze pytanie: Czy źródłem obecnych problemów i katastrofy unijnej polityki imigracyjnej jest Trump czy sama Bruksela? Próba przerzucenia na nowego prezydenta USA odpowiedzialności wydaje się dość dziwaczna. To przecież Tusk, Angela Merkel i François Hollande odpowiadają za absurdalną i niebezpieczną politykę otwierania granic Europy przed setkami tysięcy muzułmańskich przybyszów. To oni nie dopełnili podstawowego obowiązku ochrony granic Europy!

List Tuska jest kolejnym dowodem oderwania się europejskich elit od rzeczywistości. Jest też niepokojącym znakiem, że właśnie takie oderwanie wciąż może zapewnić sukces. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl 2088586fa3

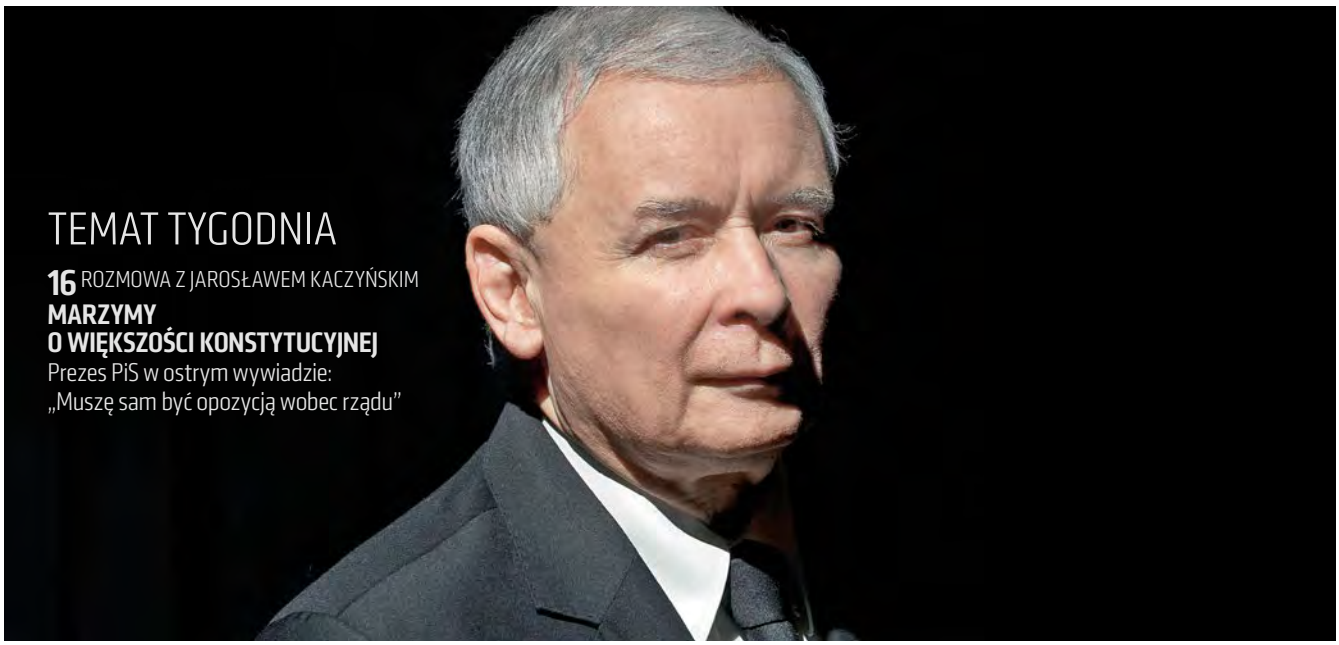

TEMAT TYGODNIA

16 ROZMOWA Z JAROSŁAWEM KACZYŃSKIM
MARZYMY O WIĘKSZOŚCI KONSTYTUCYJNEJ
Prezes PiS w ostrym wywiadzie: „Muszę sam być opozycją wobec rządu”

KRAJ

22 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
WAŁĘSA, CZYLI „BOLEK”
Jednoznaczna opinia grafologów

26 KAMILA BARANOWSKA
CIOS W REPRYWATYZACYJNĄ MAFIĘ

28 MARCIN MAKOWSKI
TAJEMNICA SEJFU KOD

30 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
JAK KRĘCI NITRAS

32 WOJCIECH WYBRANOWSKI
ŚLEDCZA OD UMORZEŃ

34 PIOTR SEMKA
MUZEUM WOJNY POLSKO-POLSKIEJ

37 ŁUKASZ WARZECHA
POLSKA ROZBROJONA

40 KATARZYNA PINKOSZ
BUDZENIE ŚPIOCHÓW

KULTURA

42 PIOTR GOCIEK
SZTUKA KOLORYZOWANIA
Seks w PRL

45 KRZYSZTOF MASŁOŃ
CONRAD: POLAK Z WĄTPLIWOŚCIAMI

48 ANDRZEJ HORUBAŁA
NIE-MĄDRY UŚMIECH Z KRAKOWA

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
MALTAŃSKIE ZAMIESZANIE
Superwładza papieża Franciszka

60 TOMASZ KWAŚNICKI
PIS PRZESTAWIA WAJCHĘ

HISTORIA

64 PIOTR SEMKA
GOLEM WIECZNIE ŻYWY
Mit Golema w żydowskiej tradycji – wyraz dumy z wiedzy i ostrzeżenie przed stawianiem się w roli Boga

68 ADAM PRZECHRZTA
OSTATNIA SZANSA IMPERIUM

ŚWIAT

72 GRZEGORZ DRYMER Z LONDYNU
SZAFIROWY JUBILEUSZ ELŻBIETY II
Elżbieta II panuje od 65 lat. Żaden brytyjski monarcha nie zasiadał na tronie tak długo

75 SZEWACH WEISS
DONALD TRUMP I STARY IZRAEL

76 PIOTR WŁOCZYK

RACHUNEK ZA MULTI-KULTI

EKONOMIA

78 STEFAN SĘKOWSKI
NADAL NA CHIŃSKIM SZLAKU
Polski biznes w Państwie Środka

80 ROZMOWA Z RYSZARDEM FLORKIEM
MĄDROŚĆ GOSPODARCZA

82 JACEK PRZYBYLSKI
UŁÓŻ WŁASNY BUDŻET

86 JACEK PRZYBYLSKI
JAK PRZEKAZAĆ MAJĄTEK BLISKIM?

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, KOWALCZUK (8), WARZECHA (9), GMYZ, GOCIEK (14), POSPIESZALSKI (54), ZALEWSKI, WOLSKI (62), ZYCHOWICZ, KOPER (67), GABRYEL, RYBIŃSKI (88), KOMUDA (92), TYRMAND (96), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl 2088586fa3

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu w naszej rubryce ostry protest naszej czytelniczki. Inne gorące komentarze można znaleźć na naszym portalu DoRzeczy.pl, na który tradycyjnie zapraszamy.

„Sędziów należy potraktować poważnie”

Ze zdumieniem przeczytałam w ostatnim numerze „Do Rzeczy” wypowiedź Wiesława Johanna, byłego sędziego Trybunału Konstytucyjnego, który w wywiadzie udzielonym Łukaszowi Zboralskiemu ocenia pracę kobiet w sądach. Na pytanie o ocenę środowiska sędziowskiego (a konkretnie: czy można na nim polegać, skoro samo ma problemy, żeby wyegzekwować we własnych szeregach dyscyplinę) sędzia Johann odpowiada: „Żadne środowisko nie może o sobie powiedzieć, że jest kryształowo czyste. […] Charakterystyczny jest pewien okres, gdy mieliśmy dużo kobiet w sądach. Nie mam nic przeciwko sędziom kobietom, są znakomite, wspaniałe. Tylko w mojej ocenie praca wielu pań nie była efektywna. Tak sobie układały program zajęć, że miały jedną lub dwie sesje w tygodniu, kolejny dzień to dyżur, a cztery dni opiekowały się domem i dziećmi”.

A w następnym zdaniu sędzia dodaje: „Nie chcę się wypowiadać na temat środowiska, bo nie czuję się upoważniony”.

Chciałam wyrazić swoje oburzenie tymi słowami i tym, że redaktor nie dopytał o konkrety, o to, skąd sędzia (nieupoważniony – jak sam mówi – do oceny środowiska) czerpie swoją wiedzę o pracy kobiet w sądach (używając protekcjonalnej formy: „pań”!). Na jakiej podstawie opiera swoje oceny? Czy są to statystyki, listy obecności, grafiki dyżurów czy wiedza czerpana z głowy, czyli z niczego? I najważniejsze: Kto mu dał upoważnienie do oceny części środowiska? Akurat tej części.

Mam prawo sądzić, że ocena ta jest niesprawiedliwa, a nawet krzywdząca. Moim zdaniem wynika z powszechnego dziś lekceważenia pracy, wykształcenia i znaczenia kobiet. Z przekonania, że o kobietach można powiedzieć wszystko, ponieważ żadna z nas nie zaprotestuje. A jeśli zaprotestuje, to męska część środowiska ją wyśmieje, że przecież nie ma się o co oburzać, człowiek nie powiedział niczego złego. I ostatecznie chodzi o to, żeby kobiety się nie rzucały, a jeśli któraś z nas się odważy, to mężczyźni będą mogli nam powiedzieć, że jesteśmy histeryczkami i w związku z tym nie da się z nami rozmawiać, pracować i same jesteśmy sobie winne. Protestuję przeciwko takiemu traktowaniu kobiet.

(imię i nazwisko do wiadomości redakcji)

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępcy redaktora naczelnego: **Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM:
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Edyta Hołdyńska, Jarosław Kałucki, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Matthew Tyrmand, Paweł Wawrzyński, Szewach Weiss, Piotr Wierzbicki, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski**

DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac**
Współpraca: **Miłosz A. Lodowski**

Studio graficzne: **Mariusz Daruk-Skarbek** (szef studia), **Wojciech Niedzielko** (grafik prowadzący), **Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa, Mirosław Owczarek**
Okładka: **Marcin Kaliński/Wprost/PAP**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: **Michał Staszewski** (kierownik marketingu i sprzedaży)
reklama@dorzeczy.pl; tel. + 48 692 46 40 80

PUBLIC RELATIONS: **Anna Pawłowska-Pojawa** (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Karolina Olchowik (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, *tel.:* +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 110 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

REKLAMA

WEŹ UDZIAŁ!
V EDYCJA 26 LUTEGO 2017
zapisy na: www.tropemwilczym.pl

ORGANIZATOR GŁÓWNY
WSPÓŁORGANIZATORZY
PATRONAT HONOROWY
MECENAT
PARTNERZY
PARTNER BIEGOWY
PATRONAT MEDIALNY

eprasa.pl 2088586fa3

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Nie ma triumfu, jest smutek

Spór o autentyczność donosów Lecha Wałęsy na kolegów ze stoczni został wreszcie rozstrzygnięty. Sprawa, która wlokła się za Wałęsą od końca lat 70., a publicznie od dramatycznego 4 czerwca 1992 r., znalazła swój finał.

Oczywiście różni pełnomocnicy byłego prezydenta w rodzaju Jana Widackiego będą jeszcze długo żądać kolejnych ekspertyz i udowadniać fałszerstwa SB, ale to już tylko polityczny rytuał. Nawet historycy broniący byłego lidera Solidarności, tacy jak Andrzej Friszke i Jan Skórzyński, nie negują współpracy TW „Bolka" z bezpieką.

Agnieszka Romaszewska napisała niedawno: „Sprawę Wałęsy i ja mam wygarbowaną na skórze i całe pokolenie młodych, tzw. prawicowych dziennikarzy lat 90. Dobrze ją zapamiętaliśmy". Dla mojej generacji, dziś 50-latków, to zamknięcie sporu, który dusił nas uczuciem zakłamania życia publicznego.

Widzieliśmy zbyt wiele razy, jak desperacka ucieczka Wałęsy od prawdy niweczy szanse na budowę zdekomunizowanej, nowej Rzeczypospolitej na zdrowych zasadach. Zdumiewaliśmy się, gdy w obronie Wałęsy zamykano oczy na wyraziste przesłanki każące zadawać pytanie o jego współpracę z SB.

Dzisiaj, gdy już spór rozstrzygnięto, słyszymy ze strony obrońców byłego prezydenta, że nic ważnego się nie stało, bo wszyscy wiedzieli, iż Lech Wałęsa „nie wyszedł z Grudnia '70 zupełnie czysty". Trudno o bardziej perfidny argument. To, że coś zostało podpisane, Wałęsa sam wyznał w „Drodze nadziei". Jednak temu, że współpraca TW „Bolka" trwała latami i była sowicie opłacana, zaprzeczano do upadłego. A sam Wałęsa ścigał pozwami śmiałków, którzy przerywali zmowę milczenia. Parę lat temu Krzysztof Wyszkowski stawał wobec wizji zaboru przez komornika większości mienia na poczet opłacenia emisji w TVN nakazanego przez sąd przeproszenia Wałęsy za nazwanie go agentem. Za napisanie swojej biografii Wałęsy Paweł Zyzak ściągnął na UJ kontrolę nakazaną przez minister Barbarę Kudrycką.

Dzisiaj obrońcy Wałęsy przechodzą na kolejne linie oporu. Ogłaszają światu, że brzydzą się „małymi ludźmi, którzy dziś rzekomo czują triumf, widząc trudne chwile byłego lidera Solidarności". I kolejna reduta oporu – ogłaszanie, że za 10 czy 20 lat Wałęsa i tak będzie przedstawiany w podręcznikach jako bohater, a o jego domniemanych prześladowcach wszyscy zapomną.

Jak będzie – nie wiemy, ale jednego jestem pewien. Obóz III RP broni Wałęsy na zasadzie kontry do PiS, a nie z racji jakiegoś specjalnego sentymentu do panny „S". Gdyby było inaczej, powstawałyby już liczne filmy o wolnościowym karnawale z lat 1980–1981 czy epopei podziemia z lat stanu wojennego. Owszem, do obrony Wałęsy używa się osoby Frasyniuka czy Lityńskiego – kolegów z okresu burzy i naporu – ale nie wiąże się to z żadnym sentymentem do robotniczej pokojowej rebelii.

Sprawa TW „Bolka" została wyjaśniona. Nie czuję triumfu. Raczej smutek, że egoizm Wałęsy zmarnował nam tyle szans po 1989 r. Tego czasu nikt nam nie zwróci. ©℗

FOT. AP/EAST NEWS

TERRORYSTA ZAATAKOWAŁ POD LUWREM

„Allahu Akbar" – wykrzykiwał mężczyzna, który w piątek zaatakował maczetą patrol pod Luwrem w Paryżu. Islamiście udało się niegroźnie ranić jednego z żołnierzy, zanim został postrzelony przez drugiego z wojskowych. Poważnie ranny napastnik trafił do szpitala. Francuski premier Bernard Cazeneuve przyznał, że incydent „miał charakter terrorystyczny". Po zamachach Państwa Islamskiego we Francji od 2015 r. obowiązuje stan wyjątkowy. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 2088586fa3

Dobra Szkoła

Drodzy Rodzice i Opiekunowie,

rozpoczynamy kolejny etap reformy edukacji. Chcemy przejść przez niego wspólnie z Państwem.

Nowe zasady wejdą w życie 1 września 2017 roku. Naszym celem jest naprawa polskiej oświaty. **Szkoła powinna być przede wszystkim nowoczesna, przyjazna i bezpieczna,** z dobrze przygotowaną i uczciwie wynagradzaną kadrą pedagogiczną.

Zmierzamy do **zmniejszenia liczby dzieci w klasach, ograniczenia dwuzmianowości i konieczności dowożenia uczniów do szkół.** Przywracamy 4-letnie liceum ogólnokształcące, zwiększając liczbę godzin historii i przedmiotów przyrodniczych.

Wspólnie z Ministerstwem Cyfryzacji zapewnimy dostęp do szerokopasmowego internetu we wszystkich szkołach. Położymy nacisk na **naukę języków obcych, znajomość informatyki i matematyki**. Zadbamy o cyberbezpieczeństwo Waszych dzieci. Każdy uczeń w szkole otrzyma **bezpłatny podręcznik i materiały ćwiczeniowe.**

Reforma edukacji to także nowy typ szkoły zawodowej, zwanej teraz branżową. 1 września 2017 r. uruchomimy branżowe szkoły I stopnia, zaś w 2020 roku – branżowe szkoły II stopnia. Po ich ukończeniu i zdaniu matury, uczeń będzie mógł kontynuować naukę na wybranym kierunku studiów.

Reforma jest dobrze przygotowana i przemyślana. Jej wprowadzanie to wieloletni proces. Będziemy ją wdrażali etapowo aż do 2023 r. W Ministerstwie Edukacji Narodowej utworzyłam zespół do spraw wdrażania reformy. We współpracy z kuratoriami oświaty będzie on stale monitorował sytuację w regionach.

Przy wprowadzaniu zmian chcemy być blisko Państwa. Do końca marca 2017 r. kuratorzy oświaty i wojewodowie będą spotykali się z Państwem oraz nauczycielami, dyrektorami szkół i samorządowcami. Zapraszam do udziału w tych spotkaniach. Proszę o Państwa pytania i opinie. **Wspólnie zadbamy o dobrą szkołę.**

Z poważaniem
Anna Zalewska

Minister Edukacji Narodowej

MINISTERSTWO EDUKACJI NARODOWEJ

www.men.gov.pl
www.reformaedukacji.men.gov.pl
www.twitter.com/MEN_GOV_PL
www.facebook.com/Ministerstwo Edukacji.Narodowej

eprasa.pl 2088586fa3

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Popularka wymaga ofiary

Bardzo specyficzną cechą naszego narodu jest bezbrzeżna skłonność do ujmowania się za pokrzywdzonymi. Inni podziwiają zwycięzców i championów, dla „losera" nie mając empatii – u nas przeciwnie. U nas nawet kult Piłsudskiego w większym stopniu niż na jego zwycięstwach bazuje na jojczeniu, jak to biednego Dziadka strasznie atakowały i zniesławiały różne zaplute karły endecji – co dopiero mówić o kulcie współczesnej narodowej ofiary, agenta „Bolka", któremu źli ludzie wciąż wyciągają, że był „Bolkiem", zamiast docenić, że gdyby nim nie był, Breżniew kazałby cały strajk razem ze stocznią zbombardować w kibini mater i tyle.

Politycy łasi są na każdą okazję, by się przedstawić jako ofiara prześladowań

Skoro najlepszą drogą do zdobycia sympatii ogółu jest przedstawić się jako ofiara, to rzecz jasna, że politycy łasi są na każdą okazję, by się przedstawić jako ofiara prześladowań. Taki właśnie bój toczy obecnie Ryszard Petru, który – po tym, jak lider totalnie się zdyskredytował, ogłaszając powstanie i urywając się z niego z laską na urlopik, a potem stracił powagę i stał się lowelasem z tabloidów – dostał ostatnią szansę od TVP i redaktora Macieja Pawlickiego.

Żeby nie było nieporozumień, pomysł Pawlickiego, by rozpocząć program o „fejkowych niusach" od „fejkowego niusa" o aresztowaniu Ryszarda P. za szpiegostwo, uważam za kompletnie chybiony. Niemniej rezonans programu „Studio Polska" był daleko mniejszy od osławionego słuchowiska Orsona Wellesa o najeździe na ziemię Marsjan. Ponoć parę osób nabrało się i puściło „fejk" w Internecie, nie zaczekawszy na dalszy ciąg programu, ale generalnie dla wszystkich było oczywiste, z czym mają do czynienia. Histeria, z jaką przyjęli rzecz politycy Nowoczesnej (od następnego dnia, bo w samym programie uczestniczyli do końca), jest – delikatnie mówiąc – grubo przesadzona. I gołym okiem widać w niej rozpaczliwą próbę przykrycia wizerunkowych kłopotów partii i jej lidera.

Na swoje szczęście redaktor Pawlicki został za ten program usunięty z anteny. Teraz więc także on może robić za cierpiętnika. I za ofiarę nagonki ze strony Petru i Nowoczesnej. ©℗

PIOTR KOWALCZUK Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O wstydzie i świństwie

Rysownicy „Charlie Hebdo" z rewolucyjnym zapałem zdobywają dla satyry obszary, na których noga błazna jeszcze nie postała. Już dotarli i zatknęli flagi postępu tam, gdzie mieszkają ludzka tragedia, rozpacz oraz łzy. Śmierć Włochów zasypanych lawiną w hotelu skwitowali rysunkiem pędzącej na nartach śmierci z kosą i podpisem: „Włochy – spadł śnieg. Ale nie dla wszystkich".

Kiedy w lecie w Italii pod gruzami zginęło ponad 300 osób, paryscy żartownisie pod tytułem „Trzęsienie ziemi po włosku" narysowali lasagne, w której spomiędzy warstw ciasta wystają ręce i nogi ofiar, a kluski są we krwi zamiast w sosie pomidorowym.

Te żarty są żałosne z wielu powodów. Po pierwsze, nie są śmieszne. Wywołują za to zażenowanie i palący policzki wstyd. W „Charlie Hebdo" libertyńska ideologia zwyciężyła nad poczuciem humoru i zwykłą przyzwoitością. Oczywiście w imię przekonań, że satyra nie zna granic i wyśmiać można wszystko, a człowiek wolny z żartami kosztem innych nie ma żadnego problemu. Wszak jego wolność jest najważniejsza.

Tylko raz egotystów opuściło poczucie humoru: gdy dwóch zamachowców położyło trupem połowę redakcji za żarty z islamistów. Wtedy w „Charlie Hebdo" nie było nikomu ani do śmiechu, ani do rysowania.

Cóż, rączka świerzbi, ale żartownisiów ukarać nie można. Sytuacja przywodzi nieco na myśl anegdotę o egzaminie na wydziale prawa. Profesor: „Płaci pan rachunek w restauracji i zostawia 10 zł napiwku pod swoim talerzykiem. A pana współbiesiadnik niepostrzeżenie przesuwa banknot pod swój. Jakby pan to zakwalifikował?". Student bez namysłu rzuca: „Kradzież!". A profesor na to: „Nie, drogi panie. To jest zwykłe świństwo". ©℗

eprasa.pl 2088586fa3

ŁUKASZ WARZECHA

NOTES MALKONTENTA

Sędziowie nie są już monolitem

Reakcję Krajowej Rady Sądownictwa na propozycje zmian w ustroju tejże, przygotowane przez ministra Ziobrę, można było przewidzieć, a może nawet rozpisać na role ze sporym wyprzedzeniem. Można było zatem przewidzieć, że będzie o naruszaniu konstytucji, o próbie politycznego wpływania na sądy i ręcznego nimi sterowania, o zamachu na sędziowską niezawisłość, o zastraszaniu sędziów itp., itd. Zieeeew. Nic nowego.

A jednak choć tę śpiewkę znamy doskonale od czasów urzędowania Lecha Kaczyńskiego w Ministerstwie Sprawiedliwości, to sytuacja nie jest dziś identyczna jak wtedy. Dzisiaj błędem byłoby mówić, że jest to postawa środowiska sędziowskiego jako całości. Środowisko sędziowskie nie jest już monolitem, bo wielu sędziów – zwłaszcza młodszych, niepełniących żadnych funkcji, na których dziś spoczywa największy ciężar orzekania – w innych propozycjach ministerstwa upatruje dla siebie szansy. Szczególnie w tych, które mogą spłaszczyć hierarchię sędziowską i, co bardzo ważne, zaprząc do orzekania sędziów funkcyjnych, dziś prowadzących łaskawie dwie sprawy w miesiącu. Z punktu widzenia młodych i przeciążonych pracą lamenty sędziowskiej elity o zamachu na demokrację są mało istotne, zaś większa swoboda, jakiej Ziobro chce dać prezydentowi przy mianowaniu sędziów, adeptów profesji może tylko cieszyć.

W ogóle zresztą wygląda na to, że Ziobro wiele się nauczył, nie tylko w swojej relacji z sądami. Od prezesa jednej z wojewódzkich izb notarialnych, bynajmniej nie sympatyzującego z partią rządzącą, słyszę: „Dobrze mi się współpracuje z tą ekipą. Dostaję konkretne odpowiedzi z ministerstwa na swoje zapytania, bez zwłoki, bez kluczenia, wiem, na czym stoję. Inaczej niż wcześniej”.

Jeśli sędziom dziś zasiadającym w KRS wydaje się, że swoimi jeremiadami zmobilizują kogokolwiek do położenia się Reytanem w obronie status quo, to grubo się mylą. Nawet jeśli proponowany sposób wybierania członków rady może budzić pewne wątpliwości (aczkolwiek, jak słusznie wskazuje minister, mieści się całkowicie w europejskiej średniej). Nie tylko nie mogą liczyć na zrozumienie opinii publicznej, która ma do sędziów stosunek – mówiąc delikatnie – pełen rezerwy, na co sami sędziowie sobie wydajnie zapracowali przez lata. Nie mogą nawet liczyć na bezwzględne i bezwarunkowe wsparcie całego własnego środowiska. Duża jego część tylko czeka, żeby zachwiała się pozycja dominującej elity. Ich sojusznikiem, nawet jeśli bez miłości, jest dziś Zbigniew Ziobro, a nie sędzia Waldemar Żurek. ©℗

REKLAMA

KSIĘGARNIA

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

WYBIERAMY
RECENZUJEMY
REKOMENDUJEMY

DO KAŻDEGO ZAMÓWIENIA POWYŻEJ 49 ZŁ

PREZENT

Konieczna rejestracja w sklepie.
Oferta ważna do 19 lutego 2017 r.

1. 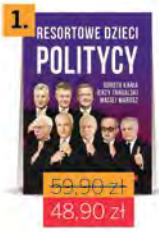

59,90 zł
48,90 zł

2.

34,90 zł
24,90 zł

3.

59,00 zł
39,00 zł

4.

39,90 zł
25,90 zł

5.

49,90 zł
29,90 zł

ZAMÓW:
www.ksiegarniadorzeczy.pl
12 431 25 78

eprasa.pl 2088586fa3

Cenny rękopis wrócił do Polski

Rękopis zaprezentowano na konferencji z udziałem m.in. wicepremiera Piotra Glińskiego i prezesa grupy PZU Michała Krupińskiego FOT. JACEK TURCZYK/PAP

Niezwykle cenny i piękny, bogato zdobiony, renesansowy rękopis „Godzinek" Jakuba Wargockiego z XV w. powrócił do Polski. Wolumin zakupiła Biblioteka Narodowa dzięki mecenatowi Fundacji PZU. Rękopis stworzony z użyciem płatków złota zaprezentowano podczas konferencji prasowej w Pałacu Rzeczypospolitej w Warszawie, na której obecni byli wicepremier, minister kultury i dziedzictwa narodowego Piotr Gliński oraz prezes grupy PZU Michał Krupiński.

Luksusowy i bogato zdobiony rękopis „Godzinek" Jakuba Wargockiego został wykonany w latach 1470–1500 we Florencji dla rodu Guccich. Do Polski trafił najprawdopodobniej jako własność Carla Gucciego, który przybył tu wraz z dworem królowej Bony ok. 1518 r. Włoski kupiec prowadził w Polsce aktywną działalność, pełniąc funkcję m.in. żupnika generalnego ruskiego. Po śmierci został pochowany w katedrze przemyskiej.

Z Przemyślem związane są późniejsze losy rękopisu, który został przekazany lub sprzedany Jakubowi Wargockiemu, rajcy przemyskiemu i finansiście. Jak wynika z ekspertyz, wolumin nie służył jedynie jako zabezpieczenie majątkowe, swego rodzaju lokata inwestycyjna, ale był stale użytkowany, o czym świadczy uzupełnienie w postaci dodatkowych kart pergaminowych, na których zawarto listę świąt ruchomych oraz kilka dodatkowych modlitw.

– Rękopis jest źródłem mówiącym o niezwykłej Polsce XVI w., kraju bogatym również w sztukę. Niestety na skutek wojen dziś mamy jedynie fragment tego obrazu bogatej Polski. Niewiele się zachowało. Około 70 proc. zasobów naszej kolekcji zniknęło w trakcie II wojny światowej – mówi dr Tomasz Makowski, dyrektor Biblioteki Narodowej. Jak dodał, historia rękopisu jest zagadkowa, ponieważ „Godzinki" Wargockiego kilkakrotnie ginęły. Ostatecznie odnalazły się pod koniec 2016 r. na aukcji w Londynie. Po starannym sprawdzeniu pochodzenia Biblioteka Narodowa zakupiła rękopis dzięki mecenatowi Fundacji PZU. – Misją PZU i Fundacji PZU jest również dbałość o polską historię i nasze dziedzictwo narodowe. Ta akcja się w nią w pełni wpisuje – mówi tygodnikowi „Do Rzeczy" Andrzej Jaworski, wiceprezes PZU.

To pierwszy od lat powrót tak cennego renesansowego woluminu. Rękopis został zdigitalizowany i umieszczony w cyfrowej Bibliotece Narodowej Polona.pl.

– Chciałem powiedzieć, że to jest faktycznie przyjemny obowiązek wsparcia tego typu działań. Dowodzą one wysokiego poziomu funkcjonowania polskiej książnicy narodowej. Wiemy, co jest cenne dla polskiej kultury – mówił wicepremier Piotr Gliński. Zauważył w tym miejscu rolę Fundacji PZU, która wsparła inicjatywę pozyskania „Godzinek" Jakuba Wargockiego. – To właściwe działanie polskiej firmy, która tę polskość utrwala poprzez wsparcie kultury. Mamy bardzo wiele do zrobienia w tym zakresie – dodał minister kultury i dziedzictwa narodowego. ©℗

Paweł Ozdoba, ww

NAGRODY DLA DZIENNIKARZY „DO RZECZY"

Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich przyznało swoje coroczne nagrody. Główna Nagroda Wolności Słowa trafiła do Pawła Lisickiego, redaktora naczelnego naszego tygodnika. Wśród wyróżnionych są także inni publicyści „Do Rzeczy".

Zarząd Główny Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w ubiegłym tygodniu zdecydował o przyznaniu szczególnej nagrody za – jak uzasadniono w trakcie uroczystości – publikację w obronie demokracji i praworządności demaskującą nadużycia władzy, korupcję, naruszanie praw obywatelskich i praw człowieka. Główną Nagrodę Wolności Słowa za „Krew na naszych rękach?" otrzymał Paweł Lisicki, redaktor naczelny tygodnika „Do Rzeczy". Jego książka to rozliczenie z często powtarzanymi oskarżeniami Polaków o współudział w zagładzie Żydów.

Paweł Lisicki z nagrodą SDP
FOT. TOMASZ GZELL/PAP

Równorzędne II nagrody w tej kategorii otrzymali Jolanta Hajdasz za film dokumentalny „Żołnierz niezłomny Kościoła" oraz Maciej Kuciel za reportaż „Sędzia" (Superwizjer TVN).

Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich nagrodziło również dziennikarza „Do Rzeczy" Marcina Makowskiego. Otrzymał on Nagrodę im. Adolfa Bocheńskiego dla dziennikarzy do 30. roku życia za trzy artykuły: „Idealna krucjata przeciw Polsce", „Celebryctwo" oraz „Świat Applebaum i Sikorskiego", opublikowane na łamach naszego tygodnika.

Wśród wyróżnionych dziennikarskimi nagrodami jest również Błażej Torański, który otrzymał II nagrodę im. Janusza Kurtyki za publikacje o tematyce historycznej. Wyróżniono w ten sposób jego opublikowane w „Do Rzeczy" artykuły: „Nie ma wolnych mediów", „Cenzorów uczono prawdy o historii Polski" oraz opublikowany na łamach „Odry" tekst „Starałem się nie kłamać".

Laury SDP to polskie nagrody dziennikarskie wzorowane na amerykańskiej Nagrodzie Pulitzera. ***(ww)*** ©℗

eprasa.pl 2088586fa3

Służby kontra dziennikarze

Śledztwo w sprawie inwigilacji dziennikarzy w latach 2007–2015, prowadzone przez krakowską prokuraturę, zostało przedłużone do 7 czerwca

O prowadzonej na szeroką skalę w okresie rządów PO-PSL inwigilacji dziennikarzy jako pierwszy napisał tygodnik „Do Rzeczy". Opublikowaliśmy wówczas listę nazwisk dziennikarzy, którzy mieli być rozpracowywani przez służby. Nasze informacje potwierdził 11 maja 2016 r. podczas wystąpienia w Sejmie minister Mariusz Kamiński, przedstawiając informację o audycie w służbach specjalnych za lata 2007–2015. Według niego główna oś działań służb dotknęła dziennikarzy pracujących w latach 2009–2010 w „Rzeczpospolitej", piszącej wówczas o aferze hazardowej. Obecnie pracują oni m.in. w tygodniku „Do Rzeczy".

Śledztwo wszczęte najpierw w warszawskiej prokuraturze okręgowej zostało przeniesione do Krakowa. Prowadzone jest w sprawie „przekroczenia w latach 2007–2015 uprawnień przez funkcjonariuszy Służby Kontrwywiadu Wojskowego, Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego oraz Centralnego Biura Antykorupcyjnego w związku z prowadzonymi czynnościami operacyjno-rozpoznawczymi wobec szeregu osób". Na razie nikomu nie postawiono zarzutu popełnienia przestępstwa.

– Na obecnym etapie śledztwa prowadzone są przesłuchania obecnych oraz byłych funkcjonariuszy służb, których działania objęte są zakresem prowadzonego śledztwa – powiedział nam prok. Włodzimierz Krzywicki, rzecznik Prokuratury Regionalnej w Krakowie. Dodał też, że okres śledztwa został przedłużony postanowieniem prokuratora krajowego do 7 czerwca 2017 r. ©℗ ***(ww)***

PREMIERA KSIĄŻKI JERZEGO JACHOWICZA

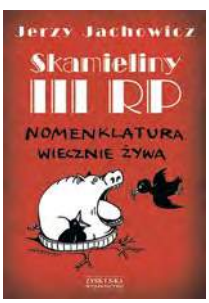

Jerzego Jachowicza większości czytelników chyba nie trzeba przedstawiać. 9 lutego odbędzie się premiera jego nowej książki „Skamieliny III RP". Kolejna publikacja Jerzego Jachowicza, prekursora dziennikarstwa śledczego, byłego dziennikarza „Uważam Rze", współpracownika Radia Wnet, „Gazety Polskiej", stałego komentatora tygodnika „W Sieci", mocno różni się od jego wcześniejszych dzieł. „Skamieliny III RP. Nomenklatura wiecznie żywa" to nie, jak zdążył nas już przyzwyczaić autor, zbiór reportaży o największych aferach i zbrodniach, które wstrząsały Rzecząpospolitą, lecz ostra, zdecydowana publicystyka polityczna. Jachowicz w serii dowcipnych, finezyjnych tekstów analizuje polską rzeczywistość ostatnich 27 lat, nie stroni od ironii, kpiny, prowadzi z czytelnikiem grę, wiodąc go do celu w sposób, który pozwala na przedstawienie meandrów naszej rzeczywistości.

Znaczna część felietonów, jakie Jachowicz przedstawia w „Skamielinach III RP", była już publikowana m.in. w tygodniku „Uważam Rze" – w okresie, gdy jego redaktorem naczelnym był Paweł Lisicki, w „Gazecie Polskiej", w tygodniku „W Sieci" oraz na portalach internetowych. Książkę wydało wydawnictwo Zysk i S-ka.

Spotkanie z Jerzym Jachowiczem odbędzie się 9 lutego (czwartek) o godz. 18 w kawiarni Niespodzianka Stowarzyszenia Wolnego Słowa przy ul. Marszałkowskiej 7. Poprowadzi je Rafał A. Ziemkiewicz. Książka jest już w księgarniach. ***(ww)*** ©℗

REKLAMA

eprasa.pl 2088586fa3

NIEBANALNYM BYĆ

Celebryta Leszek Stanek korzysta ze swoich pięciu minut popularności, którą zyskał w wyniku udziału w programie „Azja Express". W związku z tym musi udzielać sporo wywiadów. Na przykład o tym, czy nie znudził mu się jeszcze show-biznes. – Blichtr to część integralna show-biznesu, na co my się decydujemy. Jeśli to się nudzi, to zły znak. To tak, jakby ci się praca nudziła. Hejtu jest niewiele, ale dobrze, że jest, bo to nie pozwala nam za bardzo odfrunąć, pozwala nam stąpać po ziemi – opowiadał niedawno. Wiadomo jednak, że pytania o show-biznes to łatwizna, gorzej, jeśli cię zapytają o politykę. Wtedy dopiero zaczynają się schody. I tak oto Lenio został zapytany o ocenę ostatnich decyzji Donalda Trumpa, w tym o jego dekret antyimigracyjny. – Świat możemy zmieniać od siebie. Akceptować, ale też nie godzić się na to, co nam przynosi życie. Jesteśmy odpowiedzialni za siebie i innych – odpowiedział. – Powinno nas to dotykać wszystkich. Nie powinno nas to śmieszyć ani przerażać. Historia lubi się powtarzać, są sytuacje tragiczne i komiczne – dodał. W kategorii „jak coś powiedzieć, by nic nie powiedzieć" Lenio przebił nawet rzecznika rządu, o Paulu Coelhu nie wspominając! Duża rzecz. Marnuje się chłopak w tym show-biznesie.

FELICJAŃSKA I KSIĄŻKI

Trzeba się mieć na baczności, bo Ilona Felicjańska grozi, że zamierza wrócić do pisania książek! Do tej pory wydała już kilka, m.in. „Wszystkie odcienie czerni", czyli thriller erotyczny, który napisała, będąc na odwyku w Tworkach, autobiografię pt. „Cała prawda o...", a także poradnik „Jak być niezniszczalną". Teraz Felicjańska planuje dalszą karierę pisarską i chce stworzyć kolejną powieść miłosną. – Niech ta książka się pisze. Warto pracować nad sobą, warto się stać szczęśliwym człowiekiem, bo to my sami jesteśmy twórcami naszego życia i trzeba w to tylko uwierzyć i zacząć konstruować najpiękniejsze swoje życie – stwierdziła. – Moja obecna sytuacja i wątek miłosny, jaki pojawił się w moim życiu, są tak genialne, piękne i cudowne do tego, aby stworzyć powieść, że być może kiedyś wrócę do powieści, ale tylko tyle powiem na ten temat – zdradziła. Pozostaje mieć nadzieję, że Felicjańska tak bardzo będzie zajęta swoją genialną miłością, iż nie będzie miała czasu o niej pisać. Czego życzymy jej z całego serca. A polskim czytelnikom nawet bardziej.

FOT. MARIUSZ GRZELAK/REPORTER

FOT. PAWEŁ GROMADA

W GŁOWIE DOKTORA GOJDZIA

Krzysztof Gojdź, nazywany ulubionym chirurgiem gwiazd, który w pewnym momencie uwierzył, że sam jest gwiazdą, znów postanowił o sobie przypomnieć. Wyznał, że najlepszą formą relaksu jest dla niego wizyta w SPA. – W SPA odpoczywam i myślę, co chcę w swoim życiu dalej robić. Wystarczy, że każdy poświęci jeden raz czy dwa razy w tygodniu pół godziny, wejdzie do wanny, zrobi peeling twarzy, nałoży jakąś maseczkę, wyciszy się przy świeczkach, każdego myślę, że stać teraz na luksus – stwierdził. – Skupiam się na tym, co jest w mojej głowie, nad swoimi myślami, na tym, co chcę w swoim życiu dalej robić – dodał. Sformułowanie użyte przez pana doktora, że zamierza skupiać się na tym, co ma w głowie, zawiera pewne – naszym zdaniem nazbyt optymistyczne – założenie. Jednak niech próbuje, a co!

NEVERENDING STORY

Tak musiało być! Na wieść o tym, że Isabel Marcinkiewicz, była już żona Kaza, byłego premiera, wydaje książkę o swoim życiu, oświadczenie wydał Kaz we własnej osobie. Wcześniej Isabel ujawniła fragment książki opisujący jej stany emocjonalne w trakcie rozwodu („Cztery razy ściskało mnie w gardle [...] byłam rozedrgana, nogi mi drżały"). Swoje oświadczenie Kaz zatytułował „W obronie własnej". Pisze w nim o „kłamliwym ataku" i wytyka Isabel, że przez kilka lat ich małżeństwa musiał ją utrzymywać. „Odszedłem od Izy cztery lata temu, w marcu 2013 r., po wielu miesiącach kłótni" – pisze. I oskarża Isabel, że nie mogła zaakceptować jego dobrych relacji z dorosłymi dziećmi. Przeprasza również wszystkich za „ciągłą, bezsensowną i kłamliwą obecność swojego życia osobistego w przestrzeni publicznej". Isabel natychmiast odpowiedziała, udzielając wywiadu telewizji śniadaniowej. – Moja książka nie jest o moim mężu, jest o moich historiach i doświadczeniach. Gratuluję, że Kazimierz ma czas, żeby napisać takie oświadczenie. Życzę mu jak najlepiej i chciałabym, żeby na tym etapie zajął się już swoim życiem – odcięła się. I zapowiedziała, że po uporządkowaniu spraw prawnych chętnie zrezygnuje z nazwiska Kaza. Czy Kaz odpowie Isabel? Czy Isabel zmieni nazwisko? Dowiemy się już w następnym odcinku. Nie przegapcie! ©℗

eprasa.pl 2088586fa3

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, na wstępie chcemy ogłosić, iż nas w sprawie Wałęsy nie przekonują żadne pisowskie ekspertyzy gramofonologiczne.

Zresztą, jaki to problem podrobić pismo? My też umiemy pisać raz prosto, raz pochyło, a jak się skupimy, to nawet wspak (tzn. od tyłu). Żaden pisowski gramonolog nie będzie nam mówił, co mamy myśleć.

To, co mamy myśleć, znajdziemy zaraz w odpowiednich mediach, których nie obchodzą pisowskie ekspertyzy ani ipeenowskie seanse nienawiści, polowania na czarownice, rozliczania historii i grzebania w przeszłości!!!

Tymczasem wraz z zimowymi feriami wraca stary problem: mianowicie patologiczni beneficjenci „500+" ponownie wyruszają poza obszar jurysdykcji swoich gminnych ośrodków pomocy społecznej i wyjeżdżają ze swoimi wąsatymi osobożonami oraz osobodziećmi w góry.

To niedopuszczalne, iż zimowy wypoczynek połączony z nauką jazdy na nartach nie jest dostępny wyłącznie za okazaniem dowodu zameldowania w wielkim ośrodku, a każdy janusz ze Staszowa lub innego Kutna może zabrać osobodzieci i pojechać wypoczywać.

Of kors są pewne różnice wobec letniego zalewu Bałtyku przez „500+". Wówczas polactwo się zjeżdżało nad morze, leżało na plaży i jadło osoboryby. Teraz się złazi na Krupówki, pije piwo i robi selfiki z osoboniedźwiedziem (sprawdzaliśmy, to nie jest prawdziwy osoboniedźwiedź, tylko jakiś zwykły góralski Jontek w przebraniu, a już mieliśmy poinformować PETA).

Wraz z zimowymi feriami wraca stary problem: mianowicie patologiczni beneficjenci „500+" ponownie wyruszają poza obszar jurysdykcji swoich gminnych ośrodków pomocy społecznej i wyjeżdżają ze swoimi wąsatymi osobożonami oraz osobodziećmi w góry. To niedopuszczalne

Rząd właśnie ogłosił, iż będzie realizował program „Maluch+". I nie chodzi o to, iż każda rodzina w tym kraju dostanie talon na smarta ani nawet na małego fiata (taki niby-smart dla podkarpacia).

Dla nas jest jasne, iż „Maluch+" to program, na mocy którego Kaczafi będzie po trochu mieszkał w każdej rodzinie, w każdym związku partnerskim, poliamorycznym i na każdym skłocie. Każdy będzie miał prawny obowiązek przyjęcia Kaczafiego z kotę (to właśnie ten + do Malucha), a jeśli odmówi, to będzie kierowany na obóz reedukacyjny w okolice Jarosławia :((

Niech was nie zmyli rządowa propaganda. Na pewno chodzi właśnie o to, a mówią co innego, iżby zatuszować całą sprawę.

Dziwna sytuacja spotkała nas w drodze do korpo. Otósh: idąc sobie wesoło pomimo smogu i kaczyzmu, dostrzegliśmy osobokominiarza, który potknął się na chodniku. „J*$@ć rząd" – pomyślał, kiedy go mijaliśmy.

Zrozumieliśmy, iż mamy pewnie do czynienia z ogólnopolskim protestem kominiarzy w całym tym kraju, więc czym prędzej dołączyliśmy. Pomyśleliśmy głośno: „Kaczafi, matole, Twój rząd obalą waginosceptycy", a następnie skierowaliśmy negatywną myślową energię w stronę Nowogrodzkiej, aby na koniec zrobić sobie selfie z hashtagiem #całytenkrajzkominiarzem

Podajcie to dalej znajomym, reżimowe media nie napiszą, będą wygłuszać strajk kominiarzy z obawy, iż kolejna wściekła grupa doprowadzi do upadku tego rządu!!! ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

eprasa.pl 2088586fa3

dwaj panowie g

Podobnie jak cały świat i nasza rubryka żyje ociepleniem na linii Merkel – Kaczyński. Jednak w odróżnieniu od tefauenów nie jesteśmy tym zaskoczeni, bo trwa to od dawna. Jak informują wiewiórki, Kaczor-Dyktator od dłuższego czasu ma gorącą linię z Angelą. Łączy ich wspólna niechęć do pewnego kagebisty ze Wschodu, który onegdaj wypuścił na Angelę psa, wiedząc, że cierpi ona na kynofobię. Więź polsko-niemiecka jest silna, bo obie strony wzmacniały ją w ostatnich latach cichymi konsultacjami w cztery oczy podczas wakacyjnych wypadów JarKacza na Pomorze Zachodnie.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Nie potwierdziły się informacje o fortunie wydanej przez ministra wojny Antoniego Macierewicza na limuzyny w MON. KOD-uchy w rozpaczy. Uwaga, rzucamy linę ratunkową dla kolegów od fałszywych informacji. Może taki tytuł: „Skandaliczne oszczędności w resorcie! Gdyby Macierewicz nie pożałował pieniędzy na nowe auta, nie doszłoby do kraksy pod Toruniem".

Wrazie czego służymy gotowymi wypowiedziami świadków: „Widziałam. Gdyby jechali drogim samochodem, to kierowca ministra zdążyłby zahamować". Honoraria prosimy odesłać na OKO.press, alimenty Ojca Mateusza same się nie spłacą.

Mało kto wie, że kolizja ministra wojny miała ciekawy efekt na gali zaprzyjaźnionego tygodnika rybackiego. Pojawił się na sali jakieś 10 minut po tym, jak światła zgasły, a wcześniej wszyscy zdążyli już się wszystkim pokłonić i przekazać znak pokoju. „Gdzie Antoni?" – szemrała więc już sala. „Czyżby to był protest przeciwko uznaniu Kaczora-Dyktatora za Człowieka Wolności?".

Przy okazji dementujemy informację, jakoby jedyną rzeczą, która mogłaby ograniczyć wiarę ministra wojny w nadzwyczajne zdolności Bartłomieja Misiewicza, było przejechanie przez tego ostatniego po pijanemu na pasach zakonnicy w ciąży.

Tydzień później była inna gala, tym razem zaprzyjaźnionego tygodnika partyzanckiego wolnego słowa. I tu rozczarowanie. Czytając zapowiedzi „na Stadionie Narodowym", wyobrażaliśmy sobie, jak Tomasz Sakiewicz będzie tak jak o. Bashobora witał 60 tys. członków Klubów „GP". A tu tylko sala konferencyjna. Ale nic to! Grunt, że na bankiet przewidziano VIP-room i tyle miejsca, że nikt na siebie nie wpadał.

Nikt nie dał rady wpaść na Kaczora-Dyktatora, gdyż go nie było. Premier Bełata też szybko się zawinęła. Przypadek?

Nie było Kaczora-Dyktatora, ale objawiła się jego wola. Ta z „Ucha prezesa". Pamiętacie, jak kabaretowe odbicie prezesa Kury-Kurskiego zapewniało w sprawie pewnej prezenterki „Wiadomości": „Taka będzie szczupła!". I wiecie co? Była!

Najbardziej rozrywany był sławny syn słynnego ojca, nadpremier Morawiecki. Chyba go to zdenerwowało, bo postanowił odreagować – nie minęło 48 godzin, a już dokonał rzezi wśród wiceministrów odpowiedzialnych za ściąganie podatków.

I tu jest coś, czego nie kumamy. W ramach owych zmian z resortu nadpremiera Morawieckiego odszedł wiceminister Wiesław Jasiński. Był kiedyś szefem delegatury CBA za pierwszych rządów siepacza Kamińskiego. To właśnie o nim na słynnych taśmach mówiono per „łysy debil". Wbrew tej opinii to dość łebski gość i bardzo zdeterminowany w zwalczaniu przestępczości VAT-owskiej. Czyżby Morawiecki junior uważał, że nadgorliwość jest gorsza od faszyzmu?

Apropos podatków, budżetu i PKB. Marszałek Senatu Stanisław Karczewski założył się pół roku temu na antenie Polskiego Radia z jednym z panów G., że PKB Polski wyniesie w roku 2017 przynajmniej 4 proc. Wyniósł 2,8 proc. i marszałek przyznał już, że zakład przegrał. Nie poczuwa się jednak do żadnych konsekwencji, gdyż nie ustalono, o co był zakład. Nie jesteśmy chciwi. Weźmiemy te 1,2 proc. PKB różnicy.

Jeszcze o gospodarce. Usłyszeliśmy od jednego z ministrów, a był to minister płci pięknej, ciekawe sformułowanie podsumowujące relacje z zagranicznymi inwestorami w Polsce: „Łupią nas jak cygana za matkę". Czekamy na ripostę nadpremiera Morawieckiego.

W kwestii ministrów płci pięknej – z okolic resortu edukacji, znaczy księstwa Anny Zalewskiej, usłyszeliśmy intrygującą ksywkę: „Myszka Profesorka". Nawet jeśli nie jest to wiadomość prawdziwa, to z całą pewnością dobrze wymyślona.

Apropos minister edukacji. Wiecie, co łączy Annę Zalewską z PiS oraz Katarzynę Lubnauer z Nowoczesnej

eprasa.pl 2088586fa3

Kropki? Obydwie były w szkole kujonkami. Kaśka jednak nie farbowała spodni.

Niemal od roku krążą pogłoski, jak to z Kancelarii Prezydenta Andrzeja Sebastiana ma polecieć Małgorzata Sadurska. Aż tu nagle nasze wiewiórki przyniosły wieść, że na razie do odwrotu szykuje się Adam Kwiatkowski. Nie tylko zaczął odbierać telefony od starych znajomych, lecz także chętnie odpowiadać na zaproszenia. Wiemy również, że sonduje, gdzie też ojczyzna mogłaby go jeszcze wykorzystać.

Dla was tylko »Bolek«, dla nas przede wszystkim bohater" – napisał o Lechu Wałęsie w „Wyborczej" Jarosław Kurski. Bohater, jak rozumiemy, książki „Wódz", z której wyczytać można, że Wałęsa to megaloman, autokrata, dyktator, stosujący retorykę antyinteligencką, obrażalski. Książkę tę, co za pech, w roku 1991 napisał nie kto inny, lecz właśnie Jarosław Kurski.

W „Wyborczej" bywa jeszcze zabawniej. „»Bolek« to Wałęsa. Ale istotne jest, że zerwał współpracę z SB" – to inny z ciekawych nagłówków. Wszystkich, którym kiedykolwiek „Wyborcza" cokolwiek zarzuciła, prosimy o zachowanie w pamięci tej figury retorycznej.

Nowe wieści w sprawie łączenia służb i budowy Agencji Bezpieczeństwa Narodowego: chwilowo wieści brak. Poza tą, że Maciej Wąsik pomagający z ramienia kancelarii premiera Mariuszowi Kamińskiemu wyszykować odpowiednie zapisy dostał od premier Bełaty zakaz siedzenia na Twitterze dopóty, dopóki nie skończy.

Nowe wieści w sprawie kandydata na prezydenta Warszawy z ramienia PeŁo – Andrzej Halicki łazi po mieście i opowiada, że by chciał. Czasem ujmuje to nieco inaczej: „Są tacy w Platformie, którzy mówią, że powinienem ja". Ciekawsze jest jednak to, że rozgłasza, iż Rafał Trzaskowski kandydować nie chce.

Zgadzamy się z Trzaskowskim. Uważamy, że fucha prezydenta Warszawy jest dużo poniżej jego umiejętności, godności i ambicji. Dlatego powinien od razu zostać mędrcem Europy. Albo przynajmniej Radosławem Sikorskim. Radek to jedyny polityk, którego ego da się porównać do ego Rafała.

Platforma nie dała pieniążków na przechlanie, więc jest „be", „ciemnogród żyjący w zaściankach robiących, co im ksiądz każe", „żulostwo, które żyje całe życie z opieki" – to garść złotych myśli Marty Ziółkowskiej, żony Szymona Ziółkowskiego, posła PeŁo z Poznania. Im dłużej czytamy, tym bardziej wierzymy, że Kaczor-Dyktator będzie rządził ze sto lat.

Cieszymy się, że nasza rubryka jest czytana. Martwi nas to, że niektórzy czytelnicy mają jednak duże problemy z jej zrozumieniem i potrzebują na to dużo czasu. Na przykład w lipcu 2016 r. podaliśmy, że Waldemar Dubaniowski, były współpracownik prezydenta Kwacha, ma zostać ambasadorem w Tajlandii. Niektórym kolegom dziennikarzom trzeba było aż siedmiu miesięcy, żeby zrozumieć znaczenie tej informacji. Gdy już ją jednak zrozumieli, od razu ją podali. Jako własną. ©℗

REKLAMA

eprasa.pl 2088586fa3

Z Jarosławem Kaczyńskim, prezesem PiS
rozmawia Kamila Baranowska

Marzymy o większości konstytucyjnej

KAMILA BARANOWSKA: Panie prezesie, czemu ma służyć włączenie 32 gmin do Warszawy i utworzenie z nich jednej metropolii?

JAROSŁAW KACZYŃSKI: W Polsce są dwa ośrodki, które spełniają warunki metropolii europejskiej, czyli mają 2 mln ludności. Skoro zdecydowano o wprowadzeniu metropolii górnośląskiej, to nie widzę powodu, dla którego nie mielibyśmy wprowadzić podobnych rozwiązań dla Warszawy. Korzyści są oczywiste. Przy czym to nie będą te rozwiązania, o których teraz się mówi. Nie będzie żadnych jednomandatowych okręgów wyborczych w gminach, bo to oznaczałoby ogromną dysproporcję w reprezentacji, poza tym jesteśmy przeciwnikami jednomandatowych okręgów wyborczych. Będą normalne wybory proporcjonalne.

Dlaczego zatem projekt w wersji z jednomandatowymi okręgami trafił do Sejmu?

To jest wstępna wersja, nad którą trzeba pracować i która przejdzie daleko idące modyfikacje, o których będziemy w stosownym czasie informować. Na pewno nie jest to projekt ostateczny.

Zarzuca się PiS, że chce przeprowadzić te zmiany pod siebie. PiS wygrywa zwykle w gminach ościennych, a przegrywa w samej Warszawie. Po połączeniu szanse PiS, choćby w wyborach prezydenta miasta, rosną.

Ta krytyka, zwłaszcza formułowana przez Platformę, która od lat mówi o potrzebie budowania metropolii, jest dosyć zabawna. Każde nasze działanie bez względu na to, czy jest słuszne i potrzebne czy nie, spotka się z krytyką i zarzutami, że mamy jak najgorsze intencje. Czy z tego względu mamy zaprzestać realizacji pomysłów, które uznajemy za konieczne z punktu widzenia samorządu i rozwoju kraju?

Ten sam zarzut – że chodzi przede wszystkim o interes polityczny – pojawia się przy okazji pomysłu ograniczenia kadencyjności wójtom, burmistrzom i prezydentom miast.

To jest sprawa omawiana w Polsce, nie tylko w naszej partii, od przeszło 10 lat. My w końcu na to się zdecydowaliśmy, bo doszliśmy do wniosku, że patologizacja sporej części samorządów zaszła tak daleko, iż trzeba to w końcu przeciąć. I w ten sposób to przecinamy. Warto, żebyśmy zdali sobie sprawę, że są wciąż w Polsce gminy, w których do dziś rządzą ci sami ludzie, którzy w 1973 r., będąc młodymi działaczami partii, zostawali naczelnikami tych gmin. To nie jest normalne.

Dlaczego się upieracie, by wprowadzić te zmiany już od najbliższych wyborów, tak by kandydować nie mogli ci, którzy dziś sprawują władzę drugą kadencję?

Ponieważ nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy powstrzymywać w tej chwili w Polsce proces przemian, oczyszczania państwa, reorganizacji, doprowadzenia do tego, że definicja o Polsce jako „kupie kamieni" przestanie być aktualna i odpowiadać rzeczywistości. Polskę trzeba radykalnie przebudować i konstrukcja ustroju posttotalitarnego musi być ostatecznie odrzucona. Chociaż, oczywiście, projekt zapewne będzie oceniał Trybunał Konstytucyjny i jego opinia będzie decydująca.

Będzie musiał np. zbadać, czy wasze zmiany nie łamią zasady, że prawo nie działa wstecz.

Ta zasada, po głębszej analizie i bliższym przyjrzeniu się, jest zasadą, która ma chronić pewne prawa. W tym przypadku prawo społeczeństwa do zmiany jest moim zdaniem ważniejsze niż prawo poszczególnych osób do długiego pełnienia funkcji. Przy czym zarzut, że to społeczeństwo ma decydować i nie można mu tego odbierać, jest albo wynikiem złej woli i cynizmu, albo przyjmowaniem założenia, że społeczeństwo to zespół jednostek i wszystkie są nieuwikłane, nieuwarunkowane i doskonale poinformowane. Nie ma takiego społeczeństwa nigdzie na świecie. Społeczeństwo jest pewną strukturą, na którą można na różne sposoby oddziaływać i którą można manipulować, na której można nawet wymuszać pewne rzeczy, np. niekandydowanie, by nie tworzyć konkurencji tym, którzy ubiegają się o reelekcję.

Samorządowcy z PiS nie protestują przeciwko tym rozwiązaniom? Przecież uderzą one także w część waszych wójtów i burmistrzów.

Podczas objazdu kraju, który teraz prowadzę, spotkałem się z jednym takim przypadkiem. Jedna pani przekonywała, że kadencje trzeba wydłużyć do pięciu lat i zmiany nie powinny obejmować dziś rządzących. Innymi słowy – ona, pełniąc teraz drugą kadencję, chciałaby kandydować i móc rządzić jeszcze przez dwie kadencje, łącznie byłoby to 18 lat. Jednak to był jedyny taki głos. Przy czym chcę mocno podkreślić, że to, iż chcemy wprowadzić pewne ograniczenia, nie oznacza,

FOT. MARCIN KALIŃSKI/WPROST/PAP

eprasa.pl 2088586fa3

że dobry samorządowiec, który jest dwie kadencje wójtem, burmistrzem czy prezydentem miasta, ma być wypchnięty z życia publicznego. I na poziomie samorządowym, i na poziomie państwowym jest bardzo wiele innych pól działania. Nie mamy wcale nadmiaru ludzi dobrze przygotowanych oraz doświadczonych w rządzeniu i w związku z tym jesteśmy na to otwarci, i sądzę, że inne formacje też będą na to otwarte. Nie można jednak akceptować dłużej sytuacji, w której władza samorządowa zrasta się z rządową oraz, niestety, często także z sądową i tworzy taki stan, że pojedynczy obywatel, a nawet grupa obywateli, nie ma żadnych szans. Oczywiście mam świadomość, że ograniczenie kadencji to nie jest cudowny środek, który sprawi, iż będzie idealnie, ale trzeba tę zamkniętą sytuację w samorządach przynajmniej próbować otworzyć.

Szykuje się zatem kolejny ostry konflikt na linii PiS – opozycja? Nikt samorządów tak łatwo nie odpuści.

Dramat naszego systemu politycznego w 2017 r. wynika z tego, że my nie mamy normalnej opozycji. Opozycja totalna to nie jest opozycja, która odgrywa rolę kontrolno-korekcyjną. To jest taka opozycja, która pełni funkcję wyłącznie destrukcyjną, i w tej sytuacji mam poczucie, że będąc poza rządem, sam powinienem być opozycją, elementem kontrolno-krytycznym. Gdyby była inna opozycja, zwalniałaby mnie z tego obowiązku. Jednocześnie nie możemy się ciągle przejmować tym, co ta opozycja opowiada, bo to są w ogromnej części rzeczy oderwane od rzeczywistości i niekiedy absurdalne z punktu widzenia tego, co się działo w ciągu ostatnich 10 lat. Ostatnio usłyszałem, jak Rafał Trzaskowski wytykał któremuś z naszych posłów, że to jest śmieszne, iż ciągle odwołujemy się do tego, co działo się za ich rządów. Szkoda, że sam zapomniał, iż Platforma w ciągu swoich ośmiu lat ciągle odwoływała się do naszych dwóch lat rządów.

PiS powinien dziękować za taką opozycję. Niektórzy twierdzą, że słaba opozycja to dziś największa siła partii rządzącej.

Często to samo mówiono o nas, gdy byliśmy w opozycji. Media, co zabawne, bardzo często oczekują od opozycji, aby rządziła, i mają pretensję, że nic nie robi w tej sprawie. Od nas też tego oczekiwano i musieliśmy przez osiem lat wysłuchiwać, jaką to jesteśmy fatalną, niezdarną opozycją i nic nie robimy. Pamiętam, jak w 2008 r. Przemysław Gosiewski – najaktywniejszy człowiek, jakiego w życiu poznałem – zorganizował 800 konferencji prasowych, 12 konferencji programowych, a jednocześnie prasa prawicowa pisała, że nic nie robimy. Dlatego do twierdzeń na temat słabości opozycji podchodzę z dystansem, bo mam wrażenie, że polski świat medialny nie do końca zrozumiał, jak wygląda demokracja. Tymczasem to, że jakaś partia rządzi np. 16 lat, nie jest niczym nadzwyczajnym. Tak samo jak to, że inna przez te lata jest w opozycji, a potem przejmuje władzę. U nas jest jakiś pośpiech, jakby ciągle to był początek, a nasza demokracja ma już przecież 28 lat. Osiem lat rządów Platformy naprawdę nie było niczym nadzwyczajnym, a już zwłaszcza biorąc pod uwagę, że Tusk miał ogromne poparcie mediów i rosnącą konsumpcję. Dzisiaj nasza sytuacja jest na pewno trudniejsza, ale nie narzekamy, idzie nam nieźle.

Po ponad roku rządów w sondażach PiS ma ok. 36–37 proc. poparcia. To satysfakcjonujący wynik czy jednak liczył pan na więcej, choćby w związku z „500+" czy obniżeniem wieku emerytalnego?

Tak się dziwnie składa, że sondaże niepublikowane są dla nas o wiele lepsze niż te, które są publikowane w mediach

Problem w tym, że nie wszystkie badania, które są wykonywane, są w mediach publikowane. My je oczywiście znamy i jeśli wziąć średnią ze wszystkich badań, to mogę powiedzieć, że jestem bardzo usatysfakcjonowany, bo one dają nam dużą przewagę.

Większą niż te sondaże, które są publikowane w mediach?

Z reguły tak się dziwnie składa, że sondaże niepublikowane są dla nas o wiele lepsze niż te, które pojawiają się w mediach. W badaniu GfK mieliśmy 51,3 proc. Gdyby wziąć tylko te sondaże, które są publikowane w mediach, to też wszędzie mamy samodzielną większość, więc nie ma powodów do narzekania. Chociaż oczywiście każdemu z nas pewnie marzy się większość konstytucyjna, bo Polska potrzebuje zmiany konstytucji, ale to będzie bardzo trudne do uzyskania.

Udał się pan w objazd po Polsce, spotyka się pan z działaczami, samorządowcami. Co z tych spotkań wynika?

Te spotkania są po to, żeby zmobilizować naszych ludzi i żeby powiedzieć, że czas po zwycięstwie się zakończył i teraz trzeba się czynnie przygotowywać do wyborów samorządowych, że to już jest ten moment. Za chwilę będziemy tworzyć po raz pierwszy w dziejach partii osobną strukturę, która ma służyć tylko przygotowaniom do kampanii wyborczej, i zaczynamy zaplanowaną akcję zmierzającą do tego, żeby ta dysproporcja między głową partii, czyli tym, co w Sejmie, a tułowiem, czyli

eprasa.pl 2088586fa3

Jarosław Kaczyński i Angela Merkel w 2006 r. w Berlinie FOT. HERMANN BREDEHORST/POLARIS IMAGES/EAST NEWS

samorządem, się zmniejszyła. Wiele razy mówiłem, że PSL jest dinozaurem z małą głową i wielkim tułowiem w postaci samorządów. U nas jest odwrotnie i trzeba to wyrównać, rozbudowując tułów.

Krajowa Rada Sądownicza ostro sprzeciwia się zmianom, zgodnie z którymi sędziów do KRS ma wybierać Sejm. Uważa, że zmiany są niekonstytucyjne, upolityczną sądownictwo, i apeluje do ministra Ziobry o ich wstrzymanie.

Ja te zmiany oczywiście popieram, choć co do szczegółów będzie to jeszcze przedmiotem różnego rodzaju dyskusji, tu może się jeszcze trochę pozmieniać.

Sądy w Polsce są obciążone potężną patologią. Ci, którzy bronią status quo, twierdzą, że dla polskiej praworządności i demokracji potrzebna jest patologia w sądach. To pogląd absurdalny albo związany z jakimiś interesami. Kiedy objeżdżałem kraj i spotykałem się z wyborcami, były dwie sprawy, które zawsze wywoływały brawa, a czasem owacje: obniżenie wieku emerytalnego i sądy – gdy mówiłem, że je zreformujemy. I to się wszędzie powtarzało. Sądy nie bez powodu są niecierpiane przez zwykłych ludzi. Dlatego nie cofniemy się i będziemy te patologie likwidować w granicach, jakie daje nam konstytucja. Przy czym nasz interes polityczny jest w tym żaden, bo wiadomo, że będą konflikt, wrzask i awantura, więc najlepiej byłoby tego nie ruszać i mieć spokój.

Konflikt już jest. Sędziowie zarzucają PiS, że nie konsultuje z nimi żadnych pomysłów na reformę sądownictwa, że nie pyta ich o zdanie, a na każdą krytykę odpowiada, iż „każdy, kto sprzeciwia się zmianom, broni przywilejów".

To jednak, niestety, w dużej mierze prawda. Polska jeszcze ciągle nie wyszła z postkomunizmu. I choć często nie zgadzam się z Rafałem A. Ziemkiewiczem, to ujął ten stan znakomicie w słowie „postkolonializm". Sądownictwo jest w ogromnej mierze elementem tej kontynuacji. Po drodze miały miejsce liczne procesy, które to sądownictwo dodatkowo osłabiały, proces demoralizacji mocno postępował. Opowiem historię z własnego doświadczenia. W latach 70. byłem w Biurze Interwencyjnym KOR, w związku z czym często bywałem na różnych sprawach w sądzie, np. takich, że milicja kogoś pobiła, a potem to ci pobici odpowiadali za pobicie milicji. I takie najbardziej dęte sprawy, gdy oczywiste było, że to milicja biła, kierowano do zwanego przez uczciwych sędziów „wydziału gwardii", na którego czele stała pani, która była I sekretarzem POP. I proszę sobie wyobrazić, że po latach spotykam tę panią na jednym ze swoich procesów, jeszcze w czasach Porozumienia Centrum. Wygrałem w pierwszej instancji, pani wyrok uchyliła i przekazała do ponownego rozpoznania, przy czym nie kwestionowała samego wyroku, lecz jakiś błąd w uzasadnieniu. Okazało się, że była też szefem szkoleń w tym sądzie. I tak to wygląda także w wielu innych miejscach. Nikt mi nie powie, że to zdrowa sytuacja.

Pani premier robi właśnie przegląd pracy resortów. Z pana obserwacji jest w rządzie ktoś, kto pozytywnie się wyróżnia na tle pozostałych ministrów albo mocno od reszty odstaje?

Jak już mówiłem, jestem w sytuacji, w której nie mając normalnej opozycji, muszę sam odgrywać tę rolę i być opozycją, a więc śledzić uważnie poczynania rządu. Przyznam jednak uczciwie, że akurat przeglądu resortów specjalnie nie śledzę. Skoro pani premier postanowiła taki przegląd zrobić, to pewnie ma w tym swój cel, np. większą mobilizację ministrów. Co do mojej oceny – to ja patrzę na rząd w całości, nie przez pryzmat poszczególnych osób, i ta ocena brzmi: idziemy dobrą drogą w tempie przyzwoitym. Oczywiście są potknięcia, bo one zawsze się zdarzają, ale nie widzę dziś poważnych powodów, aby cokolwiek zmieniać. Jeśli poważne powody się pojawią, to będziemy zmieniać, ale w tej chwili uważam, że możemy maszerować w tym składzie, jaki jest.

eprasa.pl 2088586fa3

Ostatnio pani premier narzekała, że plan odpowiedzialnego rozwoju, zaprezentowany przez wicepremiera Morawieckiego, nie spełnił jej oczekiwań i musi zostać poprawiony.

Są tam pewne mankamenty, mówiła mi o tym. Jednak nie wciągnie mnie pani w dywagacje na temat relacji pani premier z wicepremierem, bo to nie moja rola. Faktem jest, że wicepremier za późno dostał te wszystkie kompetencje, które powinien był mieć wcześniej. Pani premier natomiast odpowiada za całość i może mieć własne uwagi oraz opinie. Po to jest premierem.

Mówił pan jakiś czas temu, że PiS musi „gorącym żelazem wypalić w urzędach i spółkach tych, którzy myślą tylko o sobie". Udaje się to zrobić? Ostatnio „Puls Biznesu" publikował listę tysiąca osób, które miały dostać posady ze względu na rekomendacje partyjne.

Następują zmiany w spółkach Skarbu Państwa. Nie jest tak, że to się nie dzieje. Nie zawsze zresztą mamy do czynienia z patologią, czasem jest to nieporadność czy pewna niezręczność, kiedy ktoś zaszedł wyżej, niż pozwalają na to jego kwalifikacje. Pamiętam doskonale, jak w poprzedniej kadencji chcieliśmy być bardzo szlachetni i do spółek Skarbu Państwa wchodzili ludzie bez żadnych afiliacji partyjnych, z którymi nie mieliśmy kompletnie nic wspólnego – co najmniej doktorzy ekonomii lub dziedzin prawa związanych z gospodarką. Szybko okazywało się, że oni natychmiast byli porywani przez zastaną tam sieć powiązań. A my i tak byliśmy wściekle atakowani, bo żądano od nas więcej – byśmy utrzymali układ stworzony przez Millera. Teraz z kolei się od nas żąda, byśmy utrzymali układ, który stworzyła Platforma, a którego sposób funkcjonowania można było usłyszeć na taśmach. To absurdalne żądanie. Skąd mamy brać ludzi? Z zasobów personalnych Platformy? Mamy świadomość, że będą nam się zdarzać różne potknięcia, ale najważniejsze, by je na bieżąco wyłapywać i poprawiać.

Skoro jesteśmy przy potknięciach, które należy wyłapywać, to czy Bartłomiej Misiewicz jest dziś wizerunkowym problemem dla PiS i rządu?

To jest wizerunkowy problem. Skoro wciąż staje się bohaterem mediów, to nie ma w tym nic dobrego i wierzę, że minister Macierewicz tę sprawę załatwi.

Misiewicz to skądinąd sympatyczny, uprzejmy młody człowiek, bardzo sprawny w tym, czym się zajmuje. I powiedzmy sobie szczerze – to, że poszedł do knajpy i wypił piwo, nie jest zbrodnią, media często robią z igły widły. Chociaż oczywiście wiem, że są też rzeczy poważniejsze i niedobre – na to, by oficerowie meldowali się temu młodemu człowiekowi czy tytułowali go ministrem, nie może być zgody.

W tym tygodniu do Polski przyjeżdża Angela Merkel. Czego się pan spodziewa po tej wizycie i rozmowie z panią kanclerz?

Pożyjemy, zobaczymy. Na pewno będziemy omawiać sprawy europejskie w różnym wymiarze – i te bliskie decyzje, i szerzej – przyszłość Unii Europejskiej. Dużo się zmieniło od czasu, gdy ostatni raz rozmawiałem z panią kanclerz latem ubiegłego roku. Wtedy nie było możliwości przekonania jej, żeby otworzyć traktaty, a dzisiaj w umowie między EPP a liberałami w Parlamencie Europejskim ta sprawa została postawiona jasno: traktaty mają zostać otwarte i w tej sprawie ma zostać zwołany Konwent Unii Europejskiej. Wtedy pani kanclerz bardzo się takiego scenariusza obawiała. Sądzę, że tym razem rozmowa na ten temat będzie już przebiegać nieco inaczej. Na pewno wróci jeszcze sprawa uchodźców i Brexitu. Poza tym my musimy postawić też jasno i wyraźnie następującą kwestię: chcemy dobrych stosunków z Niemcami, ale Niemcy muszą się zdecydować. Nie przyjmujemy takiej polityki, że z jednej strony na poziomie międzyrządowym jest dobrze, a z drugiej na poziomie medialno-społecznym jest nieustanny bzdurny atak na Polskę i wspieranie opozycji, która nie jest normalną opozycją, lecz opozycją totalną. To jest niedopuszczalne. Albo w jedną stronę, albo w drugą. Twierdzenie, że niemiecki rząd nie ma żadnego wpływu na media, jest bowiem twierdzeniem, łagodnie mówiąc, oderwanym od rzeczywistości.

> **To sprawa pewnego wyboru Ukrainy. Powiedziałem wyraźnie prezydentowi Poroszence, że z Banderą to oni do Europy nie wejdą**

Korespondentka Polskiego Radia podała informację, że niemiecka kanclerz zechce też podczas wizyty w Polsce zaapelować o poparcie polskiego rządu dla Donalda Tuska jako szefa Rady Europejskiej.

To trzeba powiedzieć, że Donald Tusk jest nadzwyczaj wybitnym politykiem, skoro po dwóch latach o poparcie dla niego musi zabiegać Angela Merkel.

Podobają się panu pierwsze decyzje prezydenta Donalda Trumpa? Choćby dekret antyimigracyjny zakazujący wjazdu do USA obywatelom siedmiu krajów muzułmańskich?

Decyzje są takie, jakie zapowiadał w kampanii. Skupił się wyraźnie na polityce wewnętrznej. Zawsze uważałem, że każde państwo ma suwerenne prawo do obrony swoich interesów, jeśli tylko nie jest to związane z agresją wobec innych. Zawsze się dziwiłem Izraelczykom, dlaczego nie budują muru. I w końcu wybudowali i mają w związku z tym zamachów terrorystycznych o wiele mniej. Każdy ma prawo się bronić. Jeśli Trump chce stawiać mur, to jego decyzja. Jeżeli chodzi o decyzje dotyczące zakazu wjazdu do USA z siedmiu państw, to także jest to element samoobrony, choć oczywiście zawsze można pytać, dlaczego te państwa, a nie inne. Politykę zagraniczną trudno oceniać, bo jak dotąd niewiele zostało powiedziane. Wydaje mi się, że jego pierwsze wizyty i rozmowy na najwyższym szczeblu z Theresą May i Borisem Johnsonem nie przyniosły żadnych konkluzji. Sądzę, że w tej chwili trwa tam jeszcze okres przygotowawczy, więc trudno cokolwiek konkretnego stwierdzić.

Jak dziś wyglądają stosunki polsko-ukraińskie? Ostatnio powiedział pan, że wyglądają jak znak zapytania. Co to znaczy?

To jest znak zapytania. Nie możemy ciągle przez lata zgadzać się, by na Ukrainie budowano kult ludzi, którzy wobec Polaków dopuścili się ludobójstwa, i to takiego, że choć trudno było przebić w okrucieństwie Niemców, to oni ich przebili. Krótko mówiąc, to sprawa pewnego wyboru Ukrainy. Powiedziałem wyraźnie panu prezydentowi Poroszence, że z Banderą to oni do Europy nie wejdą. To jest sprawa dla mnie jasna, bo wykazaliśmy ogromną cierpliwość, ale są jej granice.

A co odpowiedział Poroszenko?

To była bardzo skomplikowana odpowiedź.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2088586fa3

MocArty
RMF CLASSIC
2016

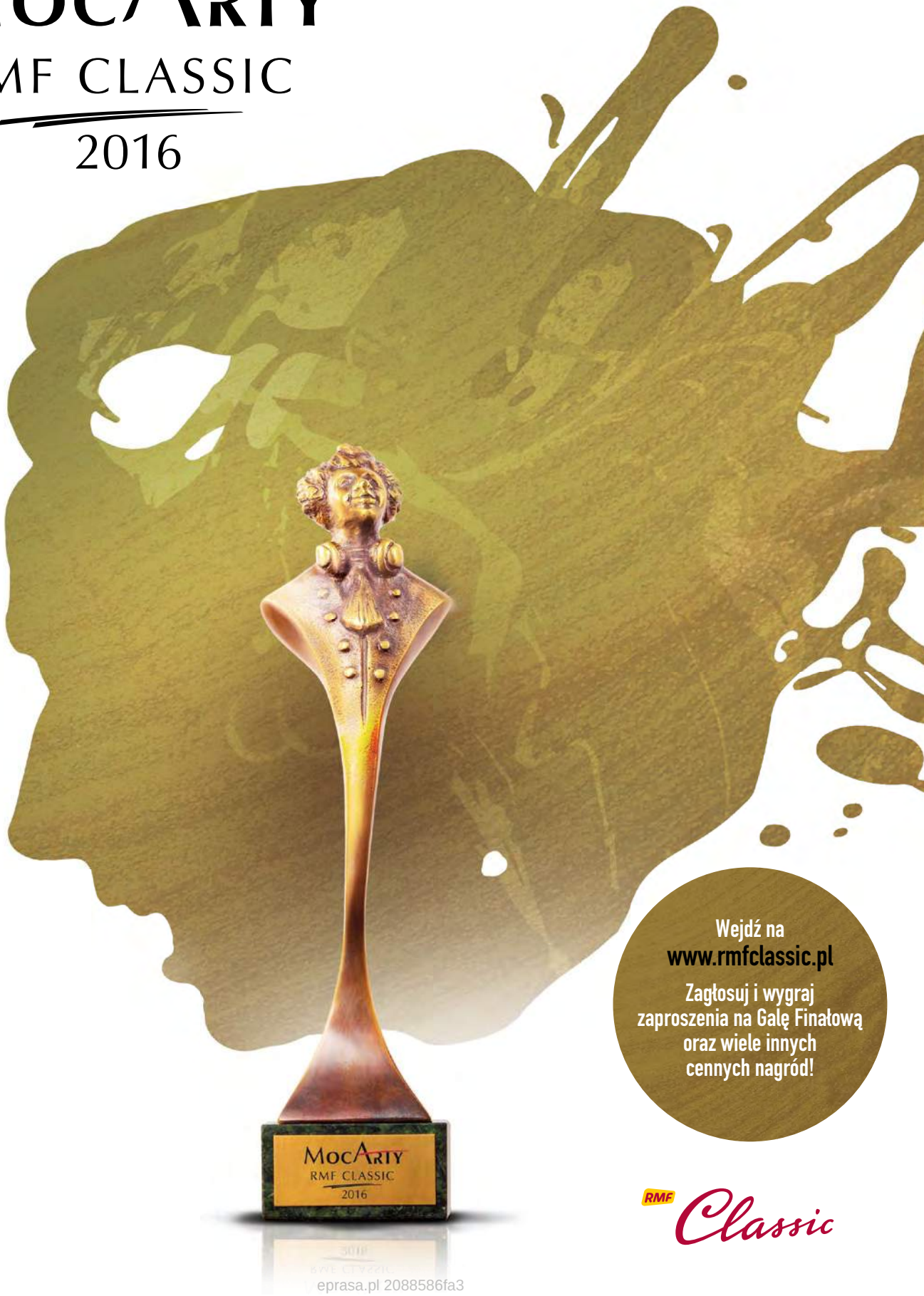

Wejdź na
www.rmfclassic.pl

Zagłosuj i wygraj zaproszenia na Galę Finałową oraz wiele innych cennych nagród!

RMF Classic

eprasa.pl 2088586fa3

Sławomir Cenckiewicz

Werdykt grafologów z Instytutu Ekspertyz Sądowych im. Jana Sehna badających akta agenturalne TW „Bolka" pośrednio potwierdził znany od lat fakt – Lech Wałęsa był agentem SB

Wałęsa, czyli

Do potwierdzenia agenturalności Wałęsy badania grafologiczne nie były potrzebne. Byłem im przeciwny, bo świadczyły o wyjątkowym traktowaniu byłego prezydenta. Uznałem, że był to w gruncie rzeczy rodzaj igrzysk połączonych z brakiem odwagi urzędniczej. Zmorą Instytutu Pamięci Narodowej – a zwłaszcza jego pionu prokuratorskiego – jest bowiem brak odwagi cywilnej. Po prostu w IPN do tej pory panował strach przed uznaniem, że Wałęsa był agentem SB, więc każdy nowy dowód w tej sprawie traktowany był za nie do końca wystarczający.

Wydawało się, że odnalezienie teczek agenturalnych Wałęsy zakończy ten cyrk. Nawet sam były prezydent był na początku jakby pogodzony z tym faktem, czego potwierdzeniem są jego przeprosiny skierowane pod moim adresem. Jednak po paru dniach ogłosił, że IPN dysponuje „fałszywkami". I na tej podstawie – wpisu na nieistniejącym już blogu Wałęsy na Wykop.pl – prokuratura IPN wszczęła śledztwo!

Dzisiaj jest to przedstawiane jako wola ostatecznego „wyjaśnienia" sprawy, ale wówczas, w czasie panowania starej ekipy kierowniczej w IPN, dawało to pozór rzekomej bezstronności, która nakazuje powstrzymać się od ostatecznego werdyktu. Polityczni patroni prezesa Łukasza Kamińskiego i dyrektora pionu śledczego IPN prok. Dariusza Gabrela ogłosili wówczas, że z oceną Wałęsy należy poczekać do ostatecznego werdyktu prokuratury i zleconych przez nią opinii grafologicznych. Podobne słowa padały ze strony historyków grających pod batutą Andrzeja Friszkego. Dzięki tej decyzji Kamiński mógł w swoim mniemaniu pozbyć się „gorącego kartofla" w postaci sprawy „Bolka", czekać na werdykt prokuratorów, a przez to sugerować, że sprawa agenturalności Wałęsy wcale nie jest taka oczywista. Miało to zresztą fatalne skutki społeczne, bo przeciąganie tej sprawy przez blisko rok gmatwało ją w oczach wielu ludzi.

WĄTPLIWE ŚLEDZTWO

Publicznie krytykowałem władze IPN za sposób informowania o tej sprawie, a prokuraturę instytutu oskarżałem o skrajną nieudolność i brak profesjonalizmu, domagając się niezwłocznego udostępnienia opinii publicznej akt „Bolka". Mój ostatni postulat udało się w miarę szybko zrealizować, ale wątpliwości pozostały.

Działania prokuratury IPN (a także niektóre wypowiedzi władz instytutu) były wręcz komiczne. Zamiast wysyłać do wszystkich oddziałów IPN e-maile z zapytaniem o żyjących jeszcze wysokich funkcjonariuszy SB czy publicznie dywagować na temat zasadności przeszukań mieszkań, działek i domów esbeków, należało w ramach śledztwa powołać specjalny zespół prokuratorów, policjantów i przedstawicieli tajnych służb. Po rozpoznaniu sytuacji wspólnie z policją, ABW, SKW i Żandarmerią Wojskową w tym samym czasie należało wkroczyć do kilkudziesięciu lokali notabli SB, LWP i PZPR w poszukiwaniu zagrabionych akt.

Zachowanie władz IPN i jego prokuratury potencjalnie umożliwiło ukrycie lub zniszczenie sprywatyzowanych kolekcji na zawsze. Dało sygnał, że należy jak najszybciej oczyścić mieszkania z papierów. Symbolem tej nieudolności było opublikowane nagranie z przeszukania domku letniskowego Kiszczaków na Mazurach. Obrazy, na których zmarznięci policjanci i prokuratorzy są witani przez oczekującego na nich syna Kiszczaka, a później nogami odsuwają liście w poszukiwania akt na niezabezpieczonej przed gapiami posesji, pozostaną na długo w mojej pamięci.

Później wcale nie było lepiej. Kiszczakowej nie postawiono zarzutów karnych, mimo że domagała się zapłaty za akta „Bolka". Dzieci Kiszczaka zostały dopuszczone do oględzin materiału dowodowego, a na końcu de facto przyjęto hipotezę, że Kiszczak trzymał w domu sfałszowane akta Wałęsy, i na podstawie jego wynurzeń internetowych wszczęto śledztwo. To była groteska, której – w świetle

eprasa.pl 2088586fa3

Konferencja IPN, na której zaprezentowano wyniki analizy grafologów. Na zdjęciu od prawej: prezes IPN Jarosław Szarek, dyrektor Głównej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu Andrzej Pozorski i p.o. rzecznik Instytutu Andrzej Arseniuk FOT. JAN BIELECKI/EAST NEWS

„Bolek”

ujawnionej opinii Instytutu Ekspertyz Sądowych im. Jana Sehna – nikt już nie pamięta, choć śledztwo toczy się przecież dalej, a Wałęsa – mimo złożonych fałszywych zeznań – wciąż jest w nim uznawany za pokrzywdzonego.

DOWODY JAK AKT OSKARŻENIA

Źródła sprawy „Bolka” to ok. 500 stron dokumentów, które składają się na teczkę personalną, teczkę pracy i ocalałe w aktach sprawy o kryptonimie Jesień 1970 donosy Wałęsy. Poza tym trochę dokumentów ewidencyjno-rejestracyjnych, operacyjnych i charakterystyk, w których – mówiąc językiem SB – „przechodzi” numer rejestracyjny lub pseudonim Bolek. A do tego spora dokumentacja śledcza Urzędu Ochrony Państwa, który po 1996 r. próbował odtworzyć losy wykradzionych dokumentów SB dotyczących byłego prezydenta. IPN dysponuje zaledwie wyciągiem tej dokumentacji, ale i tak jest tego prawie 400 stron. Są też akta spraw prokuratorskich i sądowych związanych ze sprawą wyprowadzania dokumentów Wałęsy z archiwów UOP w Gdańsku i Warszawie. Chodzi o obszerną dokumentację dotyczącą Jerzego Frączkowskiego i Zbigniewa Grzegorowskiego. Są wreszcie akta sprawy sądowej Krzysztofa Wyszkowskiego, w trakcie której zgromadzono spory materiał źródłowy. Nie zliczałem tego wszystkiego, ale będzie łącznie pewnie parę tysięcy stron, a może i więcej dokumentów, które przez lata sukcesywnie gromadziłem, i to nie licząc relacji, wspomnień i innych materiałów. To jest jeden wielki akt oskarżenia. Nie tylko Wałęsy, lecz także systemu III RP, który skrywał prawdę i nie chciał osądzić tych, którzy umożliwili na taką skalę grabież dokumentów kompromitujących byłego przywódcę Solidarności.

Odnalezienie akt agenturalnych w domu Kiszczaka było przełomem i wyłomem w systemie kłamstwa. Nawet po 2008 r., kiedy ukazała się książka „SB a Lech Wałęsa”, powtarzano w kółko pytania: „A gdzie macie zobowiązanie Wałęsy do współpracy z SB?”, „Gdzie są własnoręczne donosy?”, „Gdzie oryginalne kwity kasowe?”.

Wszystko się skończyło w lutym 2016 r. Obie teczki agenturalne Wałęsy stanowią spójną całość. Są opieczętowane, zszyte, mają naniesioną paginę. To dokumentacja prowadzona zgodnie z regułami opisanymi w instrukcjach archiwalnych Służby Bezpieczeństwa. Powiedziałbym wręcz, że to modelowo prowadzona dokumentacja – i właśnie jako taką prezentuję ją swoim studentom. I – co niezwykle istotne – ta podstawowa dokumentacja agenturalna Wałęsy, którą stanowią teczki personalna i pracy agenta, pokrywa się z wiedzą zawartą w pozostałych znanych nam dokumentach na temat byłego lidera Solidarności, jego funkcjonariuszy prowadzących i w ogóle działań SB na odcinku stoczniowym po Grudniu ’70.

PRAWDA KONTRA POSTPRAWDA

Jeszcze w kwietniu 2016 r., po przesłuchaniu przez prokuratorów IPN i skonfrontowaniu z teczkami „Bolka”, Wałęsa napisał na swoim profilu facebookowym, że jeden z dokumentów jest prawdziwy. Nie precyzował jednak, który konkretnie. Stwierdził jedynie, że chodzi o dokument zarekwirowany mu podczas rewizji. W ten sposób próbuje się uwiarygodnić, wracając do starej opowieści dotyczącej spisanej na prośbę Bogdana Borusewicza relacji na temat Grudnia ’70, która wpadła w ręce SB. Wydaje się, że ten pomysł mógł mu podsunąć jego prawny pełnomocnik – Jan Widacki, z którym Wałęsa stawił się na przesłuchaniu w instytucie. Widacki nieprzypadkowo pojawił się u boku Wałęsy. To znany weteran walki z lustracją, który w PRL był wykładowcą Wyższej Szkoły Oficerskiej MSW im. Feliksa Dzierżyńskiego w Legionowie. Wie, na czym polega ta ciągła zabawa w ciuciubabkę, którą ostatecznie pogrzebał werdykt grafologów.

Było dla mnie oczywiste, że trudno będzie zakwestionować autentyczność

eprasa.pl 2088586fa3

teczek „Bolka", bo tego nie uczyniono nawet w 1990 r., analizując nieliczne kserokopie w MSW. Przypuszczałem jednak, że każde stwierdzenie w rodzaju, iż pisownia litery „B" na karcie X jest inna niż „B" na karcie Y, dla oszalałych obrońców Wałęsy będzie „dowodem" na fałszerstwo wszystkich jego akt.

Werdykt instytutu okazał się jednak jednoznaczny, bez jakiegokolwiek pola do dywagacji na temat rzekomych fałszerstw. Wałęsa sam stanął przed problemem, który sam wywołał, kwestionując autentyczność swoich akt agenturalnych.

ZMOWA I KOLEJNE WERSJE

Postać Wałęsy po roku 1989 była objęta prewencyjnym embargiem. Przełamały je dopiero książki wydane w latach 2008 i 2009 – „SB a Lech Wałęsa" i „Lech Wałęsa. Idea i historia".

Embargo nie dotyczyło jedynie jego współpracy z SB, ale w gruncie rzeczy rozciągało się na całą jego biografię – od czasów Popowa, Łochocina i Lipna aż do teraz. Przez lata musieliśmy zadowolić się tym, co zostało opowiedziane w książkach przez samego Wałęsę lub w przyjaznych opisach Drzycimskiego, Szczesiaka i Surdykowskiego oraz kolejnych zbiorowych wynurzeniach historyków, aktorów, publicystów i polityków na kartach książek w rodzaju „Droga do prawdy. Autobiografia".

Z czasem pisarstwo historyczne dotyczące Wałęsy zaczęło przypominać czasy PRL, ponieważ w zależności od najnowszych trendów dokonywano korekt w oficjalnym życiorysie. Najlepszym przykładem jest podejście do agenturalności byłego prezydenta. W latach 1992–2008, czyli od czasu tzw. listy Macierewicza do wydania książki „SB a Lech Wałęsa", obowiązywała zasada, że w gruncie rzeczy Wałęsa nie współpracował z SB, nie wiadomo, kto był „Bolkiem", zaś znane dokumenty nie przedstawiają większej wartości archiwalnej, gdyż w ogóle nie wiadomo, czy są autentyczne. Po książce „SB a Lech Wałęsa" zazwyczaj zgadzano się co do „jakiejś formy" współpracy Wałęsy ze Służbą Bezpieczeństwa, ale kwestionowano zaciągnięcie przez niego pisemnego zobowiązania do współpracy w 1970 r. i pomniejszano znaczenie TW „Bolka" w rozładowaniu sytuacji po Grudniu '70. Twierdzono również, że sprawa pozostanie na zawsze nierozstrzygnięta, bo materiały Wałęsy zostały „zniszczone". Po ujawnieniu oryginałów teczek Wałęsy przetrzymywanych w domu Kiszczaka przyjęto, że Wałęsa jednak współpracował z SB, ale w swoim przekonaniu prowadził „grę z SB", która nie miała żadnego wpływu na jego działalność w Wolnych Związkach Zawodowych Wybrzeża i Solidarności.

OBOWIĄZUJĄCA OPOWIEŚĆ

Bardzo charakterystyczne są pod tym względem publiczne wypowiedzi i ewoluujące pisarstwo prof. Andrzeja Friszkego (nieprzypadkowo konsultanta kłamliwego historycznego filmu Wajdy o Wałęsie), na którym – ze względu na pozycję naukową i autorytet – wzorują się także inni historycy, politolodzy i publicyści, którzy obawiają się wpływów – przecenianych zresztą – tego profesora.

Nieprzypadkowo sam Wałęsa przywoływał „autorytet profesora Andrzeja Friszkego" w książce „Droga do prawdy. Autobiografia", która była kuriozalną odpowiedzią na „SB a Lech Wałęsa". Były prezydent „wytapetował" swoją kolejną wersję autobiografii przepisanym osobliwym artykułem Friszkego „Zniszczyć Wałęsę" z „Gazety Wyborczej", w którym zostałem uznany za kontynuatora działań bezpieki.

W kwietniu 2009 r. Friszke twierdził na łamach „Dziennika", że gdyby za naukę w IPN odpowiadali Antoni Dudek i Paweł Machcewicz, to książka „SB a Lech Wałęsa" „nie mogłaby wyjść". Jeszcze w czerwcu 2011 r. grzmiał na łamach „Wyborczej", że dowody na współpracę Wałęsy z SB są „szalenie wątłe", a fakt rejestracji jako TW nie może być „dowodem istnienia współpracy" z SB. Pisząc kolejne uaktualnione teksty (w rodzaju opublikowanego w „Newsweek Historia" w 2013 r. „Człowiek z Grudnia", opatrzonego afiszem od redakcji: „Wałęsa. Jak to było naprawdę"), Friszke stara się wyznaczać w sprawie Wałęsy granicę i margines bezpiecznego formułowania wniosków. I wyznaczył na tyle skutecznie, że już po lekturze teczek „Bolka" przekazanych przez Kiszczakową mieliśmy do czynienia z samonakręcającą się kolejną falą kłamstw, którym towarzyszyło wygłaszanie rytualnych, politycznie poprawnych aktów strzelistych polityków i zideologizowanych historyków (także na forum IPN), zapewniających, że „Wałęsa był niesterowalny", że „był człowiekiem walki" o „konsekwentnej postawie", a „epizod [jego] współpracy z SB" nie miał wpływu na jego „autentyczne zbuntowane przywództwo" w latach 80.

Sam Friszke podsumowując znalezisko teczek „Bolka" u Kiszczaka, ale już po wszczęciu śledztwa IPN w sprawie rzekomych fałszywek SB, mówił w „Rzeczpospolitej", że wprawdzie jego zdaniem Wałęsa współpracował z SB, ale „nie mamy jeszcze stuprocentowej pewności, że to jego podpis" widnieje pod zobowiązaniem i pokwitowaniami odbioru pieniędzy. Następnie w jego wypowiedzi pojawia się cały zestaw bzdur: że Wałęsa był formalnie aresztowany 19 grudnia 1970 r., a w rzeczywistości był zatrzymany i doprowadzony do komendy MO; że unikał donoszenia na konkretnych ludzi po 1972 r.; że po 1976 r. „nie miał żadnych niejawnych kontaktów z SB".

Taka „prawda" o Wałęsie wciąż aktualnie obowiązuje – o czym przypomniał w ostatnich dniach Friszke w dyscyplinującym historyków oświadczeniu opublikowanym na stronie Laboratorium Więzi. Szczególne napiętnowanie w tym kontekście mojej osoby poczytuję sobie za dowód uznania, że to ja miałem i mam rację w sprawie Wałęsy.

FUNDAMENT KŁAMSTWA

To wszystko każe mi pokusić się o obserwację, której esencją jest przekonanie, że Wałęsa jest jednym z fundamentów kłamstwa III RP, którego ze wszystkich sił będą w taki czy inny sposób do końca bronić, używając do tego również historyków.

Dlatego dzisiaj publicznie bronią Wałęsy ludzie dawnego reżimu, działacze PZPR, agenci, ludzie tajnych służb, z których niejeden wyzywa mnie i grozi w prywatnych e-mailach, na Facebooku czy Twitterze.

Zauważmy, że ani w czasach PRL, ani w systemie III RP establishment nie zdecydował się na ostateczne poświęcenie Wałęsy. Nawet w sytuacji silnego konfliktu, gdy stawką było zwycięstwo w wyborach prezydenckich w 1990 r., strona postkomunistyczno-udecka nie odważyła się wprost zaatakować teczką „Bolka", choć Wałęsa stał się wtedy politycznym przeciwnikiem Tadeusza Mazowieckiego. Wprawdzie podległe premierowi służby wyciągnęły „Bolka" z szafy i zaczęły przygotowywać się do uderzenia, ale miało to nastąpić – mówiąc językiem tajnych służb – z „pozycji trzeciej", czyli za pośrednictwem Stanisława Tymińskiego. To scenariusz dobrze mi znany z czasów PRL, który

eprasa.pl 2088586fa3

w 1981 r. bardzo wyraźnie sformułowała bezpieka: popieramy Wałęsę, ale „jednocześnie pragniemy jego zwycięstwo uczynić możliwie nieznacznym, aby pokazać mu siłę innych". To kwintesencja pomysłu komunistów na Wałęsę! To klucz do zrozumienia tej strategii walki z Wałęsą, którą nieustannie przywołują jego akolici. Walki na pół gwizdka! Zasugerować, dać do zrozumienia, że się coś wie, osłabić, poderwać autorytet, ale nie na tyle, by sięgnął bruku, by go ostatecznie wykończyć i wymazać z kart historii. To ma być sytuacyjne pokonanie przeciwnika na punkty, ale nie przez nokaut. Tak robili komuniści, a po 1989 r. jego antagoniści w rodzaju Michnika. To właśnie w stylu zgodnym z tą strategią napisał Michnik w październiku 1990 r. obszerny artykuł w „Gazecie Wyborczej" zatytułowany „Dlaczego nie oddam głosu na Lecha Wałęsę". Michnik pisał – zgodnie z prawdą – że Wałęsa jest sprawcą „agonii" idei Solidarności, że jest „znakiem konformizmu i knebla", że „podzielił »Solidarność«" oraz „usunął tych wszystkich, którzy umieli mu się przeciwstawić i mogliby zagrodzić drogę", uznając w dodatku „za pożyteczne określić ich publicznie mianem »jajogłowych« lub »Żydów«". Dodał też: „Wałęsa może zwyciężyć w wyborach, jeśli zdoła utrzymać swój mit »ojca narodu«. Ojciec – jak wiadomo – może się upić i zbić żonę, ale dzieciom na ojca nie wolno podnieść ani głosu, ani ręki. Jeśli ten mit sparaliżuje polskie umysły i serca – wtedy Wałęsa zwycięży". Na tekst Michnika warto spojrzeć pod kątem umiejętności zarządzania potencjałem wiedzy faktograficznej, kontekstowej i psychologicznej, jaką na temat Wałęsy dysponował warszawski salon skupiony wokół redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej" i Kuronia.

ŚCIEŻKA WYZNACZONA W PRL

Komuniści nigdy nie zdecydowali się opowiedzieć całej prawdy o przeszłości Wałęsy. Należy podkreślić: nie chodzi wyłącznie o agenturę, choć to jest jakby fundament wszystkich zachowań Wałęsy, lecz o życie osobiste i intymne, przyzwyczajenia, relacje rodzinne, sprawy majątkowe, innymi słowy – cały proces „psucia się" Wałęsy po sierpniu 1980 r.

Dobrym przykładem gry prowadzonej wokół Wałęsy jest ujawnienie w 1983 r. poprawionej i zmontowanej z korzyścią dla niego tzw. rozmowy braci, czyli pijackiej dyskusji Lecha i Stanisława Wałęsów z 29 września 1982 r. w Arłamowie. Po odebraniu taśmy z nagraniem rozmowy od Stanisława Wałęsy władze PRL miały w ręku prawdziwy młot, którym mogły w każdej chwili zmiażdżyć autorytet Wałęsy.

Lech Wałęsa rozmawiający z dziennikarzami po ujawnieniu opinii grafologów na temat akt „Bolka" FOT. PRZEMEK ŚWIDERSKI/EAST NEWS

Z kolei w „Archiwum Mitrochina" czytamy, że „Jaruzelski poinformował Aristowa o przygotowaniu materiałów oczerniających Wałęsę, w tym pornograficznych (przypuszczalnie Wałęsa z kochanką), które przedstawiają go jako chamskiego intryganta o gigantycznych ambicjach". Te materiały, choć krążyły, trafiając m.in. do Watykanu i Stanów Zjednoczonych, nigdy nie ujrzały światła dziennego.

Była też znamienna publikacja – „Skargi obywatela Wałęsy" – poświęcona patologiom i konfliktom z prawem rodziny Wałęsów i Gołosiów, wydana na początku 1984 r., a powielana później w prasie regionalnej i centralnej PRL.

Takich sytuacji było więcej, a wszystkie wpisują się w dość czytelną strategię: „szturchania" i stopniowego podkopywania autorytetu Wałęsy w oczach społeczeństwa, tak by „pokazać mu siłę innych" (władz PRL i SB), przy jednoczesnej ochronie i niezgodzie na ostateczny upadek. Paradoksalnie też to, co kompromitującego ujawniali komuniści o Wałęsie, budowało jego pozycję społeczną, bo istniało wówczas domniemanie graniczące z pewnością, że władze PRL preparują „komprmateriały" na „Pana Przewodniczącego". Myślę, że Wałęsa doskonale zdawał sobie z tego wszystkiego sprawę, przez co był jeszcze bardziej przewidywalny i niegroźny, także po 1989 r.

OBRONIĆ WAŁĘSĘ PRZED „BOLKIEM"

Od roku trwa kampania propagandowa, której punktem ciężkości stanie się obrona Wałęsy przed „Bolkiem" (sic!) i syndromem agenta bezpieki, mogącym wpływać na jego działalność zwłaszcza w latach 1980–1989. Zinstytucjonalizowaną i zetatyzowaną akcję obrony Wałęsy przez historyków, z których – co ciekawe – żaden nie podjął się przebadania pełnej biografii Wałęsy, charakteryzuje stanowisko oparte na trzech fundamentach: odmowie wiedzy źródłowej (także wynikającej z faktu nieprowadzenia studiów i kwerend), próbie narzucenia obowiązującej interpretacji teczkom TW „Bolek" oraz swoistej „odporności" na wciąż odnajdywane archiwalia, które z góry unieważnia teza lansowana od wielu lat o „grze" i „autentyzmie przywództwa" Wałęsy.

Taki aprioryczny fundamentalizm niejako automatycznie zmusza do odrzucenia każdego artykułu, książki, poglądu czy nawet roboczej hipotezy na temat Wałęsy, które nie odpowiadają stanowisku samozwańczych interpretatorów. Autorzy „nieprawomyślnych" tekstów o Wałęsie nie mogą liczyć na udział w dyskusji oraz podlegają stygmatyzacji i napaściom, czego najlepszym przykładem wciąż pozostaje sprawa Pawła Zyzaka zwolnionego z IPN w 2009 r. w aurze haniebnych ataków.

Istotą dalszego sporu o Wałęsę będzie więc ocena jego działalności po formalnym wyrejestrowaniu z sieci agenturalnej. Jego obrońcy i tchórzliwi historycy to wiedzą, stąd już teraz prewencyjnie zaklinają przyszłość.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2088586fa3

Kamila Baranowska

Koniec bezkarności

Pięć osób z zarzutami korupcji i oszustw w związku z aferą reprywatyzacyjną, cztery z nich trafiły do aresztu tymczasowego. Wśród nich m.in. wpływowy warszawski adwokat i były urzędnik miejski. A to dopiero początek trzęsienia ziemi

Zatrzymania CBA, prokuratorskie zarzuty, wreszcie zgoda sądu na tymczasowy areszt to przełom w wyjaśnianiu afery reprywatyzacyjnej. Od wielu miesięcy mieliśmy do czynienia z licznymi publikacjami medialnymi, pokazującymi sieć podejrzanych powiązań, dziwnych znajomości, wątpliwych decyzji i zastanawiających zbiegów okoliczności. I choć ze strony resortu sprawiedliwości oraz prokuratury płynęły zapewnienia o intensywnej pracy, gromadzeniu dokumentacji i analizie danych, to pojawiały się w debacie publicznej głosy wątpiące w skuteczność tych działań. Wydawało się, że ludzie zaangażowani w dziką reprywatyzację byli na tyle sprytni, iż nie łamali prawa, lecz korzystali z jego luk, wobec czego trudno będzie im nawet postawić jakiekolwiek zarzuty.

– Muszę przyznać, że uznałem w pewnym momencie, że za długo to trwa i że pewnie jak zawsze nic z tego nie będzie – mówi Jan Śpiewak, warszawski radny ze stowarzyszenia Miasto Jest Nasze, które jako jedno z pierwszych alarmowało o tym, co się dzieje w sprawie warszawskich reprywatyzacji. – Po zatrzymaniach zastanawiałem się, czy sąd przychyli się do wniosków o tymczasowy areszt, bo to był pierwszy test na to, jak mocnym materiałem dowodowym dysponuje prokuratura. Skoro sąd się zgodził na areszt, to znaczy, że były ku temu poważne przesłanki. I dobrze. Mam nadzieję, że to początek walki z mafią reprywatyzacyjną, która od lat zatruwa Warszawę, i że będą kolejne zatrzymania – przyznaje.

Dodaje też, że czuje pewną satysfakcję, bo Miasto Jest Nasze składało do prokuratury zawiadomienia dotyczące wszystkich tych osób, które zostały zatrzymane przez warszawskie CBA.

SIEĆ POWIĄZAŃ

Wśród zatrzymanych znaleźli się Robert N., znany warszawski prawnik, od lat specjalizujący się w przejmowaniu gruntów i nieruchomości w stolicy, a także Jakub R., były zastępca szefa Biura Gospodarki Nieruchomościami, który w ratuszu odpowiadał za decyzje dotyczące zwrotów przedwojennych kamienic, oraz jego rodzice Alina D. i Wojciech R. Piątym zatrzymanym jest Mariusz L.

Wszystkie te osoby łączy sprawa słynnej działki w centrum Warszawy, tuż przy Pałacu Kultury i Nauki (przedwojenny adres Chmielna 70, dziś plac Defilad 1).

Grunt ten (jego wartość szacuje się nawet na 160 mln zł) „odzyskał" dla swoich klientów właśnie adwokat Robert N., który wcześniej skupił roszczenia do działki od dawnych spadkobierców. Nowymi właścicielami terenu zostały trzy osoby: bliski współpracownik Roberta N., adwokat specjalizujący się w reprywatyzacjach i siostra Roberta N.

Zaledwie 19 dni po tym, jak klienci mecenasa N. zawarli umowę z dawnymi spadkobiercami działki, ratusz podpisem Jakuba R., ówczesnego wicedyrektora Biura Gospodarki Nieruchomościami, wydał pozytywną decyzję o jej zwrocie nowym właścicielom.

Wątpliwości co do uczciwości transakcji pojawiły się, gdy media opisały, że część działki przy Pałacu Kultury przed wojną należała do Duńczyka Jana Holgera Martina. Jak się okazało, Dania była jednym z krajów, którym Polska wypłaciła

eprasa.pl 2088586fa3

W związku z aferą reprywatyzacyjną zatrzymano m.in. warszawskiego prawnika Roberta N. FOT. MACIEJ KULCZYŃSKI/PAP

po wojnie stosowne odszkodowania za nacjonalizację.

Jak opisywała „Gazeta Stołeczna", w tym samym czasie, gdy trwało postępowanie w sprawie Chmielnej 70, mecenas Robert N. i urzędnik miejski Jakub R. zostali współwłaścicielami ośrodka wypoczynkowego w Kościelisku. Odkupili go wspólnie od spadkobierców przedwojennego generała. W transakcji pośrednikami byli rodzice Jakuba R.

Co ciekawe, kilka dni po wydaniu decyzji w sprawie działki w centrum stolicy Jakub R. odszedł z pracy w ratuszu.

ŚWIADOME SZKODY, MILIONOWE ZYSKI

Prokuratura postawiła mecenasowi N. trzy zarzuty. Jeden dotyczący obietnicy udzielenia korzyści majątkowej w wysokości 2,5 mln zł, która miała zostać rozliczona przy sprzedaży nieruchomości w Kościelisku w zamian za wydanie pozytywnej decyzji w sprawie reprywatyzacji działki w centrum Warszawy. Prokuratura uważa, że Robert N. doskonale wiedział, że Duńczyk Jan Holger Martin był objęty umową odszkodowawczą między Polską a Danią i dysponował na ten temat opinią prawną. Działając ze świadomością szkody na rzecz Skarbu Państwa, naraził go, zdaniem śledczych, na straty w wysokości 62,5 mln zł. – Chodzi o wpływy z użytkowania wieczystego – precyzuje Anna Zimoląg z wrocławskiej prokuratury.

W 2013 r. Jakub R. sprzedał ośrodek w Kościelisku w imieniu swoim i współwłaściciela Roberta N. za 8,8 mln zł. Obaj mieli po 50 proc. udziałów. Prokuratura wytyka, że „bez żadnego ekonomicznego uzasadnienia" Jakub R. dostał 6,9 mln z tej kwoty, a Robert N. tylko 1,9 mln.

W wywiadzie udzielonym w październiku ubiegłego roku Onetowi Robert N. się zarzekał, że prowadząc sprawę działki w centrum Warszawy, nie znał Jakuba R. I że nie „mieli żadnych relacji", gdy zostali współwłaścicielami nieruchomości w Kościelisku. – Rzeczywiście, spotkaliśmy się przy sprzedaży Salamandry, ale trudno mówić o jakiejś znajomości. Byliśmy niezależnymi udziałowcami Salamandry. To tak, jakbyśmy kupili mieszkania w tym samym bloku – tłumaczył. – Nie miałem z nim interesów. Podkreślam, że byliśmy niezależnymi współwłaścicielami działki w Zakopanem, nabyliśmy swoje udziały niezależnie, w różnym czasie. Nie kontaktowaliśmy się. To była lokata kapitału, po kilkunastu miesiącach sprzedałem swój udział – dodawał.

Kolejne dwa zarzuty dla mecenasa N. dotyczą transakcji kupna roszczeń do nieruchomości w Kościelisku – chodzi o wprowadzenie w błąd prawdziwych spadkobierców w celu osiągnięcia korzyści majątkowej oraz podrobienie dokumentu pełnomocnictwa, którym posługiwał się w tej sprawie.

Jakub R. usłyszał dwa zarzuty, analogiczne do tych postawionych Robertowi N., czyli przyjęcia korzyści majątkowej w wysokości 2,5 mln zł oraz celowego wprowadzenia w błąd spadkobierców ośrodka w Kościelisku w celu odkupienia od nich roszczeń. Grożą za to odpowiednio kary do 10 i 12 lat więzienia. Ten sam zarzut dotyczący ośrodka w Kościelisku usłyszeli także Mariusz L. oraz rodzice Jakuba R. Przy czym jego matka Alina D. odpowie także za posługiwanie się przed sądem sfałszowanym przez Roberta N. pełnomocnictwem.

Podejrzani, poza Jakubem R., złożyli obszerne wyjaśnienia. Wobec czwórki z nich sąd na wniosek prokuratury podjął decyzję o aresztowaniu na trzy miesiące.

– Postawione im zarzuty są zagrożone tak wysoką karą, że może to powodować chęć ukrywania się podejrzanych czy manipulowania materiałem dowodowym. W przypadku wszystkich czworga podejrzanych prokurator miał uzasadnione wątpliwości, czy nie będą utrudniać śledztwa, dlatego skierował wnioski o areszt – tłumaczyła prok. Zimoląg. W przypadku Mariusza L., który miał złożyć „obszerne wyjaśnienia", jako środek zapobiegawczy zastosowano poręczenie majątkowe w wysokości 0,5 mln zł, zakaz opuszczania kraju i zatrzymanie paszportu.

ZŁOŻONY PARASOL

Od osób, które dobrze znają sprawę, słyszymy, że materiał dowodowy jest naprawdę mocny. – Tutaj nie chodzi o omijanie prawa, wykorzystywanie braku ustawy reprywatyzacyjnej ani o inne formalne uchybienia, lecz o zwykłe łapówki i podrabianie dokumentów – słyszymy. – Chcemy stawiać zarzuty, żeby w sądzie sprawy kończyły się wyrokami skazującymi wobec winnych – tak sprawę zatrzymań skomentował minister sprawiedliwości i prokurator generalny Zbigniew Ziobro. A prokurator krajowy Bogdan Święczkowski dodawał, że to nie koniec. – Przed nami kolejne zatrzymania i kolejne realizacje w kolejnych sprawach. Pion ds. interwencji przestępczości gospodarczej zaczął skutecznie działać – stwierdził. Postępowania w sprawie warszawskich reprywatyzacji dotyczą blisko 170 nieruchomości, 40 śledztw prowadzi CBA, ponad sto prowadzonych jest w prokuraturach: warszawskiej i wrocławskiej.

– Uderzające jest, że wszyscy ci, których nazwiska przewijają się w aferze reprywatyzacyjnej, byli zawsze tak bardzo pewni siebie. Widać to choćby w udzielanych przez nich wywiadach, gdzie mówią, że zarówno od strony prawnej, jak i moralnej są czyści i nie mają sobie nic do zarzucenia. A gdy czujesz się zbyt pewnie, zaczynasz popełniać błędy – zauważa Jan Śpiewak. – Do tej pory było jednak takie wrażenie, że jest nad tą sprawą, nad tymi ludźmi jakiś parasol ochronny. Jeśli tak było, to ten parasol został właśnie złożony – konkluduje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2088586fa3

Tajemnica

Marcin Makowski

Jak ustaliło „Do Rzeczy”, z sejfu mazowieckich struktur KOD mogły znikać pieniądze i protokoły publicznych zbiórek. Nikt z organizacji nie potrafi ich odnaleźć

Po tym, jak wypłynęła na jaw sprawa faktur wystawianych komitetowi społecznemu oraz zarządowi KOD przez firmę Mateusza Kijowskiego i jego żony, społeczny ruch przeżywał największy kryzys wizerunkowy od czasu powstania. Jednak jak pokazał niedawny wybór Kijowskiego na szefa regionu Mazowsze, poza kłopotem z liderem „obrońcy demokracji” mają wyraźny problem z wyciąganiem wniosków z własnych błędów.

Struktury, nad którymi pieczę objął Kijowski, będą bowiem musiały się zmierzyć z kolejnym skandalem. Oskarżenia, które wysuwają prominentni działacze KOD, są równie poważne jak sprawa faktur wystawianych przez MKM Studio. Jeśli nie poważniejsze.

GDZIE TE PIENIĄDZE?

Pierwsze przecieki o nieprawidłowościach finansowych w KOD na Mazowszu zaczęły docierać do poprzednich liderów regionu wraz z rezygnacją koordynatora mazowieckich struktur – Marka Skórki.

Jak ustaliło „Do Rzeczy”, tydzień przed wyborem nowego szefa w regionie doszło do poufnego spotkania między jednym ze współzałożycieli KOD – Jarosławem Marciniakiem a Skórką. Ten drugi miał wówczas przedstawić pisemne uzasadnienie swojej rezygnacji. Wskazał też, że należy się dokładnie przyjrzeć kwestii zbiórek publicznych i ich rozliczaniu przez centralne struktury KOD.

Do dalszych rozmów zaproszono potem też Katarzynę Goldian, która do tej pory odpowiadała za nadzorowanie zbiórek. Zgodnie z jej relacją od kilku miesięcy miało dochodzić do nadużyć, na które Mateusz Kijowski nie zwracał uwagi, choć informowano go o możliwych problemach z doliczeniem się wszystkich deklarowanych środków.

Sprawa dotyczy przede wszystkim sejfu ufundowanego dla regionu Mazowsze przez prywatnego darczyńcę oraz pieniędzy, które się w nim znajdowały. „Do Rzeczy” dotarło do oświadczenia Marciniaka. Informuje w nim, że „w sejfie pozostającym w dyspozycji członków Mazowsza stwierdzono brak 8000 zł i 4 protokołów”. – Potwierdzam autentyczność tego listu. Tą sprawą zajmuje się obecnie zarząd KOD – mówi „Do Rzeczy” Jarosław Marciniak.

Z tego oświadczenia – umieszczonego w zamkniętej internetowej grupie członków KOD – wynika również, że dostęp do sejfu i klucza miała tylko jedna osoba. A do pomieszczenia z sejfem udostępnionym KOD w budynku przy ul. Marszałkowskiej w Warszawie wchodzić mogły tylko dwie osoby.

Jak twierdzi osoba z władz KOD, która pragnie zachować anonimowość, jedyny klucz do sejfu miał posiadać Piotr Wieczorek. To człowiek, o którym mówią „prawa ręka Mateusza Kijowskiego”.

– Za zbiórki publiczne KOD zawsze odpowiada konkretna osoba z imienia i nazwiska, w tym przypadku osoba podpisująca dany protokół. Jeśli ktoś wziął na siebie tę odpowiedzialność, musi ją dźwigać do końca – mówi „Do Rzeczy” Marciniak. – Faktem jest, że jedyny klucz do sejfu posiadał Piotr Wieczorek, a o zgodność protokołów ze zdeponowaną sumą powinna dbać Katarzyna Goldian. Oczywiście posiadanie klucza przez Piotra Wieczorka nie jest równoznaczne z tym, że coś z brakującymi pieniędzmi zrobił. Potrzebujemy jeszcze czasu na wyjaśnienie zaistniałej sytuacji – zaznacza.

Część członków KOD przeprowadziła własny audyt. Z raportu wykonanego po nim wynikać ma, że brak pieniędzy to niejedyny problem mazowieckiego Komitetu Obrony Demokracji. Od początku działalności jego struktur zbiórki miały być przeprowadzane z pominięciem procedur. Nie miały być dochowywane terminy, w których wpłaty darczyńców powinny trafiać do kasy regionu (powinno to nastąpić najpóźniej następnego dnia robocze-

eprasa.pl 2088586fa3

Mateusz Kijowski i nazywany jego „prawą ręką” Piotr Wieczorek FOT. WOJCIECH KRYŃSKI/FORUM

sejfu KOD

go) oraz w których do stowarzyszenia powinny trafiać protokoły rozliczeniowe.

Pominięcie terminów wpłat miało dotyczyć każdego przypadku rozliczenia otrzymanych przychodów, a maksymalna zwłoka w zaksięgowaniu (101 tys. zł) miała przekroczyć trzy tygodnie.

Czy nikt tego nie widział? „Wcześniejsze interwencje członków zarządu zbywane były słowami, że wszystko jest pod kontrolą” – czytamy w raporcie opublikowanym na wewnętrznym forum członków KOD.

– Moralnie czuję się odpowiedzialny za zaginięcie pieniędzy. Znajdowały się w końcu pod moją opieką – mówi „Do Rzeczy” Piotr Wieczorek. – Idea KOD jest dla mnie ważna, i jeżeli ma się okazać po audycie, że brakuje 8 tys. zł, to je wpłacę. Niczego nie zabrałem z sejfu. Jeśli się okaże, że kwoty się zgadzają, poproszę o potraktowanie mojej wpłaty jako darowizny – deklaruje.

Do tej pory nie ma jednak informacji o zwrocie pieniędzy. Pojawiła się za to internetowa zbiórka. Jarosław Marciniak twierdzi, że choć wprost nikt takiego celu nie zadeklarował, to istnieje duże prawdopodobieństwo, iż w ten sposób prowadzona może być zakamuflowana kwesta na pokrycie manka w kasie mazowieckiego Komitetu Obrony Demokracji. „Otrzymałem w wiadomości prywatnej zaproszenie do udziału w kolejnej zbiórce, która ma właśnie stanowić zapewnienie środków na pokrycie tego braku gotówki” – pisze jeden ze współzałożycieli KOD.

Kiedy kliknie się na link na portalu Zrzutka.pl, który ma prowadzić do tej zbiórki, trafia się na stronę, jakiej limit ustawiono na 8 tys. zł. Brakuje w niej opisu i celu zbieranych pieniędzy. Jest tylko hasło: „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”. Wiadomo za to, że za akcję na portalu Zrzutka.pl odpowiada Magda van der Kroft-Golka. To kandydatka do Regionalnego Sądu Koleżeńskiego w KOD Mazowsze. Do tej pory zebrano ponad 70 proc. kwoty docelowej.

– Nic nie wiem o podobnych działaniach – dementuje domysły w sprawie internetowej kwesty Piotr Wieczorek.

A Marciniak ostrzega: – Organizator zbiórki musi mieć świadomość konsekwencji, które następują, gdyby doszło do złamania prawa.

WEWNĘTRZNA WALKA?

Mazowieccy działacze całą sprawę z Wieczorkiem postrzegają jako atak Zarządu Głównego KOD na ich nowego lidera Mateusza Kijowskiego. Zarząd już po ujawnieniu faktur wystawianych KOD wezwał Kijowskiego do dymisji. W zarządzie jest Radomir Szumełda, który Kijowskiego publicznie w tej sprawie ostro zaatakował. Jest w nim także Jarosław Marciniak.

Swoich podejrzeń działacze KOD Mazowsze nie ukrywają. Wystarczy przejrzeć komentarze wpłacających pieniądze na wspomnianą zbiórkę w Internecie. „Na pohybel ZG” – napisała 23 stycznia Ewa Szymańska, której zdjęcie dumnie eksponuje znaczek KOD.

– Te pomówienia to element gry wyborczej w KOD. Być może prowadzonej z zewnątrz i mającej na celu zniszczenie ruchu – uważa też sam Piotr Wieczorek. – Raz jeszcze powtarzam: nie przywłaszczyłem żadnych pieniędzy.

Kłopot w tym, że to niejedyna finansowa operacja, w którą zaangażowany miał być Wieczorek. To właśnie on odpowiadał za zakończoną frekwencyjną klapą manifestację z 11 listopada 2016 r., której budżet został przekroczony bez zgody Zarządu Głównego KOD. – Potwierdzam, że łączny koszt manifestacji 11 listopada przekroczył 106 tys. zł. Nie zawsze niestety, z żalem informuję Zarząd Główny, bilans marszu może być dodatni – mówi „Do Rzeczy” Wieczorek. Minister Błaszczak tak podgrzał atmosferę, że frekwencja była niższa, niż zakładaliśmy. Wpływy z kwesty wyniosły 100 tys. zł, zatem całkowity koszt manifestacji to 6 tys. zł – dodaje.

Jak zapowiada informator „Do Rzeczy”, w sprawie brakujących pieniędzy zostanie złożone zawiadomienie do prokuratury. To śledczy będą musieli wyjaśnić, dlaczego była różnica między deklarowanymi wartościami zbiórek a wpłaconymi kwotami oraz jaki los spotkał cztery zaginione protokoły.

Jak widać, Mateusz Kijowski jako nowo wybrany szef regionu Mazowsze będzie miał na głowie kłopot poważniejszy niż wystawianie faktur dla KOD.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2088586fa3

Jak kręci Nitras

Agnieszka Niewińska

Transmituje mycie drzwi w biurze PiS, nagrywa ochroniarza Jarosława Kaczyńskiego. Filmiki stały się znakiem rozpoznawczym Sławomira Nitrasa. Czy internetowa popularność go uratuje, jeśli Grzegorz Schetyna zechce ściąć mu głowę?

FOT. ADAM CHELSTOWSKI/FORUM

Kim pan jest? Może pan się przedstawić? Kim jest ten pan? Wołam straż marszałkowską!". Obraz się trzęsie, a poseł PO Sławomir Nitras sam odpowiada na zadane przez siebie pytania: „Pan jest prywatnym ochroniarzem prezesa Kaczyńskiego", „ja pana znam z filmu, pan grał w filmie »Smoleńsk«".

To jedna z najnowszych wideoprodukcji posła Platformy. Jego materiały wideo można już chyba liczyć w godzinach, bo Sławomir Nitras najwyraźniej jest zafascynowany możliwością nagrywania smartfonem filmów i umieszczania ich w sieci. Co kilka dni publikuje kolejne nagranie. Najwięcej ich powstało podczas okupowania sali plenarnej Sejmu. Nitras biegał wtedy z komórką za politykami PiS po sejmowych korytarzach, filmował rzeczy, które posłowie zostawili na sali obrad. W jednej z produkcji wcielił się też w przewodnika po galerii sejmowej. Pokazywał np., jak działają siedziska: „Galeria ma takie siedzenia jak w kinie starym. Jak się wstanie, to to siedzenie się prostuje" – demonstrował.

16 grudnia przed budynkiem Sejmu z pasją filmował polityków PiS, którym manifestanci uniemożliwili wyjazd z Wiejskiej. „Nitras, powiedz mi, kochany, na czym ty dzisiaj jedziesz?" – pytał osaczany przez jego kamerę poseł PiS Krzysztof Zaremba. Polityk Platformy zapewniał potem w mediach, że nigdy nie brał narkotyków. – Może to zima, śnieg i mróz wpłynęły na to, że poseł Nitras był tak dziwnie pobudzony. Takie szaleństwo białego puchu – mówi „Do Rzeczy" Zaremba. Podobnie jak Nitras jest on posłem ze Szczecina. Filmów kolegi nie chce jednak komentować. – Wolałbym, żeby poseł Nitras wyjaśnił sprawę tzw. afery żwirowej czy afery narkotykowej w Szczecinie – odpowiada.

Rola sejmowego reportera Nitrasowi wyraźnie się spodobała. Z filmów widać, że lepiej odnalazłby się jednak w produkcjach rodzaju „one man show", bo najczęściej na pierwszym planie jest on sam. „Moi koledzy chwilę popracują, a ja chwilę z państwem porozmawiam" – mówi w transmisji niedawnej akcji mycia zniszczonych drzwi biura poselskiego Joachima Brudzińskiego z PiS. I gdy inni szorowali pochlapane farbą drzwi, on przed kamerką potępiał dewastację biura PiS i rosnącą agresję w życiu publicznym. Od opowieści o hejcie płynnie przeszedł do historii o sobie. Wspominał, że „watażkowie Brudzińskiego" zabili mu kiedyś drzwi biura poselskiego i uderzyli go deską.

SZCZECIŃSKI DYZMA

Jego filmowa pasja spowodowała, że po latach znów jest o nim głośno. Ostatnio bowiem gwiazda 43-letniego posła przygasała, a przecież jeszcze dekadę temu gazety przedstawiały go jako „delfina", który może zastąpić w PO Tuska i Schetynę. Nazywano go „młodym wilkiem", rozpisywano się o jego roli w szczecińskiej Platformie, którą kierował od 2003 r., o jego talentach organizacyjnych, a nawet o tym, jak wyprowadził na prostą i sprywatyzował koszalińską kopalnię kruszyw.

Nitras pochodzi z Połczyna-Zdroju. Studia politologiczne skończył na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Szczecińskiego, podobnie jak wielu pochodzących ze Szczecina polityków, m.in. Joachim Brudziński, Grzegorz Napieralski i wspomniany już Krzysztof Zaremba. Do uprawiania polityki wziął się już w latach 90. Był w Unii Polityki Realnej, w Stronnictwie Konserwatywno-Ludowym, potem w AWS. Do PO poszedł z częścią SKL skupioną wokół Jana Rokity, którego był stronnikiem. „Pamiętam Nitrasa jeszcze jako dynamicznego, ambitnego, prężnego studenta. Zapraszał mnie na obozy w Międzyzdrojach i Mielnie, żeby porozmawiać o polityce" – mówił przed rokiem „Rzeczpospolitej" Artur Balazs, jeden z twórców SKL. Dziś o Nitrasie wypowiadać się nie chce. Rok temu oceniał go w „Rz" tak: „Bardzo szybko chciał być kimś ważnym".

– On kocha być kimś, idzie po trupach do celu –

eprasa.pl 2088586fa3

potwierdza były polityk PO, który dobrze zna Nitrasa. – To Nikodem Dyzma szczecińskiej polityki i jestem zdania, że nigdy nie powinien był do niej trafić – dodaje.

Od 2010 r. Nitrasa w PO próbowano spychać na polityczny margines. Ci, którzy go znają, mówią, że to po części efekt tego, iż Nitras jak mało kto potrafi narobić sobie wrogów. – W 2009 r. został wybrany na posła do Parlamentu Europejskiego i w zasadzie zniknął ze sceny krajowej. – Mam jednak wrażenie, że wielu polityków, którym podstawił nogę, cierpi na rodzaj syndromu sztokholmskiego i ponownie się z nim sprzymierza – mówi Małgorzata Jacyna-Witt, szczecińska radna. – Myślę, że to efekt osobowości Nitrasa. To taki Piotruś Pan w sposobie zachowania i niektórym się to podoba. Wśród szczecinian też nie ma jednoznacznie złej opinii. Chociaż pamięta mu się rozbicie służbowego auta, jazdę pod prąd na autostradzie, brutalną grę polityczną, to jednak wielu podoba się to, że Nitras jest takim watażką, którego trudno zatopić, który potrafi wrócić do politycznej gry.

W 2014 r. Nitras wrócił do pierwszej ligi za sprawą Ewy Kopacz, która wyciągnęła do niego rękę, proponując funkcję głównego doradcy w swoim gabinecie. W 2015 r. dostał miejsce na liście w wyborach do parlamentu i wygląda na to, że tę kadencję wykorzystuje do medialnej ofensywy. – Swoimi występami się jednak pogrąża. Jak znam Schetynę, to tylko czeka na odpowiedni moment, by uciąć mu głowę. Jemu i innym rewolucjonistom: Agnieszce Pomasce, Michałowi Szczerbie – mówi były polityk PO.

Jacyny-Witt nie dziwi aktywność Nitrasa w Internecie. – Gra na siebie, zabiega głównie o własną popularność. Robi tak zresztą od lat – mówi radna. Jej zdaniem wiele wskazuje na to, że Nitras przymierza się do fotela prezydenta Szczecina. – W tej chwili bardzo mocno o siebie walczy. W byciu antypisowskim jest chyba najbardziej agresywny spośród szczecińskich polityków. Nic zresztą dziwnego. Wie, że aby wygrać, musiałby być wspólnym kandydatem PO, Nowoczesnej i KOD. Chce też pozyskać poparcie prezydenta Piotra Krzystka, którego zresztą sam stworzył, podsuwając go Platformie jako kandydata. W ostatnich latach byli jednak skonfliktowani, bo Krzystek odsunął Nitrasa od rozdawania stanowisk w Szczecinie. Znów mogą się sprzymierzyć, bo gdyby PiS ograniczył kadencje prezydentów, Krzystek nie mógłby kandydować. Za poparcie Nitrasa mógłby dostać posadę wiceprezydenta – ocenia Jacyna-Witt. Jej zdaniem prezydentura w Szczecinie byłaby dla Nitrasa wygodna. – Daje doświadczenie w knuciu i pozwala na robienie sobie PR za publiczne pieniądze. To dobra pozycja wyjściowa do powrotu do krajowej polityki – uważa Jacyna-Witt. Do stylu, w jakim Nitras uprawia politykę, ma poważne zastrzeżenia. Wspomina 2006 r., kiedy prowadziła kampanię Teresy Lubińskiej walczącej o prezydenturę Szczecina. Nitras zarzucił jej wtedy, że jako minister finansów umorzyła zadłużenie podatkowe posła Samoobrony, choć potem sam mówił w rozmowie z „Rz", że wiedział o tym, iż Lubińska nie miała z tym nic wspólnego. – Aby zdyskredytować prof. Lubińską, posłużył się kłamstwem. Myśmy to strasznie wtedy przeżyły – opowiada Jacyna-Witt. I dodaje: – Nie zdziwiłabym się, gdyby i opowieści Nitrasa o tym, że Jarosław Gowin proponował mu ministerstwo, były zwyczajnym blefem.

Nitras w kilku wywiadach opowiadał, że już siedem miesięcy temu Gowin proponował mu stanowisko ministra sportu w gabinecie Beaty Szydło. Twierdzi, że w rządzie PiS by się nie znalazł, bo ma inne poglądy. – Kiedyś przecież uchodził za konserwatystę – śmieje się były polityk PO. – Ktoś go nazwał jeźdźcem bez głowy i to jest bardzo trafne określenie – mówi. A Małgorzata Jacyna-Witt dodaje: – Nitras to nie jest polityk ideowy, trudno w ogóle mówić o jego poglądach. Dzisiaj twierdzi, że są zupełnie inne niż te prezentowane przez PiS, a dawniej uchodził za prawicowca, konserwatystę, trzymał się z Janem Rokitą i Jarosławem Gowinem.

STRZAŁ W STOPĘ

Nitras o swoich nagraniach i aktywności na Facebooku i Twitterze nie chce rozmawiać. Jak mówi, wszystko wyjaśnia w publikowanych przez siebie nagraniach. – W ogóle nie lubię takich rozmów – ucina.

Doktor Wojciech Jabłoński, politolog i specjalista w dziedzinie wizerunku, uważa, że prowadzenie takiej internetowej działalność jest dla Nitrasa strzałem w stopę. – To błazenada, która nie poprawia jego wizerunku – ocenia. – Z formalnego punktu widzenia jego pytanie o obecność ochroniarza prezesa Kaczyńskiego w kuluarach było zasadne. Jednak stosowanie tej samej formy przekazu co przy akcji okupowania sali plenarnej Sejmu, która okazała się kompletną porażką, to błąd. Sławomir Nitras niczego na tym nie zyska, lepiej żeby wyłączył nagrywanie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl 2088586fa3

Wojciech Wybranowski

Prokurator Barbara Kijanko, której wystarczył miesiąc, by odmówić wszczęcia postępowania ws. afery Amber Gold, na ponad 600 prowadzonych przez siebie spraw blisko 400 umorzyła lub zakończyła odmową wszczęcia postępowania. Dziesięć dotyczyło trójmiejskich urzędników – ustaliło „Do Rzeczy"

Śledcza od umorzeń

Gdańska prokurator Barbara Kijanko może być pierwszym przedstawicielem organów ścigania, który odpowie za ich fatalne działanie w sprawie głośnej afery Amber Gold.

Sprawą Amber Gold śledcza z Prokuratury Rejonowej Gdańsk-Wrzeszcz zajmowała się od grudnia 2009 r. do czerwca 2012 r. W poprzednim numerze „Do Rzeczy" pisaliśmy, że prawdopodobnie w tym tygodniu członkowie komisji śledczej przegłosują i skierują do prokuratury wniosek o ściganie jej za nieprawidłowości w śledztwie dotyczącym piramidy finansowej, w której 19 tys. osób straciło ponad 850 mln zł. Błędów, jakie popełniła, zdaniem członków komisji śledczej badającej sprawę nie da się uzasadnić w sposób racjonalny.

Jednak nie tylko jej działania w sprawie Amber Gold budzą wątpliwości. Ustalenia „Do Rzeczy" mogą zastanawiać. Czy w innych postępowaniach, które Kijanko umarzała lub w których decydowała o odmowie wszczęcia postępowania, takie decyzje nie były przedwczesne i pochopne? A było ich wiele.

UMARZAM, ODMAWIAM WSZCZĘCIA, NIE STWIERDZAM...

Barbara Kijanko w środowisku trójmiejskich stróżów prawa uchodzi za doświadczoną śledczą. W organach ścigania przepracowała blisko 15 lat, karierę śledczej zaczęła w grudniu 1992 r., zostając aplikantem gdańskiej prokuratury rejonowej. W 1995 r. mianowano ją na stanowisko asesora Prokuratury Rejonowej w Pruszczu Gdańskim, w lipcu 1997 r. została tam prokuratorem. Zdaniem naszych informatorów na tym stanowisku nie wyróżniła się niczym szczególnym, ale już w lutym 1998 r. trafiła do Prokuratury Rejonowej Gdańsk-Północ; od listopada 2005 r. do dziś pracuje w Prokuraturze Rejonowej Gdańsk-Wrzeszcz.

To właśnie tam zaczęła prowadzić sprawy „grubego kalibru" (np. postępowania m.in. w sprawie o błąd w sztuce lekarskiej czy w sprawie podejrzenia korupcji jednego z trójmiejskich urzędników). Jeszcze w 2013 r. szefowa tamtejszej prokuratury Jolanta Janikowska-Matusiak chwaliła ją w rozmowie z „Gazetą Wyborczą", mówiąc: „Jestem zadowolona z jej pracy, bo to bardzo dobry pracownik".

Jak wynika z informacji, do których dotarliśmy, prok. Barbara Kijanko nigdy nie była oficjalnie przez przełożonych wyróżniana ani chwalona, nigdy taki oficjalny wniosek nie wpłynął też do tamtejszej prokuratury okręgowej. Również jej bezpośredni przełożeni nigdy nie wszczynali wobec niej żadnych postępowań kontrolnych czy dyscyplinarnych.

– Staram się ją sobie przypomnieć, ale nie bardzo mogę. To był jeden z wielu trybików w machinie, nierzucający się w oczy, niepchający się do mediów. Miała dobre statystyki prowadzonych spraw, a to mogło być dla jej szefów ważne. Gdańsk, podobnie jak Katowice, nie miał wówczas najlepszej opinii w resorcie – opowiada nam jeden z bardziej znanych trójmiejskich prokuratorów, dziś już poza zawodem.

Jednak to właśnie statystyki spraw prowadzonych przez prok. Barbarę Kijanko budzą dziś spore wątpliwości. Dlaczego? Sprawdziliśmy, jak wyglądała jej praca w latach 2008–2013. Wzięliśmy pod lupę pięć lat: od roku poprzedzającego rozpoczęcie działalności Amber Gold aż do roku, w którym – już po wybuchu afery – umorzono postępowanie dyscyplinarne wobec pani prokurator.

Jak wynika z informacji, do których dotarliśmy, od 1 stycznia 2008 r. zarejestrowano na prok. Kijanko 634 sprawy. To sporo, ale – jak mówią śledczy, z którymi rozmawialiśmy – sprawny prokurator powinien sobie z nimi dać radę. Jak wygląda skuteczność gdańskiej śledczej? Wątpliwie.

Z 634 spraw, jakie wówczas prowadziła Kijanko, tylko 64 zostały przez nią

eprasa.pl 2088586fa3

FOT. MARIAN ZUBRZYCKI/FORUM

zakończone skierowaniem do sądu aktu oskarżenia, blisko 400 zakończyła bardzo szybko: w tym w 179 przypadkach w ogóle odmawiając wszczęcia postępowania, a w 217 sprawach umarzając postępowanie wobec „niestwierdzenia przestępstwa".

– W tym okresie wpłynęły 73 zażalenia na postanowienia [wydane przez Kijanko – przyp. W.W.] o umorzeniu postępowań oraz 70 zażaleń na postanowienia o odmowie wszczęcia postępowania przygotowawczego – mówi nam prok. Tatiana Paszkiewicz, rzeczniczka gdańskiej prokuratury okręgowej.

– Jeżeli ktoś ma ponad 70 proc. umorzeń i odmów, to przełożeni powinni się jego pracy przyjrzeć – uważa były trójmiejski prokurator.

W 10 sprawach dotyczących przekroczenia uprawnień przez pracowników trójmiejskich magistratów prok. Kijanko zdecydowała o odmowie wszczęcia postępowania.

Jakie jeszcze sprawy obok Amber Gold umarzała prok. Kijanko? Są wśród nich m.in. głośna sprawa Jadwigi R., której stawiane były zarzuty oszustwa wobec co najmniej kilkudziesięciu osób, jednak prokurator nie dopatrzyła się znamion przestępstwa, a także kilka spraw dotyczących gospodarowania mieniem publicznym.

ODPOWIEDZIALNOŚĆ – DRUGIE PODEJŚCIE

Prokurator Barbara Kijanko już raz miała odpowiedzieć za błędy i nieprawidłowości popełnione w prowadzonym oraz umorzonym przez nią postępowaniu w sprawie Amber Gold. Postępowanie dyscyplinarne zapowiedział w 2012 r. ówczesny prokurator generalny Andrzej Seremet. Rok później, w lipcu 2013 r., sąd dyscyplinarny I instancji uniewinnił ją nieprawomocnie od zarzutów postawionych przez rzecznika dyscyplinarnego. Uzasadnienie jest tajne. Miesiąc wcześniej korporacyjny sąd dyscyplinarny uniewinnił od zarzutu niewłaściwego nadzoru Witolda Niesiołowskiego, byłego szefa prokuratury rejonowej Gdańsk-Wrzeszcz (od 2008 r. do lutego 2011 r.). Niesiołowski, przesłuchiwany w listopadzie ubiegłego roku przez komisję śledczą, tłumaczył się… brakiem pamięci. Przekonywał, że sprawę Amber Gold zna tylko z doniesień medialnych.

– Nie pamiętam również, jakie czynności w tej sprawie podejmowaliśmy prokurator-referent sprawy oraz ja w ramach sprawowanego nadzoru – mówił Niesiołowski.

Zdaniem posła Jarosława Krajewskiego (PiS), członka sejmowej komisji śledczej, obraz gdańskiej prokuratury, jaki się rysuje z lat 2009–2012, jest porażający.

W przygotowywanym zawiadomieniu do prokuratury posłowie – członkowie komisji – wskażą na błędy popełnione przez prok. Kijanko, która – mimo zawiadomienia złożonego przez KNF w grudniu 2009 r. – najpierw bezzasadnie odmówiła wszczęcia postępowania w sprawie Amber Gold, następnie je umorzyła, by wreszcie – zmuszona decyzjami sądu – odwlekać jego rozpoczęcie do 2012 r.

– Ustaliłem, że tylko w pierwszych trzech miesiącach 2012 r. do Amber Gold wpłynęło ok. 101 mln zł od osób nieświadomych, że mają do czynienia z piramidą finansową. Gdyby pani prokurator wykonała, co do niej należy, do tego by nie doszło – uważa poseł Jarosław Krajewski.

Członkowie komisji śledczej w piśmie do prokuratury wskażą na błędy, jakie popełniła prok. Kijanko: nie wykonała planu czynności śledztwa, nie wykonała analizy dokumentów, nie dokonała weryfikacji zawartości skrzynek sejfowych, w których według Amber Gold miało znajdować się złoto, nie przesłuchała klientów Amber Gold, nie sprawowała kontroli nad powołanym przez siebie biegłym, a także mając informacje o karalności Marcina P., szefa Amber Gold, za przestępstwa przeciw obrotowi gospodarczemu nie zawiadomiła o tym sądu rejestrowego.

PROKURATURA NIE ZWERYFIKOWAŁA

Z prok. Barbarą Kijanko nie udało nam się porozmawiać. Od czerwca ubiegłego roku przebywa na zwolnieniu lekarskim. To może zaskakiwać, bo do tej pory dała się poznać, jak twierdzą nasi informatorzy, jako osoba, która oszczędnie korzystała z urlopów i ze zwolnień lekarskich.

Na przykład – jak ustaliło „Do Rzeczy" – w 2015 r. prok. Kijanko nie opuściła w pracy z powodów zdrowotnych ani jednego dnia. Problemy ze zdrowiem pojawiły się dopiero rok później, w czerwcu 2016 r., gdy pewne było już, że powstanie komisja śledcza badająca aferę Amber Gold, a ona sama może zostać wezwana na przesłuchanie. Od tego czasu, zasłaniając się zaświadczeniem o złym stanie zdrowia, nie stawiała się przed komisją badającą aferę Amber Gold. Sprawa wzbudziła wątpliwości. W listopadzie 2016 r. na wniosek szefa gdańskiej prokuratury okręgowej tamtejszy ZUS przeprowadził kontrolę prawidłowości wystawiania jej zaświadczeń lekarskich; uznał ostatecznie, że są zasadne.

– W związku z powyższym aktualne zwolnienie lekarskie nie zostało poddane weryfikacji – poinformowała nas prok. Tatiana Paszkiewicz, rzeczniczka gdańskiej prokuratury okręgowej.

W ubiegłym tygodniu Radio RMF FM poinformowało, że biegli z Zakładu Medycyny Sądowej w Szczecinie uznali jednak, iż nie ma żadnych przeciwwskazań zdrowotnych, by gdańska prokurator stanęła przed komisją śledczą. Zostanie przesłuchana w połowie lutego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2088586fa3

Muzeum wojny

Piotr Semka

Z gdańskiego Muzeum II Wojny Światowej stworzono redutę politycznego oporu, a problem godnego przedstawienia polskich losów w czasie najkrwawszej z wojen schodzi wyraźnie na dalszy plan

Zobacz muzeum II wojny, zanim zamknie je minister Gliński" – pod takich hasłem jedna z trójmiejskich gazet reklamowała dzień otwarty w Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku.

Zachętę do odwiedzenia ekspozycji sformułowano w wyjątkowo nieuczciwy sposób – nikt nie ma zamiaru likwidować muzeum. Spór dotyczy jedynie rozłożenia akcentów między opowieścią o tragedii cywila i wysiłkiem militarnym Polaków w czasie wojny oraz kwestii połączenia go z muzeum parkiem historycznym na Westerplatte. Jednocześnie ten dramatyzujący przekaz – „zobacz, zanim zabronią" – dobrze oddaje histeryczną atmosferę, którą zbudowano wokół sporu o tę placówkę.

W sobotę 28 stycznia br., po zarejestrowaniu się na specjalnej liście chętnych do odwiedzenia wstępnej wersji ekspozycji, tak jak setki innych gdańszczan stawiłem się rankiem na otwarcie muzeum, aby zobaczyć je na własne oczy.

Gości przywitali dyrektor muzeum Paweł Machcewicz i prezydent Gdańska Paweł Adamowicz. „Ta wystawa jest dla was – mówił Machcewicz. – Gdy 2 lutego będę stąd odchodził, mam nadzieję, że ekspozycja przetrwa w swym integralnym kształcie".

Szefowi muzeum wtórował w dramatycznym tonie prezydent Paweł Adamowicz, który przypomniał, że miasto jest współzałożycielem muzeum i że ofiarowało na jego potrzeby grunty warte 50 mln zł. „Traktujcie to muzeum jako coś swojego. Musimy tej wartości strzec" – mówił prezydent. Przedstawił też swoją wizję przesłania muzeum: „To wystawa o człowieku, o próbie charakterów i bohaterstwie, ale i o złych stronach człowieczeństwa, które zdolne było do najgorszych zbrodni". I dalej: „To muzeum ma być ostrzeżeniem przed tym, co złe. Przed populizmem, wrogością człowieka do człowieka ze względu na religię, narodowość czy pochodzenie klasowe".

W obu wystąpieniach nie znalazła się najmniejsza wzmianka o tym, że placówka ta ma opowiadać o wojnie, która zaczęła się w Polsce, w której nasz kraj jako pierwszy w Europie stawił zbrojny opór III Rzeszy, że agresja Hitlera była wynikiem nienawiści do polskości i wreszcie że to Polska była krajem, który odniósł jedne z największych strat biologicznych i materialnych. Być może Machcewicz i Adamowicz uznali, że to tak znane fakty, iż nie ma po co ich powtarzać. Być może uznali, że to zbędny patos. Jednak dla wielu widzów z zagranicy odwiedzenie muzeum będzie jedyną okazją do zdobycia wiedzy o losie kraju nad Wisłą w czasie wojny.

CO JEST, A CZEGO NIE MA

Organizatorzy dni otwartych w gdańskim muzeum zaznaczyli, że przedstawiają wystawę w stanie 70-procentowej realizacji. Skąd pośpiech z jej prezentacją? Gdy 28 stycznia Paweł Machcewicz witał zwiedzających, był przekonany, że zostanie odwołany 2 lutego przez ministra Glińskiego po tym, jak potwierdzone zostanie prawo MKiDN do fuzji muzeum z placówką na Westerplatte. W poniedziałek 30 stycznia wojewódzki sąd administracyjny uznał jednak skargę Rzecznika Praw Obywatelskich przeciw połączeniu. Teraz odwoła się od niej minister Gliński i sprawa fuzji, tym samym ewentualnych zmian na czele połączonych muzeów, oddala się w czasie.

Tak czy inaczej zwiedzającym przyszło oglądać wystawę z brakiem części podpisów i wieloma nieczynnymi ekranami z montażami filmowymi. To utrudnia ostateczną ocenę, co jest, a czego ciągle brakuje.

Pokuśmy się jednak najpierw o opisanie generalnego wrażenia. Gmach muzeum może imponować, ale ekspozycja muzealna zajmuje tylko podziemia. To potwierdza podejrzenie, że budynek zaplanowano na potrzeby czegoś na kształt hybrydy muzeum II wojny z centrum konferencyjnym dla imprez rządowych i samorządowych – dokładnie tak samo jak w przypadku Europejskiego Centrum Solidarności.

Wystawa jest niezwykle rozległa. Gmach jest ogromny i jego podziemne, muzealne wnętrze, składa się z ponad 18 w większości dość sporych sal oraz ekspozycji dla dzieci „Podróż w czasie" ukazującej pokój warszawskiego mieszkania w latach 1939, 1943 i 1945.

Tak rozległa powierzchniowo wystawa i duża liczba różnej wagi eksponatów mogą robić wrażenie rozmachu na widzach, ale utrudniają zwiedzanie. Mnie obejrzenie wszystkich sal zajęło ponad cztery godziny, co musi wywoływać narastające zmęczenie liczbą impulsów wzrokowych i dźwiękowych.

Trzy sale oraz sekcja dla dzieci mają charakter inscenizacji scenograficznej – rekonstrukcja przedwojennej polskiej ulicy, sala ze zdjęciami ofiar Holokaustu z kompozycją walizek wywiezionych do kacetów

eprasa.pl 2088586fa3

Pod koniec stycznia sympatycy KOD protestowali pod Muzeum II Wojny Światowej

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

polsko-polskiej

i wreszcie symbolizujące koniec wojny oraz nastanie sowieckiego porządku patio w kształcie wnętrza wypalonej kamienicy z sowieckim czołgiem pośrodku.

Na widzach, którzy nie stykali się dotąd zbyt często z nowymi formami wystawiennictwa historycznego, te cztery scenografie robią największe wrażenie. Przesadą są jednak opinie, że jest to coś zupełnie nowego. Ekspozycje nawiązują do nowoczesnej formy Muzeum Powstania Warszawskiego czy doświadczeń muzeum POLIN. Przykładowo w tej ostatniej placówce stworzono bardzo podobną rekonstrukcję ulicy z epoki II RP

Kolaż z setek zdjęć rodzinnych ofiar zagłady Żydów przypomina podobną instalację w Muzeum Holokaustu w Waszyngtonie, a wielki sowiecki czołg wciśnięty w dziedziniec muzeum to rozwiązanie z Domu Terroru w Budapeszcie, otwartego w 2002 r.

Układ wystawy potwierdził moje zastrzeżenia zawarte w recenzji dla Ministerstwa Kultury z wiosny tego roku.

Autorzy na samym początku tworzenia Muzeum II Wojny Światowej zapowiadali, że placówka na pewno nie będzie panteonem chwały oręża polskiego, i słowa dotrzymali. Oczywiście można się domyślać, że z czasem skorygowali najbardziej poprawnościowe i uniwersalistyczne wątki, ale nadal jest to ekspozycja głównie o losach ludności cywilnej. Przykładowo: sekcja wystawy o wrześniu 1939 r. w niewielkim tylko stopniu odnosi się do walk wojska polskiego z agresorem, a skupia się na zbrodniach Wehrmachtu i bombardowaniu ludności cywilnej. Największe środkowe sekcje dotyczą nowej logiki wojny, w której cywile są ofiarą agresji na równi z wojskiem. Zdecydowanie chybionym pomysłem jest duża sala o życiu codziennym żołnierzy z obu stron frontu. Lepsza jest już próba pokazania różnych obliczy okupacji i czystek etnicznych. Na najwyższą ocenę zasługuje jednak sekcja dotycząca maszynerii terroru i eksterminacji Niemiec i ZSRS.

Opis technik masowego wykorzystywania do pracy przymusowej, opisanie wysiedleń nazistowskich w przypadku ludności ziem wcielonych do Rzeszy, obraz systemu obozów koncentracyjnych i inżynierii zagłady Żydów – to dobrze i sumiennie wykonana robota pracowników muzeum.

Cześć z prezentacji otwiera oczy Polakom na słabo funkcjonujące w naszej świadomości zbrodnie, jak np. głodowe wyniszczenie 3 mln jeńców sowieckich wziętych do niewoli po 22 czerwca 1941 r. w ramach tzw. planu głodowego. Bardzo dobrze pokazany jest zbrodniczy plan eksterminacji w III Rzeszy tzw. istnień niewartych życia, czyli planu eutanazji.

Nieporównanie skromniej i wręcz szkicowo pokazano walkę Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, co musi budzić największy sprzeciw.

SŁUSZNE OBAWY

Gdy wiosną w mojej recenzji wskazywałem, że na wystawie nie ma niemal nic o boju o Wiznę, o męstwie obrońców Westerplatte, Dywizjonie 303, tułaczej epopei armii gen. Andersa czy bitwie o Monte Cassino, obrońcy muzeum grzmieli: „Nieprawda, wszystko tu jest". Owszem, są – jako drobne akcenty – sylwetka lotnika Witolda Łokuciewskiego, mundur brygady karpackiej czy plakietka z gen. Andresem. Nie sposób jednak z wystawy zrozumieć, dlaczego wszystkie te nazwy stały się symbolem męstwa dla Polaków. Na polską partyzantkę przypadła jedna trzecia sali o oporze zbrojnym w krajach podejmujących walkę.

Dlaczego nie można było opisać w szczegółach, choćby za pomocą animacji komputerowej, akcji na Kutscherę lub odbicia „Rudego"? A już przedstawianie obok siebie powstań w Warszawie, Paryżu, na Słowacji w 1944 r. i w Pradze w 1945 r. wręcz irytuje. Zupełnie pominięto – jakby w ramach jakiejś przekornej i wyzywającej ostentacji – zbrojny opór żołnierzy wyklętych po wojnie.

Oglądając ekspozycję, zauważyłem, że spełniły się też moje dwie kolejne obawy – kult eksponatu i „wszystkoizm". W wielu przypadkach autorzy ekspozycji zdają się uważać, że każdy eksponat musi robić piorunujące wrażenie. Tak jest w przypadku ludzi, którzy dobrze znają historię i „dośpiewują sobie kontekst znaleziska, ale gdy ktoś – np. z zagranicy – wie o historii niewiele, nic mu dana rzecz nie powie. Owszem, są eksponaty poruszające, takie jak chustka-gryps, na której rozstrzelany w 1940 r. Bolesław Wnuk żegna się z rodziną, ale niektóre eksponaty, choć wzruszające, niewiele mówią cudzoziemcowi o dramatyzmie miejsca znaleziska. Tak jest z krzyżykiem wykopanym na terenie spalonej polskiej wsi na Wołyniu. Różna jest też jakość sal wystawowych.

eprasa.pl 2088586fa3

Aż trzy pierwsze ekspozycje poświęcone zostały komunizmowi, faszyzmowi oraz nazizmowi i wypełnione są w większości reprodukcjami plakatów propagandowych. Składają się niemal wyłącznie z nich. Owszem, jest film o głodzie na Ukrainie, ale już sens eksponatu – żarna na zboże, jakie konfiskowali NKWD-ziści ukraińskim „kułakom" – łatwo przeoczyć. Za mało w muzeum jest narracji o rozmaitych nieoczywistych aspektach wojennego doświadczenia Polaków, takich jak wojenny humor antyniemiecki w czasie okupacji. Za to z uznaniem trzeba przyjąć takie małe niespodzianki jak możliwość zaszyfrowania dowolnej depeszy na replice maszyny enigma rozszyfrowanej przez Polaków.

I wreszcie dwa słowa o zakończeniu wystawy o ponad czterech dekadach podzielenia Europy na dwa bloki. Montaże filmowe pokazujące wydarzenia na zachodzie i na wschodzie sugerują, że zimna wojna była szaleństwem militarystów z Moskwy i Waszyngtonu, a nie walką wolnego świata z imperium zła. A wszystko to opatrzone piosenką Czesława Niemena „Dziwny jest ten świat" i aktualnymi obrazkami z bombardowanego Aleppo. Razem sprawia to, że powstaje wrażenie dość naiwnego pacyfizmu.

Pikieta protestacyjna KOD pod muzeum. Od prawej: Radomir Szumełda (KOD), Agnieszka Pomaska (posłanka PO) i Paweł Adamowicz (prezydent Gdańska) FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

NIE ZMIENIMY ANI PRZECINKA

Jeszcze rok temu można było zakładać, że ekspozycja szykowana przez podwładnych Pawła Machcewicza może być tematem dyskusji o tym, jak zachowując to, co w wystawie cenne (np. sekcja o wojennym męczeństwie ludności cywilnej w Polsce i w Europie), uzupełnić o to, co odpowiada wrażliwości tej części społeczeństwa, która jest dumna z walki Polaków. W okupowanej Europie, gdzie tylko Polacy zdobyli się na spore oddziały na Zachodzie i na Wschodzie oraz silne państwo podziemne – to rzecz, o której trzeba przypominać. Szczególnie gdy sadzani jesteśmy co rusz na ławie wspólników Hitlera w Holokauście. Nikt nie miał zamiaru niszczyć ciężkiej pracy ogromnego zespołu, który większość wystawy wykonał w bardzo dobrym stylu.

Tyle że Paweł Machcewicz postanowił użyć tego kapitału wykonanej pracy jako polisy ubezpieczeniowej dla swoich niepodzielnych i wiecznych rządów nad muzeum. A w przypadku placówki, w którą wpompowano tyle pieniędzy z budżetu, zasadny jest postulat, by ekspozycja uwzględniała różne historyczne wrażliwości.

Dzisiaj widać już wyraźnie, że Paweł Machcewicz i jego zastępcy z obrony ekspozycji oraz dogmatu, że niczego nie wolno w niej zmienić, uczynili swój punkt honoru. A wszystko to pod hasłem obrony siebie jako przedstawicieli nauki historycznej przed „instrumentalnym wykorzystywaniem muzeum do politycznych i ideologicznych gierek".

„Politycy! Ręce precz od wystawy!" – na tle takiego transparentu prezydent Gdańska Paweł Adamowicz i posłanka PO Agnieszka Pomaska uczestniczyli niedawno w pikiecie w obronie muzeum. Ta scena pokazuje zakłamanie obrońców gdańskiej placówki. W epoce Tuska Paweł Machcewicz nie miał oporów, by przyjąć polityczne stanowisko doradcy w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów i nie kolidowało mu to z etosem historyka. Teraz oskarża „polityków" o plany zniszczenia jego „czysto historycznej placówki". Jego partner w walce o obronę muzeum, Paweł Adamowicz, sam był przez lata członkiem PO, a dziś faktycznie jest liderem politycznej opozycji w Gdańsku, podobnie jak posłanka Pomaska.

JEDNA WIZJA HISTORII

Kiedy to było wygodne, akceptowano polityczny parasol Tuska nad muzeum, a o apolityczności przypomniano sobie w momencie utraty władzy. Gdyby Machcewicz – tak jak głosi – miał na względzie wyłącznie dobro swojej placówki, mógłby podjąć z ministrem Piotrem Glińskim dialog na temat pewnej korekty swojego projektu ekspozycji.

Woli walkę o wszystko w ramach wojny polsko-polskiej. Z gdańskiego muzeum stworzono redutę oporu taką samą jak Trybunał Konstytucyjny, Krajowa Rada Sądownictwa czy Teatr Polski we Wrocławiu I z tego powodu w obronę muzeum angażują się KOD czy były prezydent Bronisław Komorowski.

Na razie Machcewiczowi sprzyja werdykt wojewódzkiego sądu administracyjnego, który uznał argumenty Rzecznika Praw Obywatelskich o rzekomym sztucznym i instrumentalnym wykreowaniu fuzji Muzeum II Wojny Światowej z Muzeum Westerplatte i Wojny 1939.

W zanadrzu Machcewicz ma kolejne karty – groźbę procesu belgijskiej firmy, twórcy ekspozycji, sądową odsiecz prezydenta Adamowicza, który w razie zmian w muzeum zaskarży je do sądu, i akcję demonstracyjnego wycofywania eksponatów ze zbiorów placówki przez darczyńców.

We wtorek 31 stycznia pod siedzibą Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku odbyła się pikieta przeciwko połączeniu obu muzeów, organizowana przez pomorski oddział Komitetu Obrony Demokracji.

W tej wiecowej atmosferze problem godnego przedstawienia polskich losów w czasie najkrwawszej z wojen schodzi wyraźnie na dalszy plan. Na zasadzie akcji i reakcji wywołać może to ostrość działań Ministerstwa Kultury, co otoczy szefów muzeum nimbem ofiar „dobrej zmiany".

Polityka „nie zmienimy wystawy ani o przecinek", mimo kostiumu obrony pluralizmu, jest faktycznie obroną dominacji jednej tylko wizji historii.

Nie ustąpimy z niczego. Jeśli chcecie, to nas wyrzućcie – odejdziemy jako męczennicy, a i tak wrócimy, gdy odzyskamy władzę. Sami kreując się na obrońców wolności – nie chcą żadnego kompromisu w kwestii muzeum. I to jest najsmutniejszy wniosek ze sporu o gdańskie muzeum.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2088586fa3

Polska rozbrojona

Łukasz Warzecha

Niechęć większości Polaków do zwiększenia dostępności broni bierze się z ideologicznego prania mózgów i kompletnej niewiedzy o obecnym stanie prawnym oraz alternatywnych propozycjach

Hoplofobia to irracjonalny lęk przed bronią („hóplon" to po grecku „broń"). Ten lęk od wielu lat stara się wpoić Europejczykom lewica. Nie robi tego z powodów pragmatycznych, ale ideologicznych. Jedną z najważniejszych cech lewicowego myślenia o świecie, w tym o relacji państwa z obywatelem, jest dążenie do uzależnienia obywatela od państwa pod każdym możliwym względem i maksymalne ograniczenie zakresu jego indywidualnej wolności oraz odpowiedzialności. To założenie powielają dziś także partie formalnie stojące po prawej stronie (w Polsce pod wieloma względami także PiS).

Walka z prawem do posiadania broni jest dla lewicy jednym z kluczowych zagadnień. Obywatel uzbrojony może sobie poradzić sam w sytuacji ostatecznej, nie musi pozostawać bierny, nawet jeśli napastnik fizycznie jest silniejszy. Nie na darmo instruktorzy samoobrony nazywają broń „wielkim wyrównywaczem szans" – to ona pozwala nieumiejącemu się bić, spokojnemu, drobnemu człowiekowi stawić czoło stukilogramowemu dresiarzowi, otrzaskanemu w ulicznych starciach. Broń w rękach praworządnego obywatela jest elementem jego emancypacji i zmusza państwo, aby nie traktowało go paternalistycznie, lecz uznało za partnera. Obywatel nie jest już całkowicie uzależniony od opieki państwa, któremu odebrany zostaje monopol na użycie ostatecznej siły. Dla lewicy, która uwielbia urządzać innym życie, to absolutna herezja.

To starcie dwóch radykalnie odmiennych sposobów widzenia świata widać doskonale zwłaszcza dzisiaj, gdy Europę ogarnia fala zamachów, przeprowadzanych przez islamskich fanatyków. Zachodni politycy nigdy nie wspominają o tym, że obywatele mogliby się bronić, że mogliby zareagować jakoś inaczej, niż jak najszybciej się kryjąc. Łzawe oświadczenia, obrazki malowane kredkami na chodnikach i instrukcje, jak odpędzić gwałciciela za pomocą torebki – to kwintesencja moralnego i całkiem dosłownego rozbrojenia. Tymczasem w Polsce po zamachu w Berlinie powszechny szacunek i podziw dla zamordowanego kierowcy tira wzbudziła informacja, że być może walczył do ostatniej chwili z napastnikiem. „Pomyślcie, co mógłby zrobić, gdyby pozwolono mu mieć przy sobie broń" – pisali niektórzy.

> **Nie ma chyba bardziej irytującego argumentu niż ten, że Polacy nie dojrzeli do posiadania broni. Nie sposób tej opinii uzasadnić**

KUMPEL KOMENDANTA

Kryje się w tym jednak paradoks, bo na razie to Polska jest na szarym końcu pod względem nasycenia bronią (czyli liczby sztuk broni na 100 mieszkańców). I to nie tylko w skali europejskiej, lecz także światowej. Na pierwszym miejscu są, jak łatwo się domyślić, Stany Zjednoczone, gdzie na 100 mieszkańców przypada ponad 110 sztuk broni. USA są jednak przypadkiem szczególnym ze względu na specyficzne ustawodawstwo i tradycję, zostawmy je więc na boku. Spójrzmy na Europę. W Szwajcarii współczynnik wynosi ponad 45, w Szwecji, Norwegii i we Francji – 31, w Niemczech – 30, na Łotwie – 19, w Czechach – ponad 16, a w Wielkiej Brytanii – jednym z najbardziej rozbrojonych krajów świata – 6,6. W Polsce – uwaga! – na 100 mieszkańców przypada 1,3 sztuki broni. W tej sytuacji lamenty hoplofobów, że jakiekolwiek poluzowanie gorsetu wywoła rzezie na ulicach, brzmią wręcz groteskowo.

Hoplofobi nie mają zresztą zwykle pojęcia, ile sztuk broni jest dzisiaj legalnie w rękach Polaków. W dyskusjach często dają się podpuścić i twierdzą, że już pół miliona egzemplarzy broni w prywatnych rękach wywołałoby opłakane skutki – podczas gdy mniej więcej tyle właśnie Polacy dziś mają. Hoplofobi nie zdają sobie również sprawy, że posiadacze pozwoleń

eprasa.pl 2088586fa3

FOT. PIXABAY

kolekcjonerskich lub sportowych trzymają w domach po kilkadziesiąt sztuk broni, w tym także długiej różnego rodzaju. Prawdziwi wielbiciele miewają całe arsenały. Do tego należy doliczyć właścicieli broni czarnoprochowej (to oryginały lub funkcjonalne repliki broni wyprodukowanej przed rokiem 1885), która – choć mało wygodna w ładowaniu i przenoszeniu – może być równie groźna co broń nowoczesna. Tymczasem broń czarnoprochowa nie musi być nawet rejestrowana. Może ją kupić każda pełnoletnia osoba, po prostu wchodząc do odpowiedniego sklepu.

Nie ma chyba bardziej irytującego argumentu niż ten, że Polacy nie dojrzeli do posiadania broni. Ten schemat myślowy został niedawno powielony przez ministra Macierewicza, gdy spytano go, co sądzi o uproszczeniu zasad dostępu do broni. Patrząc na statystyki, nie sposób tej opinii uzasadnić. Dlaczego Polacy, mający ogromną historyczną tradycję posługiwania się bronią i jej posiadania, mieliby być w tej dziedzinie mniej dojrzali niż, powiedzmy, Czesi, którzy również mają za sobą lata komunistycznej dominacji? Żadna statystyka przestępczości nie wskazuje na istnienie jakiejkolwiek korelacji między liczbą przestępstw z użyciem broni w Polsce a liczbą sztuk legalnej broni w prywatnych rękach. Od czasu nowelizacji Ustawy o broni i amunicji w roku 2011 łatwiejsze stało się otrzymanie pozwolenia na broń do celów sportowych i o takie pozwolenia wystąpiło od tego czasu wiele osób. Liczba takich pozwoleń na koniec 2015 r. wynosiła prawie 17 tys., a w rękach strzelców sportowych było niemal 36 tys. sztuk broni. Przy czym jakaś część spośród sportowców – trudno powiedzieć jaka – wykorzystała tę ścieżkę jako relatywnie najprostszą nie po to, żeby rywalizować w zawodach lub choćby strzelać rekreacyjnie, ale po to, aby mieć przy sobie skuteczne narzędzie samoobrony. Czy w związku z tym od 2011 r. odnotowano jakikolwiek wzrost liczby przestępstw z użyciem broni? Bynajmniej.

Dlaczego wielu Polaków, chcących mieć broń do samoobrony, decyduje się

eprasa.pl 2088586fa3

na ścieżkę sportową, zamiast wystąpić o pozwolenie na broń do ochrony osobistej? To proste – na to ostatnie nie mieliby szans, bo tu zachowana została pełna uznaniowość policji. Aby takie pozwolenie uzyskać, nie wystarczy, że obywatel jest niekarany i ma dobrą opinię (co powinien zweryfikować dzielnicowy). Musi jeszcze istnieć „stałe, ponadprzeciętne i obiektywne" zagrożenie. Występujący o pozwolenie może istnienie takiego zagrożenia udowadniać, ale decyzja – w pełni uznaniowa – o tym, czy faktycznie jest ono „stałe, ponadprzeciętne i obiektywne", i tak należy do danego komendanta wojewódzkiego (w praktyce – do odpowiedniego Wydziału Postępowań Administracyjnych komendy wojewódzkiej, a w Warszawie – Komendy Stołecznej). Odmowy policja nie musi w żaden sposób uzasadniać. Oznacza to, że mieszkający na odludziu praworządny obywatel takiego pozwolenia prawdopodobnie nie otrzyma (chyba że zostałby napadnięty, pobity, obrabowany, ale nawet wtedy nie jest to pewne), ale może je otrzymać kumpel komendanta. I tak się przez lata działo. Pozwolenia na broń do ochrony osobistej otrzymywali byli esbecy, wojskowi, emerytowani milicjanci albo ustosunkowani politycy, ale nie mieli na nie szansy zwykli obywatele. Ta patologia w dużym stopniu trwa do dziś.

DZIEDZICTWO PRL

W II RP pozwolenia na broń (zwane wówczas „kartą na broń") wydawał starosta grodzki, jedynie zasięgając opinii Policji Państwowej. Obecny chory system, w którym decyduje policja, jest bezpośrednim dziedzictwem PRL. Chory – ponieważ policja jest tu sędzią we własnej sprawie: ma oczywisty interes w tym, aby jak najbardziej ograniczyć liczbę wydawanych pozwoleń. Po pierwsze – tak jak każda podobna instytucja – stara się zachować swój monopol na stosowanie przemocy; mieści się to w jej instytucjonalnej logice. Po drugie – każdy kolejny posiadacz broni to dla policji potencjalny problem. Trzeba się nim od czasu do czasu zajmować, przybywa od tego akt.

Ten system jest jednak skrajnie nieszczelny i wadliwy. Policja nie ma jednej centralnej elektronicznej ewidencji posiadaczy broni. Akta w papierowej postaci tkwią w poszczególnych WPA. Chociaż posiadacze broni do celów ochrony osobistej (ale już nie do celów sportowych ani kolekcjonerskich) są zobowiązani przedstawiać co pięć lat aktualne badania lekarskie, to w praktyce ryzyko, że policja dostrzeże brak takich badań, jest umiarkowane. Dzieje się to zwykle, gdy dany WPA potrzebuje się wykazać i jego pracownicy siadają od wielkiego dzwonu do wertowania papierów.

Obecne przepisy nie dają też najmniejszej gwarancji, że posiadaczowi broni, mającemu poważne problemy psychiczne, pozwolenie zostanie cofnięte. Nie istnieje żaden mechanizm, który kazałby psychiatrom sprawdzać, czy pacjent z zaburzeniami nie ma pozwolenia na broń. Za to takiego pozwolenia, nawet do celów sportowych czy kolekcjonerskich, nie otrzyma osoba niepełnosprawna, np. poruszająca się na wózku, choć mogłaby bez trudu brać udział we współzawodnictwie sportowym lub strzelać rekreacyjnie. Nie mówiąc o tym, że to właśnie jej broń do ochrony osobistej może być bardziej potrzebna niż komuś w pełni sprawnemu. To jeden z trudnych do policzenia absurdów obecnie obowiązujących przepisów.

Największym z nich jest jednak klasyfikacja pozwoleń na broń ze względu na cel jej posiadania. Taki mechanizm sprawia, że – teoretycznie rzecz biorąc (i nie tylko teoretycznie, bo takie przypadki się zdarzały) – policja może cofnąć pozwolenie na broń w związku z używaniem jej niezgodnie z określonym celem. I tak pozwolenie może utracić myśliwy, który zechciałby wystartować w zawodach sportowych z własną strzelbą lub pistoletem, albo posiadacz pozwolenia kolekcjonerskiego, który użyłby sztucera ze swojego zbioru na polowaniu. Wątpliwości budzi też możliwość użycia broni posiadanej na podstawie pozwolenia innego niż do ochrony osobistej w sytuacji zagrożenia. Można to uzasadniać przepisami Kodeksu karnego o obronie koniecznej lub stanie wyższej konieczności, ale policja może drążyć, dlaczego posiadacz broni do celów sportowych miał ją przy sobie na ulicy w nocy, w dodatku z podpiętym i załadowanym magazynkiem, skoro jako żywo ze strzelnicy ani tym bardziej na strzelnicę nie jechał.

Absurdalny system pozwoleń skutkuje również tym, że do ochrony osobistej nie wolno mieć broni małego kalibru – ta dostępna jest jedynie na pozwolenie kolekcjonerskie lub sportowe. Chociaż można sobie wyobrazić, że ktoś chciałby nosić przy sobie pistolet mniejszy, lżejszy i wyrządzający potencjalnie mniejsze szkody niż broń kalibru 9 mm czy porównywalnego.

OBYWATEL, NIE PETENT

Mówienie, że ktoś dąży dzisiaj do wprowadzenia w Polsce „powszechnego dostępu do broni" albo chce, żeby pistolet można było kupić na dowód osobisty w sklepie na rogu, to zwykłe kłamstwo i manipulacja. Złożony w Sejmie przez grupę posłów projekt nowej ustawy o broni i amunicji autorstwa Ruchu Obywatelskiego Miłośników Broni oznaczałby przede wszystkim racjonalizację zasad dostępu do broni. Likwidowałby pozwolenia „do celu", w ich miejsce wprowadzając kategorie broni zgodne z prawem UE oraz klasyfikację pozwoleń w zależności od wyszkolenia i kompetencji posiadacza. Podstawowa obywatelska karta broni palnej uprawniałaby do posiadania broni, ale nie do jej noszenia (nie mylić z przenoszeniem!). Nosić broń przy sobie mogliby ci, którzy zdaliby specjalny egzamin praktyczny, dużo trudniejszy niż obecnie obowiązujący.

Przede wszystkim jednak zmieniłby się sposób myślenia. Dzisiejszy system opiera się bowiem na ogólnym zakazie i wymogu uzasadnienia przez obywatela, dlaczego miałby być z niego wyłączony. Nowe prawo odwracałoby tę zasadę, zakładającą, że obywatel jest wobec państwa i jego organów w pozycji petenta. Generalnym założeniem byłoby, że broń może posiadać każdy niekarany i zdrowy na umyśle obywatel, o ile zda odpowiednie testy, chyba że zachodzą jasno i jednoznacznie wyłożone przesłanki, które na to nie pozwalają (skazanie za określone rodzaje przestępstw lub choroba psychiczna).

Hoplofobi w swojej obsesji nie chcą pamiętać o dwóch fundamentalnych kwestiach. Po pierwsze – wszelkie ograniczenia dotyczące posiadania broni uderzają zawsze wyłącznie w przestrzegających prawa obywateli, stawiając ich na przegranej pozycji wobec bandytów. Po drugie – broń jest tylko narzędziem i jak każde narzędzie może być użyta w szlachetnym albo złym celu. Jak każde narzędzie może również być przyczyną wypadków – tych nie da się bez reszty wyeliminować. Lewica nie przyjmuje tego jednak do wiadomości, kusząc ludzi nieosiągalną, fałszywą i w istocie autorytarną wizją całkowitego bezpieczeństwa. Jednak to już temat na całkiem inny tekst.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2088586fa3

Budzenie śpiochów

Katarzyna Pinkosz

To nie jest tylko Ola Janczarska, córka Ewy Błaszczyk. Co roku kilkanaście tysięcy osób w Polsce zapada w śpiączkę. Szczęściarze wybudzają się po kilku tygodniach. Na innych czeka się lata, a właściwie nie czeka, tylko każdego dnia kopie tunel z dwóch stron. O tym właśnie są „Wybudzenia"

Wszystko zaczęło się od artykułu w „Do Rzeczy" po pierwszych w Polsce i Europie wszczepieniach stymulatorów osobom w śpiączce. Cała Polska żyła wtedy nadzieją, że dzięki nowatorskim operacjom, które przeprowadził w Olsztynie japoński prof. Isao Morita wraz z zespołem prof. Wojciecha Maksymowicza, wybudzą się córka Ewy Błaszczyk, która w śpiączce jest już od 16 lat, i osoby operowane tuż po niej.

Kilka dni potem wydawnictwo Eureka zaproponowało mi napisanie książki o ludziach, którzy wyszli ze śpiączki, choć mieli do końca życia pozostać – jak to się mówi – „roślinami". Każda z tych historii to gotowy scenariusz filmu.

MARIUSZ WIDZIAŁ NIEBO

Mariusz Kobzdej (reżyser wielu filmów dokumentalnych) organizuje wystawy plastyczne i spotkania z ludźmi kultury w jednej z warszawskich bibliotek. Skromnie ubrany, z jarmułką na głowie i ciepłem w oczach – nikt nie pomyśli, że tak może wyglądać osoba, która widziała niebo.

Dziewięć lat temu Mariusz po upadku z roweru stracił przytomność i zapadł w śpiączkę. Badali go najlepsi profesorowie w Warszawie i Bydgoszczy, nie dając szans na powrót do normalności. Osiem miesięcy nie było z nim żadnego kontaktu. I pewnie tak by było do dziś, gdyby nie intuicja prof. Maksymowicza, który zauważył, że po wypadku Mariusz nie miał żadnych obrażeń głowy. Pomyślał, że mogło pojawić się niewidoczne w badaniach wodogłowie, a śpiączkę spowodował ucisk płynu na mózg. Prosta operacja spowodowała, że Mariusz odzyskał świadomość. Od razu wróciła mu mowa.

Do tej pory Kobzdej wspomina niektóre swoje wizje ze śpiączki. W jednej z nich przyszedł do niego ojciec, który nie żył już od kilkunastu lat. W innej zobaczył niebo. – Stałem na łące. Z jednej strony była ogromna jasność, z drugiej aż po horyzont mnóstwo ludzi. Nigdy ich wcześniej nie widziałem, ale serdecznie się witaliśmy, cieszyliśmy sobą. Miałem poczucie, że nikt tam niczego nie udaje, nie gra, wszyscy byliśmy na „ty" – opowiadał podczas jednego z naszych spotkań.

Po wyjściu ze śpiączki zmienił swoje życie o 180 stopni. Zaczął odbudowywać zniszczone relacje, zmienił wiarę. Do wszystkich zwraca się na „ty". Widział niebo, więc wie, że śmierć nie jest końcem, a życie będzie toczyć się dalej w innej postaci. Wciąż szuka swojej drogi do Boga.

POWRÓT AGNIESZKI

Agnieszka Terlecka to dziś wygadana dwudziestokilkuletnia absolwentka kulturoznawstwa i grafiki komputerowej. Patrząc na nią, nikt by nie podejrzewał, że lekarze stwierdzili u niej objawy śmierci pnia mózgu, czyli po prostu śmierci. Tragedia wydarzyła się na obozie jeździeckim, gdy miała 11 lat. Spadła z konia, doznała poważnych obrażeń głowy, zapadła w śpiączkę. Rokowania były tak złe, że jej rodziców wstępnie proszono o zastanowienie się nad zgodą na oddanie narządów córki do transplantacji, żeby mogły innym ratować życie. Lekarze w szpitalu w Pile twierdzili, że dziewczynka umrze, a jeśli cudem udałoby się jej przeżyć, to pozostanie do końca życia „rośliną".

Nie wiadomo, jak potoczyłyby się wypadki, gdyby jej ojciec nie miał znajomości wśród osób zajmujących się zawodowo sportem żużlowym, gdzie często zdarzają się poważne urazy głowy. Poproszony o konsultację neurochirurg wykluczył śmierć mózgu i polecił kontakt z prof. Janem Talarem – wówczas szefem Kliniki Rehabilitacji w Bydgoszczy. Po kilku dniach dziewczyna znalazła się w jego placówce. – Była jeszcze w śpiączce, zupełnie nieprzytomna, leżała bezwładnie, a profesor kazał zabrać ją na basen! Pomyślałem, że to wariat – wspomina Robert Terlecki, ojciec Agnieszki. Rehabilitacja okazała się tak skuteczna, że dziewczyna po dwóch miesiącach na własnych nogach wyszła z kliniki. – Po drodze wstąpiliśmy do szpitala w Pile.

eprasa.pl 2088586fa3

Agnieszka Holka (z lewej) zapadła w śpiączkę dwa lata temu. Dzisiaj jest w tzw. minimalnym stanie świadomości

FOT. ARCHIWUM AGNIESZKI HOLKI

Gdy ujrzała ją pielęgniarka, uklękła, jakby święty obraz z Jasnej Góry zobaczyła – wspomina Terlecki.

DAWID I ŚWIATŁO Z TORUNIA

Dawid Jetke też według wszystkich prognoz lekarskich miał nie żyć. Wypadek samochodowy zdarzył się, gdy wracał z pracy. Zapadł w śpiączkę. – Jeśli w ogóle przeżyje, to może nie mówić, nie chodzić, nie widzieć – mówili lekarze. Po miesiącu odmówili dalszego leczenia w szpitalu, uznając, że nie ma szans na poprawę: chłopak nadal był w śpiączce, pod respiratorem. Uznali, że trzeba go oddać do hospicjum. – Wiedziałam, że nie mogę go tam zostawić – opowiada jego mama. Dzwoniła po całej Polsce, szukając rehabilitacji dla syna. Udało się jej znaleźć miejsce w fundacji Światło w Toruniu. Tam zaczął się wybudzać. Potrzebnych było jeszcze wiele miesięcy rehabilitacji, ale dziś Dawid normalnie funkcjonuje: chodzi, mówi, jeździ samochodem, został wybrany na sołtysa, pozyskuje unijne dotacje na świetlicę dla dzieci. – Gdybym zostawiła go w hospicjum, dziś byłby „rośliną" – dodaje mama.

Śpiączka go zmieniła, przewartościował swoje życie. Został wolontariuszem, chce pomagać innym, bo „pamięta, jak to jest, gdy nie można nawet ruszyć palcem".

MOTOCYKL BUDZI PIOTRA

Żeby „śpioch" – jak pieszczotliwie nazywa się osobę w śpiączce – się wybudził, potrzebne są: praca lekarzy, godziny rehabilitacji, pomoc rodziny. Często niezbędne jest jeszcze „coś". Piotra Winiarza, jednego z najlepszych polskich żużlowców, który zapadł w śpiączkę po wypadku na torze, wybudziły nagrane przez rodzinę dźwięki motocykla. Gdy potem przez długie miesiące był sparaliżowany i jeździł na wózku inwalidzkim, rodzina woziła go na zawody żużlowe. To motywowało go do wstawania, chodzenia, walki o normalność.

Do sportu zawodowego nie udało mu się wrócić, ale wrócił do życia: chodzi, jeździ na rowerze, pracuje, rozmawia, żartuje. – Jak mi się udało wyjść ze śpiączki i pozbyć paraliżu, choć lekarze dawali mi tylko 1 proc. szans, że w ogóle będę żył? Trzeba mieć pasję, i to wielką, tak jak ja mam żużel – mówi Winiarz. Z 13-letnim Dawidem Pawlaczykiem pracował cały zespół kliniki Budzik, ale przełom nastąpił, gdy chłopak słuchał nagrania meczu Realu Madryt. Wybudził się, gdy jego idol – Cristiano Ronaldo – strzelił bramkę. Od tej pory rehabilitacja szła jak burza. Jego historia potoczyła się jak w bajce: wrócił do domu, a po kilku miesiącach dostał zaproszenie od Ronaldo na mecz do Hiszpanii (historię chłopaka opisał menedżerom Realu dziennikarz „Faktu"). – Gdy po meczu Ronaldo spotkał się z Dawidem, było to tak, jakby ktoś pozapalał wszystkie światła w oczach syna – wspomina mama Dawida.

MARIUSZ KOPIE TUNEL

Wybudzenie ze śpiączki rzadko przypomina film, w jakim człowiek, z którym nie było kontaktu, nagle się budzi, mówi, wstaje. O powrót do normalności walczy się miesiącami, latami. – Rzeczywistość przypomina kopanie tunelu. Z jednej strony kopiemy go my, z drugiej Mariusz – mówi Anna Chmielewska, siostra Mariusza Wachowicza, dziennikarza PAP, który został znaleziony we wrześniu 2015 r. nieprzytomny, z urazem głowy na ścieżce rowerowej. Do dziś nie wiadomo, co się wydarzyło. Długo walczył o życie, a potem o wybudzenie. W sierpniu ubiegłego roku miał wszczepiony stymulator – taki sam jak córka Ewy Błaszczyk. Postępy widać: Mariusz wybudził się ze śpiączki, wszystko rozumie, spełnia polecenia, zaczyna pisać, posługiwać się komputerem, stoi w pionizatorze. Wciąż jednak nie mówi i jeszcze wiele przed nim. Profesor Maksymowicz wierzy, że wróci też mowa, gdyż jego mózg jest bardzo plastyczny – przed wypadkiem Mariusz znał cztery języki, miał doktorat z ogrodnictwa, pisał artykuły nie tylko do PAP, lecz także do prasy branżowej, projektował ogrody, malował, prowadził kulinarny blog. Postępy są okupione setkami godzin rehabilitacji, na które rodzina musi zebrać co miesiąc… 12 tys. zł! Państwo w tym nie pomaga.

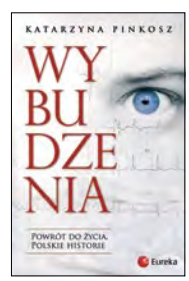

KATARZYNA PINKOSZ „WYBUDZENIA" EUREKA 2017

„NOWA" AGNIESZKA

Jeszcze więcej, bo 15 tys. zł, zbiera co miesiąc rodzina Agnieszki Holki, która już od prawie dwóch lat jest w śpiączce – a właściwie w tzw. minimalnym stanie świadomości – po tym, jak potrącił ją samochód na oznakowanym przejściu dla pieszych. Ona też miała wszczepiony stymulator. Widać postępy, bo dziewczyna zaczyna wykonywać złożone ruchy, np. przekłada kartki w książce, poproszona potrafi podać piłkę albo spośród kilku obrazków wskazać ten, który przedstawia kota. Komuś może to wydawać się mało, ale mama dziewczyny wie, że córkę kosztuje to tyle samo wysiłku co przed wypadkiem skończenie na piątkach studiów w Anglii. – Ja wiem, że nie ma już tamtej Agnieszki, która z Anglii wróciła do Polski sama na rowerze. Nie wiem, jaka będzie „nowa" Agnieszka, każdego dnia o nią walczymy – mówi mama dziewczyny.

Dziesięcioro „śpiochów", których historie są opisane w „Wybudzeniach", nie miałoby szans wrócić do życia, gdyby nie osoby przeciągające ich na naszą stronę. Takie jak Ewa Błaszczyk (w stworzonej przez nią klinice Budzik wybudziło się już 32 dzieci) i prof. Maksymowicz, który chce tworzyć nowoczesną medycynę, a kolejną szansę dla „śpiochów" widzi w komórkach macierzystych. Profesor Andrzej Czyżewski z Politechniki Gdańskiej wykorzystuje technologie informatyczne do kontaktu z osobami, o których jeszcze niedawno mówiono, że niczego nie czują, nie widzą, nie słyszą. Dzisiaj już wiemy, że 40 proc. z nich słyszy, widzi i czuje, tylko nie potrafi tego przekazać. Jest więc o kogo walczyć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2088586fa3

Sztuka koloryzowania

Piotr Gociek

To nieprawda, że PRL był krainą, w której orgazm był nieznany do roku 1976. I to nieprawda, że Michalina Wisłocka nadaje się na ikonę feminizmu

Kino kocha buntowników, nawet gdy buntują się bez powodu, a gdy w grę wchodzi jeszcze seks, to sukces jest gwarantowany. Już ponad 300 tys. Polaków obejrzało w kinie film „Sztuka kochania. Historia Michaliny Wisłockiej". Chociaż warto zauważyć, że na sukces tytułu pracowało wiele wznowień najgłośniejszej książki Wisłockiej – łącznie ok. 7 mln sprzedanych egzemplarzy.

Jak na polskie warunki oznacza to, że brand „Sztuka kochania" jest równie nośny jak Lego albo „Gwiezdne wojny". Za reżyserię zabrała się Maria Sadowska (autorka m.in. „Dnia kobiet"), scenariusz napisał Krzysztof Rak nagrodzony w Gdyni za scenariusz filmu „Bogowie", czyli innej biografii z PRL w tle – opowieści o Zbigniewie Relidze. Tym razem bohaterką jest także lekarz, ale „od tych spraw", jak się mawiało w czasach, gdym był dziecięciem, a o poradniku seksualnym „Sztuka kochania" Michaliny Wisłockiej wiedział w Polsce każdy. Była to najlepsza taka książka – bo jedyna. Wisłocką gra Magdalena Boczarska („Ostatnia rodzina", „Baby blues") i robi to bardzo dobrze.

O wadach i zaletach filmu pisał w „Do Rzeczy" Wiesław Chełminiak – sprawna opowieść traci na wartości tam, gdzie próbuje być nachalnie feminizująca i zrobić z Wisłockiej ikonę dzisiejszych czarnych marszów. A zdecydowanie przesadza tam, gdzie przedstawia ją jako bojowniczkę antysystemową – i tym samym komunizm PRL-owski jako zły z tego tylko powodu, że kołtuński i antykobiecy. Sprawa jest dużo mniej oczywista i o wiele ciekawsza. Wyzwolenie obyczajowe było wszak jednym z haseł rewolucyjnych budowniczych nowego ustroju, w końcu „seks dla komunisty to jak szklanka wody" – nie bez powodu głosiła Janina Broniewska, pierwsza żona poety Władysława Broniewskiego. A co do bojowniczek antysystemowych – historia zna ich bardzo wiele, tyle że w PRL dużo częściej były nimi robotnice z krzyżykami na szyjach modlące się głośno podczas strajkowych mszy za ojczyznę niż zwolenniczki palenia staników lub wydawania poradników seksualnych.

WÓDKA I SEKS

Komunizm nie dlatego był opresyjny wobec kobiet, bo zabraniał im orgazmów, lecz dlatego, że nakazywał im harować osiem albo dziesięć godzin w fabryce czy sklepie, potem kolejne godziny zmarnować na rozwiązywanie nierozwiązywalnych problemów PRL (to znaczy braku podsta-

eprasa.pl 2088586fa3

Michalinę Wisłocką gra Magdalena Boczarska. I robi to bardzo dobrze FOT. MATERIAŁY PRASOWE (3)

wowych produktów), a potem jeszcze być matkami i żonami na pełny etat. A każdy, kto dorastał w tamtych czasach niedoboru, pamięta, że wódka i seks były tymi sposobami zabijania wolnego czasu oraz odwracania się od szarej rzeczywistości, w które akurat nikt za bardzo nie ingerował.

Film ze swojej natury jest skrótem, artystyczną kompresją. Kino wyolbrzymia, byśmy coś lepiej dostrzegli. Sęk w tym, że Sadowska chce, byśmy przede wszystkim widzieli nie to, co ważne. To naturalne, że recenzent spiera się w reżyserem, bo każdy z nich widzi w filmie co innego, ale tym przesadnym obrazkom ze „Sztuki kochania" przydarzyła się rzecz inna – wciągnięte zostały na maszt w bieżącej rozgrywce światopoglądowej i walce politycznej.

Szkoda, że sama reżyser zamiast dystansować się od tych prób w trosce o artystyczną niezależność, wskakuje w buty podsuwane jej przez „Wyborczą". Inna sprawa, że z wielu jej wypowiedzi wynika, iż robi to ochoczo, bo sama ma w głowie poukładane podobnie.

MIŁOSNY TRÓJKĄT

Uporządkujmy. Czego w istocie dotyczy historia Michaliny Wisłockiej? Film opowiada o trzech etapach życia. Początek to nieszczęśliwe małżeństwo, które było w istocie miłosnym trójkątem, bo mąż Wisłockiej równolegle żył z inną kobietą, która zresztą z Wisłockimi zamieszkała. Etap drugi to wielka miłość początkującej lekarz ginekolog, która wraz z odkryciem własnej seksualności dzięki kochankowi zaczyna rozwijać działalność edukacyjną w sferze intymności Polaków. I wielki finał, czyli czasy Gierka, kiedy przez kilka lat Wisłocka próbuje doprowadzić do wydania poradnika „Sztuka kochania", zażywając jednocześnie sporej sławy wśród pacjentek z całego kraju. Książka ukazuje się w roku 1976.

Jest to czas „walki o wydanie »Sztuki kochania« z Komitetem Centralnym, Kościołem, cenzurą i niechętnymi jej konserwatywnymi autorytetami naukowymi" czytam w obszernym tekście na temat filmu w „Wyborczej" (autorzy: Bartosz Wróblewski i Kalina Mróz). „Koledzy po fachu ją ignorowali. Zazdroszczono jej i wyrzucono ją poza nawias, bo była uwielbiana przez swoje pacjentki – oraz ich mężów" – tłumaczy kłopoty Wisłockiej sama reżyser Maria Sadowska w wywiadzie dla „GW". „Wielką bitwą Wisłockiej było przełamywanie oporu ignorantów i obskurantów partyjnych,

eprasa.pl 2088586fa3

cenzorów i wydawców, którzy reprezentując tak zwaną moralność socjalistyczną, do wydania książki o seksie dopuścić za nic nie chcieli" – dokłada do pieca w tekście w „Dużym Formacie" Krzysztof Varga. I kontynuuje: „Partia przecież nawet życie płciowe poddanych kontrolować musi. Oglądając te fragmenty, odpędzić się nie mogłem od refleksji, że moralność socjalistyczna w zasadzie nie różni się od moralności katolickiej czy też ściślej – moralności narodowo-katolickiej. Wszystko sprowadza się do hasła: „Prokreacja i reprodukcja – tak! Przyjemności – nie!".

WROGOWIE SEKSEDUKATORKI

Nie wiem, z jakimi katolickimi psychologami rodziny rozmawiał Varga i z której edycji katechizmu wziął przykazanie „nie będziesz miał przyjemności z seksu", ale pamiętam wiarygodne badania (i to niejedne), z których wynikało, że najwięcej przyjemności z seksu czerpią katolicy i protestanci oraz że najniższy poziom zadowolenia z więzi seksualnych odnotowano wśród kobiet żywiących silne uczucia antyreligijne. Są to jednak fakty z gatunku „tym gorzej dla faktów", bo przecież o inną sprawę tu chodzi: o walkę z wrodzonym, jak rozumiem, polskim obskurantyzmem i kołtuństwem, którego jednakowym wyrazem miałyby być moralność socjalistyczna i moralność narodowo-katolicka. Jest nawet gorzej, bo chodzi o triadę: komuniści, Kościół i władza (narodowo-katolicka), stąd w „Wyborczej" pytanie do Sadowskiej (właściwie stwierdzenie): „Ani Kościół, ani rząd nie chcą, żeby kobieta miała władzę nad swoją seksualnością. Wciąż nic się w tej kwestii nie zmieniło". Reżyser odpowiada: „Paradoksalnie jest dużo gorzej. Dawniej Kościół nie miał pretensji do kobiet, że wykonują aborcję, i nie emocjonował się sprawami obyczajowymi, bo zajmował się walką z partią. Teraz kobieta stała się przyczyną konfliktu i głównym orężem w walce o władzę. Chce się nam odebrać wolność i prawo do decydowania o sobie".

Sadowska opowiada w wywiadach, jak wiele filmów o seksie obejrzała przed nakręceniem „Sztuki kochania", bo chciała się dobrze przygotować. Nie wiem jednak, czy miała czas na czytanie zarówno książki Wisłockiej, jak i wywiadów przez nią udzielanych oraz biografii, którą trzy lata temu opublikowała Violetta Ozminkowski. W 2004 r. wywiad z Wisłocką przeprowadził (dla „Wyborczej") Darek Zaborek. Kiedy dopytywał, kto podczas podróży po PRL najbardziej szkodził pani seksuolog, która uczyła na prowincji świadomego macierzyństwa i wykładała podstawy antykoncepcji, odpowiedziała: „Doktor, nie ksiądz. Ksiądz się nie odzywał, a doktory skrobali dziewczyny i wcale takiej konkurencji jak my nie chcieli. Zarabiali pieniądze, a nagle ja przywoziłam krążki i z moją pielęgniarką kobietom dobierałam. […] Lekarze zadawali publicznie złośliwe pytania, żeby wyszło na to, że głupki jesteśmy. A ksiądz siedział i tajemniczo się uśmiechał. Kościół katolicki to instytucja zdumiewająca".

Działalność seksedukatorki Wisłockiej nie wypływała z jakiegoś ideologicznego zapału (chociaż prywatnie uwielbiała rozprawki Boya-Żeleńskiego) ani z chęci powstrzymania lawiny narodzin małych Polaków-katolików (Polaków-ksenofobów), ale z troski o to, by kobiety były szczęśliwsze, żeby miały większy wpływ na to z kim, kiedy i dlaczego będą miały dziecko. W odróżnieniu od wspomnianych PRL-owskich lekarzy uważających aborcję za oczywisty (i zyskowny) środek antykoncepcyjny, chciała przed traumą skrobanki (jak wtedy mówiono) dziewczyny ochronić.

Wisłocka zawsze podkreślała, że seks i miłość są ze sobą nierozerwalnie związane. Na symbol rewolucji obyczajowej też się nie nadaje

Zawsze podkreślała (także w swym poradniku), że seks i miłość są ze sobą nierozerwalnie związane. Na symbol rewolucji obyczajowej też się nie nadaje – jej podkreślane w ostatnich latach doświadczenie „małżeńskiego trójkąta" ostatecznie okazało się bardzo traumatyczne zarówno dla niej, jak i dla dzieci z tego związku, a na to, co jest w seksie normą, a co zboczeniem, poglądy miała wręcz jak na dzisiejsze czasy pruderyjne. Oto inny fragment wywiadu z 2004 r. Pytanie: „Nie przyszło pani do głowy napisanie rozdziału o roli kajdanek w ars amandi? Może to partnerów zbliżyć, jeśli lubią". Odpowiedź Wisłockiej: „Nie, bo ja piszę o normalnej parze normalnych ludzi. Widział pan takich normalnych, co to się w kajdankach kochają? Bo ja nie".

Z książki Ozminkowskiej „Michalina Wisłocka. Sztuka kochania gorszycielki" (2014) wynika z kolei, że była ona także wielką mitomanką. Zmyślała rozmaite historie, myliła tropy, ubarwiała, wszystko dla dobra anegdoty – szczególnie gdy idzie o opowieści o własnym życiu. Pasjonujący byłby to materiał do biografii, jeszcze jedna ciekawa warstwa osobowości i tak ciekawej persony. Sadowska to omija – jej wybór, jej prawo. Jednak protestować trzeba koniecznie, gdy próbuje pośmiertnie zapisać Wisłocką do KOD zdaniem: „Gdyby Wisłocka jeszcze żyła, szłaby na czele »czarnego protestu«" albo gdy Varga ogłasza, że w latach 70. „peerelowskie generałowe, ministrowe i sekretarzowe uratowały Polskę przed popadnięciem w zupełny ciemnogród" (pomagając Wisłockiej wydać „Sztukę kochania").

MŁODE KOCHANKI GENERAŁÓW

Czy to znaczy, że rozważania „seks a PRL" nie mają sensu? Ależ oczywiście, że mają. Pasjonującą historią jest jego obecność w kulturze masowej tamtych czasów, wciąż nie do końca opowiedzianą, to, jak na te sprawy patrzyły komunistyczne władze. Jednak teza o ciemnogrodzie komunistyczno-katolickim jest nie do utrzymania – w Związku Sowieckim przecież kwestie owe poruszano równie niechętnie i nawet swojej Wisłockiej się nie doczekali, a przecież nie było tam podglebia katolicko-narodowego.

PRL-owskich generałów seks interesował bardzo, nie tylko wtedy, gdy chodziło o młode kochanki. Jeśli chcecie wiedzieć jak – sięgnijcie do akt IPN. Z zachowanych teczek SB wyraźnie wynika, jak pożytecznym narzędziem były obyczajowe kompromaty. Jak cenną wiedzą dla władzy były informacje o tym, kto i z kim kogo zdradza. Bo nie tylko do łamania księży służyła zasada „korek, worek i rozporek" (kompromaty alkoholowe, łapówki, afery seksualne). Zajrzyjcie do publikacji na temat akcji „Hiacynt", w ramach której milicja i Służba Bezpieczeństwa gromadziły dane o homoseksualistach, by potem ich szantażować i zmuszać do współpracy. O tym jednak Maria Sadowska i „Wyborcza" nie opowiedzą, bo akcją kierował „człowiek honoru" – gen. Czesław Kiszczak. Na marginesie: ależ by się uśmiał, gdyby usłyszał od Sadowskiej, iż „dawniej Kościół nie miał pretensji do kobiet, że wykonują aborcję, i nie emocjonował się sprawami obyczajowymi, bo zajmował się walką z partią".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2088586fa3

Krzysztof Masłoń

Żył i tworzył na przecięciu trzech kultur: polskiej, francuskiej i angielskiej. Jednak to znajomość polskiej kultury jest istotna, by zrozumieć twórczość pisarza z bardzo skomplikowaną metryką

Conrad: Polak z wątpliwościami

FOT. MONDADORI COLLECTION/UIG/GETTY IMAGES

Józef Teodor Konrad Korzeniowski urodził się w 1857 r. w Berdyczowie FOT. POLONA

Gdyby z całą powagą traktować wynurzenia „Gazety Wyborczej”, doszlibyśmy do wniosku, że powodem ustanowienia przez Sejm bieżącego roku Rokiem Josepha Conrada była chęć „odzyskania” tego anglojęzycznego pisarza i przeflancowania go do literatury polskiej. Samo w sobie nie byłoby to takie złe, bo to zacny pisarz, tyle że – przy wszystkich różnicach – jest on w takiej mierze pisarzem polskim jak Adam Mickiewicz poetą litewskim. Albo białoruskim, zważywszy na to, że urodził się (Mickiewicz, nie Conrad) w Zaosiu koło Nowogródka. Dla porządku przypomnijmy, że Józef Teodor Konrad Korzeniowski herbu Nałęcz (czyli Conrad właśnie) na świat przyszedł w 1857 r. w Berdyczowie, a zatem na Ukrainie, co sprawę jeszcze bardziej gmatwa.

Z metryką Conrada zamieszanie jest zresztą jeszcze większe, niżby się sądziło. Wystawiono ją w Żytomierzu pięć lat po narodzinach przyszłego pisarza w szpitalu berdyczowskim. W Żytomierzu odbył się wtedy uroczysty chrzest chłopca, tyle że… bez jego udziału. Przebywał on bowiem wówczas w Warszawie albo już z rodzicami na zesłaniu w Wołogdzie. Wiadoma jest tylko data – 1862 r., a wydanie dokumentu nastąpić musiało w jakichś tajemniczych okolicznościach, bo ojciec Conrada siedział w Cytadeli, skąd pojechał prosto na zsyłkę.

Rozumiem, że podobne problemy nie spędzają snu z powiek zachodnim conradystom, a jednak ci wszyscy, którzy w Conradzie widzą jedynie pisarza angielskiego, nie zwracając uwagi na jego polskie korzenie (a także doświadczenia francuskie oraz wybitne oczytanie w literaturze francuskiej właśnie, nie polskiej, a na pewno nie angielskiej), przypominają brytyjskiego krytyka, Edmunda Gosse’a, który w 1927 r., trzy lata po śmierci twórcy „Jądra ciemności”, popisał się wyjątkową, zdawałoby się, arogancją. Otóż po tym, gdy Georges Jean-Aubry opublikował pierwszą biografię Conrada, w której zawarł niewiele informacji o rodzinie pisarza i jego polskim dzieciństwie, Gosse orzekł: „Przyznaję, że wcale bym się nie gniewał, gdyby mi mniej opowiadano o tych wszystkich Kaszewskich i Treminskich [?!]. Ich egzotycznie tajemnicze postaci nie rzucają wiele świeżego światła na autora »Lorda Jima«”.

Ejże! Conrad żył i tworzył na przecięciu trzech kultur: polskiej, francuskiej i angielskiej. Jego, podkreślana niekiedy na Zachodzie, „słowiańskość” w żadnym wypadku nie jest egzotyczna, a tajemniczą pozostaje jedynie dla tych, którzy dobrze nie znają ani tej twórczości, ani biografii pisarza. Oczywiście nikt nie zamierza ubierać go w narodowe szaty.

DUMA I ZADRA

W 1914 r. napisał np. memoriał w sprawie polskiej, w którym podkreślał, że Rosja nigdy nie zgodzi się na niepodległość Polski. Niemców (ze wskazaniem na Prusaków) nienawidził w tym samym stopniu. W liście do André Gide’a z 1916 r. rozmarzał się: „Co we mnie […] żyje z całą mocą, to gorąca wiara w przyszłość i głębokie przeświadczenie, że cień niemiecki zniknie z powierzchni tej ziemi, po której wiele wędrowałem”. W tym samym roku niewątpliwie za namową Józefa Retingera napisał i złożył w brytyjskim ministerstwie spraw zagranicznych inny memoriał dotyczący odbudowy państwa polskiego jako monarchii pod protektoratem Anglii i Francji. O tym, że były to mrzonki, w które sam nie wierzył, świadczy treść jego listów, ale z pewnością liczył na to, że w jakimś stopniu wpłynie na postawę rządu brytyjskiego w kwestii polskiej. Od ministra Greya usłyszał jednak zdanie brzmiące jak wyrok: „Całkiem niemożliwe”.

Pozbawiony złudzeń, w lutym 1918 r., a więc już po rewolucji bolszewickiej i po deklaracji amerykańskiego prezydenta Wilsona, pisał do Johna Quinna: „Cokolwiek się stanie, Rosja przestała brać udział w wojnie. Ważną sprawą jest teraz niedopuszczenie rosyjskiej zarazy, jej rozkładowej siły do organizmów społecznych reszty świata. Polska będzie w tym musiała odegrać rolę, jakiekolwiek będą jej losy. A równocześnie będzie się musiała oprzeć olbrzymiej potędze germanizmu, która również przyniosłaby śmierć, ale w innej postaci. Czy naród rozgrabiony, zrujnowany i wstrząśnięty aż do podstaw własnej duszy stanie na wysokości tak okropnego zadania, doprawdy nie wiem. Nigdy tyle mroku nie otaczało przyszłości żadnego ludu. I to, proszę pamiętać, po z góry stuleciu miażdżącego duszę ucisku – którym, poza paroma wybranymi istotami, świat zachodni w ogóle się nie interesował. Już przedtem karmiono go pięknymi słówkami. A im piękniejsze słówka, tym bardziej wprowadzały w błąd. Pewnego wieczora w sierpniu 1914 roku w słabo oświetlonym dużym pokoju rozmawiałem z grupką Polaków związanych z uniwersytetem i życiem politycznym miasta Krakowa. […] miałem odwagę powiedzieć im: »Nie łudźcie się. Jeżeli ktokolwiek będzie miał zostać w tej wojnie poświęcony – to będziecie wy. Jeżeli można znaleźć ocalenie, to tylko w waszych własnych piersiach, to tylko siłą waszego wewnętrznego życia będziecie zdolni odeprzeć zgniliznę Rosji i bezduszność Niemiec. I to będzie waszym losem na zawsze. Bo nic na świecie nie zmieni siły faktów«.

I gdybym miał do nich mówić dziś, powtórzyłbym te same słowa. Nie pamiętam, co p. Wilson powiedział w swoim ostatnim oświadczeniu. Okropna jest aura nierealności w tych wszystkich słowach, którymi się rzuca w obliczu przerażającej rzeczywistości”.

W efekcie koniec I wojny światowej i rysującą się niepodległość Polski witał nieufnie, pełen goryczy i sceptycyzmu. W liście do wysokiego urzędnika rządu Jego Królewskiej Mości Hugh Clifforda wyartykułował to dobitnie: „Co do Polski, nigdy nie miałem żadnych złudzeń i muszę oddać sprawiedliwość Polakom, że sami mieli ich bardzo niewiele. Sprawa polska była przez tyle czasu pogrzebana, że nawet jej doniosłość polityczna nie

eprasa.pl 2088586fa3

jest dotychczas rozumiana. W tej wojnie nie miała znaczenia nawet marginalnego. Gdyby przymierza inaczej się ułożyły, Mocarstwa Zachodnie wydałyby Polskę uczonej świni niemieckiej z równie małymi skrupułami, z jakimi gotowe ją były wydać parszywemu psu rosyjskiemu".

Zdzisław Najder, najwybitniejszy polski conradysta, pytany o to przeze mnie przed laty, zwracał uwagę, że niepodległość Polski stała się problemem dla samego pisarza: „Musiał sam przed sobą tłumaczyć się z grzechu braku wiary, braku nadziei. Dla niego wskrzeszenie Polski było problemem, gdyż przy całej radości z tego faktu odczuwał wstyd. […] Dla Conrada lata 1914–1920 były powodem do dumy z Polski, ale i zadrą – no bo gdzie on wtedy był? Dochował, co prawda, wierności, ale wierność bez nadziei mało jest jeszcze warta".

SAMO SERCE NARODU

Zaniedbywanie narodowych obowiązków zarzucano Conradowi wcześniej, i to w znacznie ostrzejszym tonie. Niewątpliwie najbardziej spostponowany został przez Elizę Orzeszkową. A całą sprawę rozpętał Wincenty Lutosławski, zamieszczając w 1899 r. w wydawanym w Petersburgu polskim tygodniku „Kraj" mało zręczny artykuł „Odwiedziny u Conrada" i, w ślad za nim, już całkiem niezgrabną pochwałę wychodźstwa dla celów zarobkowych, którą zatytułował „Emigracja zdolności". W tekście tym zacytował zdobywającego już sławę pisarza, który na pytanie Lutosławskiego, dlaczego nie pisze po polsku, odpowiedzieć miał: „Panie! Zbyt cenię naszą piękną polską literaturę, abym do niej miał wprowadzić moją nieudolną fuszerkę. Ale dla Anglików wystarczają moje zdolności i zapewniają mi chleb". Conrad, najprawdopodobniej, niczego podobnego nie powiedział, ale mleko już się rozlało i niebawem, na tych samych łamach, Eliza Orzeszkowa – protestując przeciw emigrowaniu ludzi uzdolnionych – poświęciła autorowi „Jądra ciemności" następujący ustęp: „A kiedy mowa o książkach, to powiedzieć muszę, że ten pan, który po angielsku pisuje powieści poczytne i opłacające się wybornie, o mało mię ataku nerwowego nie nabawił. Czułam, czytając o nim, taką jakąś rzecz śliską i niesmaczną, podłażącą mi pod gardło. Jak to! […] Zdolność twórcza to sama korona rośliny, sam szczyt wieży, samo serce serca narodu. I ten kwiat, ten szczyt, to serce odbierać narodowi swemu i oddawać Anglosasom, którym ptasiego mleka nawet nie brakuje, dlatego że drożej za nie płacą! Ależ o tym pomyśleć nawet niepodobna – bez wstydu!".

Zdaniem światowców skupionych wokół redakcji przy ul. Czerskiej dylematy Orzeszkowej są zapewne archaiczne i niewarte wspomnienia, a jednak Joseph Conrad mocno się nimi przejął i miał po temu powody. Orzeszkowa to nie była byle jaka pańcia z nudów sięgająca po pióro, ale pisarka na miarę Jane Austen, znana za granicą, przekładana na obce języki, co prawda głównie na rosyjski, ale to dla polskiego pisarza był język ważny, o ile nie najważniejszy. Nie musiała siedzieć w swoim Grodnie, tylko mogła gdzieś ułożyć sobie znacznie wygodniejsze i lepsze życie. A problem – zacytuję Zdzisława Najdera – „czy pisarz powinien przechodzić do innej kultury, do innego języka, pozostał i lepiej było go stawiać otwarcie niż ukradkiem".

Nawiasem mówiąc, gdy się obserwuje hołubce wykonywane przez naszych współczesnych autorów, którzy pisząc po polsku, przed oczyma mają czytelnika nad Menem czy Sprewą, Conrad staje się jeszcze bardziej pomnikowy. Musiał mieć w sobie sportowego ducha uczciwej rywalizacji i przestrzegał zasad fair play.

Conrad powinien służyć jako wizytówka polskiej kultury, tak bogatej, że i poza granicami kraju była w stanie stworzyć dzieła wybitne

HONOR I ODPOWIEDZIALNOŚĆ

Dwadzieścia lat temu swoją conradowską rozmowę ze Zdzisławem Najderem zakończyłem pytaniem rodem z Gombrowicza: Czy autor „Tajnego agenta" był dobrym Polakiem?

„Powiedziałbym – usłyszałem w odpowiedzi – że we własnym odczuciu był dobrym Polakiem… z wątpliwościami. W odczuciu sobie współczesnych dobrym Polakiem nie był i myślę, że te odczucia trzeba uszanować. Nawet mieszkając za granicą, pisząc po angielsku, mógł Conrad od czasu do czasu wyjść ze swego kokonu i choćby dla udowodnienia wierności w sprawie przegranej zrobić coś więcej. Prawdopodobnie wynikało to też z tego, że jako Polak nie chciał się poniżać, prosząc o jałmużnę, gdyż upominanie się o prawo Polski do istnienia było bardzo poniżające dla kogoś, kto miał wysokie wyobrażenie o własnym narodzie. No ale trudno, czasem trzeba się poświęcić".

Całkiem niedawno wyszydzono zastępcę dyrektora Instytutu Książki Krzysztofa Koehlera za jego stwierdzenie, że dziś po Brexicie i napadach na Polaków, do jakich doszło na Wyspach, Anglicy mają dodatkowy ważny powód, by zainteresować się „Conradem po polsku". A przecież tak właśnie jest, nie inaczej. Ten pisarz winien nam służyć jako, możliwie najlepiej spopularyzowana, wizytówka polskiej kultury, tak bogatej, że i poza granicami kraju, w obcym języku, była w stanie stworzyć dzieła wybitne. Bez znajomości tej kultury Conrad będzie niezrozumiały lub – z zachodniego punktu widzenia – egzotyczny. Podobnie jak dla nas, bez zanurzenia się w historię i kulturę brytyjską, autor „Smugi cienia" jest obcy.

Jasne, że Conrad to nie Sienkiewicz, znana była zresztą niechęć twórcy „Szaleństwa Almayera" do polskiego noblisty. Nie chodziło w niej tylko o zawodową zazdrość ani zawiść. Raczej o niezrozumienie przez Conrada nie tylko patriotycznej, lecz także pedagogicznej funkcji, jaką pełniły powieści Sienkiewicza, te pisane „ku pokrzepieniu serc" także, a może przede wszystkim. A że miał rację Conrad, niepokojąc się o los swojej ziemi rodzinnej, na której finał sporów polsko-ukraińskich jawił się coraz wyraźniej w postaci krwawej łuny, to już inna sprawa.

Joseph Conrad zmarł w 1924 r. Piętnaście lat później znów próżno było na mapie szukać Polski. I wtedy młodzi ludzie z podziemnej Armii Krajowej od niego, z jego książek uczyli się odpowiedzialności, honoru, wierności danemu słowu. Dzisiaj znów warto sięgać do „Jądra ciemności" i „Tajfunu", czytać „Tajnego agenta" i „W oczach Zachodu". A poznanie „polskiego Conrada" przydać się może w Anglii do zrozumienia tego, co my uważamy za oczywiste w jego twórczości: zupełnie odmiennego spojrzenia na imperializm i kolonializm (no prawie, bo jakoś daleki był Conrad od zaakceptowania niepodległościowych aspiracji Irlandczyków) i autentycznego przejęcia się zasadami solidaryzmu społecznego.

Paradoksalnie powiedzieć można, że dziś jest Conrad bardziej polski niż za swego życia. I co za tym idzie – jest lepszym Polakiem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2088586fa3

Nie-mądry uśmiech z Krakowa

Andrzej Horubała

Jadę samochodem, relacjonuję przez telefon przyjacielowi, jak tam nowa produkcja duetu Demirski-Strzępka. Mówię o niej z niechęcią, a on co chwila: o, to fajne, to brzmi super. Streszczam, „Triumf woli", że lewactwo, że w tej niemalże kabaretowej składance nieznośne prometejskie niby-mity – portrety ludzi, którzy to się postawili ogółowi: pierwsza kobieta, która przebiegła Maraton Bostoński – wbrew zakazom, udając faceta, ekolożka chroniąca wieloryby, aktywistka sprzeciwiająca się używaniu DDT. Większość owych działań, to całe obwieszczane przed premierą poszukiwanie szczęścia sprowadza się do gestów emancypacyjnych. Nawet rozczulająca opowieść pielęgniarki, która to na przekór regulaminowi szpitala słabowitego wcześniaka przytuliła do jego mocniejszego braciszka czy siostrzyczki i dzięki temu przytuleniu wyratowała go, odkrywając przy okazji cudowny efekt bliskości, okraszona musi być postacią złego represjonującego ją lekarza. W pakiecie dostajemy też transseksualistę – samoańskiego piłkarza, no i żeby już było zupełnie niestrawnie: sojusz górników z aktywistami LGBT z czasów thatcheryzmu.

Bawi się Strzępka świetnym zespołem aktorskim Starego Teatru, budzi te zapowiadane ciepłe pozytywne uczucia, krasi swój spektakl piosenkami, w których ochoczo na gitarach elektrycznych akompaniują aktorzy, wcielając się na chwilę w gwiazdy rocka. Podstarzałe teatromanki dostają więc obnażonych do pasa prężących się aktorów. Aktorki – i te młode, i starsze – ochoczo podejmują kabaretowe oraz taneczne zadania. Opowiadam Sławkowi ze złością o staczaniu się w banał, a on co chwila wrzuca: o, to świetne, o, to brzmi całkiem fajnie.

Wiem, on zauroczony Strzępką od czasu, gdy byli sąsiadami na Saskiej Kępie, a ona nie była jeszcze dla nikogo, a w szczególności dla niego, „tą Strzępką", tylko sąsiadką, która usłyszawszy z balkonu, jak słucha sobie w ogródku świeżutkich nagrań pod dyrekcją mało wówczas znanego w Polsce Marca Minkowskiego, rozpoznała dyrygenta i sobie pogadali. Miła to anegdota sprzed lat przecież jakoś uruchamiająca i we mnie sympatię do tej reżyserki. Przypomina mi się kontrastujący z tą scenką portret „Moniki Strzępki" z „W imię Jakuba S.", której Demirski włożył w usta świetne monologi o dumie i wstydzie z wiejskiego pochodzenia.

No, w każdym razie nawijam przez ten zestaw głośnomówiący, podnoszę głos, by Sławek dobrze mnie słyszał, no, trochę też z tłumionej złości, ale jakoś nie mogę go przekonać do swojej opinii.

Niby jestem dysponentem opowieści, w końcu to ja widziałem spektakl, nie on, a tu okazuje się, co rzucę potępienie, to on tylko swoje: o, to brzmi ciekawie, fajnie, i słyszę przez głośnik, jak serio jego usta rozciągają się w uśmiechu. No tak, tego fana serialu „Artyści" nic nie przekona.

ROZKRZYCZANE I ROZCHACHANE

Musimy kończyć, bo już sklepik i wysiadam, by zrobić zakupy. No ale co mógłbym powiedzieć, by przekazać swój zawód ostatnią produkcją duetu Demirski-Strzępka? Że rozkrzyczane to, histeryczne? Że w gruncie rzeczy bardzo łatwe, bo oparte na grubej, kabaretowej grze, i to nierzadko grze do publiczności, jakby aktorzy stali przed statywami z mikrofonami. Że to mizdrzenie się ulubieńców krakowskiej publiczności: przebieranki, grepsowanie, że to wszystko mało finezyjne. A może, że tekst dość płaski i fakt wieńczenia opowieści wspólnie śpiewaną piosenką, nie dość, że powtarza ten sam naiwny finał z wcześniejszego o pięć lat spektaklu tego duetu twórczego „O dobru", to wskazuje też, że Demirski zniża się do poziomu budowania wspólnoty i teatru na popkulturowym podkładzie, nie próbując sięgnąć wyżej. Owszem, człowiek jest zwierzęciem popkulturowym, ale przecież nie tylko!

Nie wiem, jak argumentować, by wypowiedzieć zawód: jadąc do Krakowa nastrajałem się na jakąś estetyczną i intelektualną przygodę, a dostałem kabaret. Po spektaklu „nie-boska komedia. Wszystko powiem Bogu!", gdy po panicznym finale rozbrzmiewała w kolumnach, wywołując ciarki na plecach, suplikacja „Święty Boże" śpiewana przez Bogusię Stoch-Kudasik (tak, tak z tych Stochów, od skoczka), wydawało się, że Demirski serio będzie chciał się mierzyć z nastrojami apokalipsy i dekadencji. I przecież nawet początek spektaklu

eprasa.pl 2088586fa3

Spektakl „Triumf woli" w reżyserii Moniki Strzępki w Starym Teatrze w Krakowie FOT. MAGDA HUECKEL

„Triumf woli", gdy na scenie pojawia się Will Szekspir i po zdemolowaniu piszczącej lotniskowej bramki wykrywającej metal, nonszalancko podaje tekst Prospera z „Burzy" o katastrofie, jaką sprowadził, ocalając jednak wszystkich podróżujących, to wtedy jeszcze – tym bardziej że katastrofa owa jest lotnicza, przywołuje zatem skojarzenia z „Burzą" Warlikowskiego sprzed kilkunastu lat – więc wtedy jeszcze nie traci się złudzeń, że owa zapowiadana w rozlicznych wywiadach polemika z przygnębiającym nastrojem czasów współczesnych, że szukanie pozytywnego przesłania na trudne lata będą czymś serio. Szekspir jako patron tego rodzaju refleksji? „Burza" jako tekst aktualny, który brzmieć może mocno i przekonująco? Dlaczego nie?

Okazuje się jednak, że ta rama w postaci burzy, katastrofy, wyspy z Szekspirem, który potem plątać się będzie po scenie i popijać radlera lub inne piwko z aromatem dla lemingów, obdarzając nas sonetem, narzekając na brak weny i zrzynając z Marlowa to tylko, ot, takie dowcipaski erudycyjno-kabaretowe. Otóż okazuje się, że ta rama to rzeczywiście błahostka niezapładniająca specjalnie, pusta.

Bo Demirski w poszukiwaniu pozytywów, zerkając wstecz, nie chce podejmować serio opowieści o destrukcji naszej wspólnoty, o naszych ranach, bliznach. Każe się wcielać ulubieńcom krakowskiej publiczności w ileś tam postaci historycznych, sprzedaje ileś tam anegdot, ale wszystko to prowadzone jest na poziomie jakiejś motywacyjnej broszury, internetowej ciekawostki, bez wnikania w konsekwencje, bez namysłu. Zgoda, efektownie zainscenizowana opowieść o Maratonie Bostońskim i protestach przeciw startowi kobiety ma swój nieodparty urok, tańce w wykonaniu młodziutkiej Moniki Frajczyk i jej autoironiczny instruktaż jogi śmiechu budzą uznanie, ale jest to wszystko błahe i rozczarowujące. A przecież jednym z najsłynniejszych cytatów „Burzy" jest właśnie „new brave world" – nowy wspaniały świat, który dał tytuł słynnej antyutopii Aldousa Huxleya i – wydawałoby się – choćby podjęcie tego tropu mogło skłonić Demirskiego do refleksji na temat idei postępu, którą bezkrytycznie niemal głosi.

Owszem, przy joggingu kobiet da żarcik o sprzęcie do biegania, ale nad ideologią związaną z kultem sprawnego ciała już się nie zająknie, przy walce z pestycydami zasygnalizuje, że wie o skutkach zakazu stosowania DDT i rozprzestrzenieniu się morderczej malarii. Ale w dążeniu do optymistycznych obrazów Demirski jakby porzucił swój krytyczny zmysł i zgłuszał wątpliwości. Dziwne zresztą, że wszystkie źródła szczęścia nie dość że pozbawione są jakiejkolwiek transcendencji, to mają dla autorów przede wszystkim wymiar społecznego buntu, jakby satysfakcji nie można było czerpać z intymnych doznań, z relacji bardziej kameralnych. Demirski stara się od czasu do czasu oprawiać opowieść w ironiczne ramy, pokazywać, że nie różni się ona od popularnych internetowych postów, ale jak na przesłanie na czas apokalipsy sygnalizowanej w „nie-boskiej"... całe to widowisko wybrzmiewa żałośnie.

„BURZA" WARLIKOWSKIEGO

Przez swe niezdarne odpowiedzi zaostrza Demirski apetyt na prawdziwy teatr. I oto po powrocie do Warszawy ślę nocnego e-maila do Michała Merczyńskiego, szefa Narodowego Instytutu Audiowizualnego, ten odpowiada od razu, więc wchodzę na link przez niego podesłany (Ninateka.pl), by obejrzeć zapis „Burzy" w reżyserii Krzysztofa Warlikowskiego. Nieprzyjemne to, pamiętam, było obchodzenie się z Szekspirem: odzieranie późnego dramatu z humoru, depresyjny klimat, jaki wydobywał zeń twórca, niefortunne obsadzenie Prospera (po ostentacyjnej rezygnacji z roli Janusza Gajosa, przejął ją Adam Ferency, pamiętam, gdy byliśmy w 2003 r. na tym spektaklu, aktor ten potykał się w tekście straszliwie, i chyba też nie do końca wiedział, co gra. Zresztą sam Warlikowski w książkowej rozmowie z Piotrem Gruszczyńskim „Szekspir-uzurpator" wyrażał brak satysfakcji z tej roli). Pamiętam i swoją dezaprobatę sprzed 14 lat!

Odpalam komputer, oglądam telewizyjny zapis spektaklu z TR Warszawa i widzę, że jednak obcuję z dziełem prawdziwie inspirującym. Jedwabne, które – wedle deklaracji reżysera – miało być podskórną dominantą jego „Burzy", zupełnie gdzieś zniknęło, zresztą już wtedy wydawało mi się to sprawą mocno naciąganą. A spektakl mający premierę w 2003 r., zarejestrowany pięć lat później, oglądany dziś, zdaje się kolejnym zwiastunem smoleńskiej tragedii i jej konsekwencji. Owszem, role rozdane są czasem na odwrót: Lech Łotocki (tak, tak, ten z filmu Krauzego od „wszystko, co ważne, już powiedziałem") tu gra Gonzala, „rzetelnego starego doradcę króla" i za sprawą reżyserskiego świadomego grepsu jąka się jak Adam Michnik, każąc patrzeć na „Burzę" jak na rzecz o polskiej współczesności. A lotnicza katastrofa? Siedzący jak kukły sztywno władcy Neapolu i Mediolanu oraz ich przyboczni, nerwowe dźwięki z rozmów z kokpitu i buczenie silników, cień zbrodni niepomszczonej, niewybaczonej, krzywdy niezabliźnionej – wszystko to układa się w złowieszczą przepowiednię.

Zatem i późniejsze sekwencje podejmujące problem winy i przebaczenia brzmią dzisiaj niezwykle aktualnie. Za sprawą nieudanego krakowskiego spektaklu godzę się prawie z Warlikowskim, odkrywając niezwykły potencjał i proroczy, wieszczy niemal gest w jego „Burzy". Cóż, nawet redukując Szekspira, bezsensownie moim zdaniem pozbawiając go owego uśmiechu starego mędrca, eksponując jego rozpacz, destylując ją i delektując się nią, i tak mówi Warlikowski coś niezwykle poruszającego, a z pewnością mądrzejszego niźli piosenki i świat internetowych przypowieści serwowanych przez Demirskiego i Strzępkę. Czyżby serial telewizyjny wieńczony pieśnią zespołu Proletaryat miał na zawsze obniżyć poziom twórczego duetu?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2088586fa3

FOT. MATERIAŁY PROSOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Tylko błazen zna prawdę

Minęły czasy, gdy młodzi buntowali się i chcieli zmieniać świat. W XXI w. sztandar kontestacji przejmują emeryci.

Tytułowy Toni Erdmann ma multum wad i jedną zaletę: nie istnieje. To pseudonim, którym posługuje się Winfried – podstarzały kawalarz, abnegat i prowokator. Córka, aż za bardzo poukładana, zarzuca mu, że „nie ma ambicji ani planu na życie". Tymczasem jej własny plan zaczyna się sypać. Ines tyra w międzynarodowej firmie konsultingowej, doradza koncernowi, który ma chrapkę na rumuńskie pola naftowe. Musi być czujna, zwarta i gotowa 24 godziny na dobę. Winfried najwyraźniej tego nie docenia. Po śmierci ukochanego psa bez zapowiedzi odwiedza pierworodną w Bukareszcie, by wręczyć jej w prezencie urodzinowym francuską tarkę do sera. A potem jeszcze bardziej się rozkręca: uzbrojony w perukę, garniak i sztuczne zęby sieje popłoch w kręgach biznesowo-dyplomatycznych. Swoją drogą ze światem musi być naprawdę źle, jeśli jaskółczy niepokój ogarnia nawet Niemców i Austriaków.

Europejski Film Roku jest hybrydą, połączeniem egzystencjalnego dramatu z satyrą na obyczaje korpoludków i „międzynarodowy sposób myślenia". Obciachowy Herr Erdmann może bezkarnie kłusować w branży, którą rządzą chore reguły. Konsulting? To sztuka polegająca na odgadnięciu prawdziwych intencji klienta i manipulowaniu kontrahentami. Podwładnych motywuje się, wysyłając do nich sprzeczne sygnały. Kiedy szef powie ci: „Jesteś bestią", to znaczy, że jesteś na dobrym tropie. Rumuńska stolica jest tu tylko tłem. Akcja równie dobrze mogłaby się rozgrywać w Warszawie, Baku czy Hanoi. Wszędzie, gdzie rudery sąsiadują z wypasionymi galeriami handlowymi, a poczciwi tubylcy wychodzą ze skóry, aby zadowolić gości z Zachodu. Na koniec to oni zapłacą rachunek za wypitego szampana i zużytą benzynę, więc wypada być miłym, unikać używania słowa „outsourcing", chwalić gospodarzy za poczynione postępy, zaś na odchodnym życzyć, by nie tracili humoru. Los mieszkańców peryferii kapitalizmu wydaje się przesądzony.

Ines może jeszcze uratować duszę. W kapitalnej scenie imprezy integracyjno-urodzinowej wychodzi bowiem na jaw, że jest nieodrodną córeczką tatusia.

Siła „Toniego Erdmanna" tkwi w starym (lecz, jak widać, wciąż jarym) motywie kulturowym. Poważni ludzie to głupcy, zaś trefniś jest figurą mędrca. Już Szekspir zauważył, że „błazna szaleństwo zdrową myśl ukrywa".

Podejrzewam jednak, że Oscar dla najlepszego filmu nieanglojęzycznego przejdzie Maren Ade koło nosa. Szanowni akademicy, na złość Trumpowi, nagrodzą irańskiego „Klienta". ©℗

★★★★★☆

REŻ. MAREN ADE „TONI ERDMANN" NIEMCY/AUSTRIA 2016

wyst. Sandra Hüller, Peter Simonischek, Michael Wittenborn, Thomas Loibl

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „NAUCZYCIELKA"

Powrót do czasów późnego komunizmu – akcja rozgrywa się w roku 1983, w szkole na przedmieściach Bratysławy. Pojawienie się i wyczyny nowej nauczycielki przewracają spokojne życie do góry nogami, ale nie jest to zmiana na lepsze. Czarę goryczy przeleje samobójcza próba jednej z uczennic. Czy rodzice odważą się na konfrontację z dobrze ustosunkowaną w komunistycznym reżimie nauczycielką? Co naprawdę dzieje się w tej szkole? ©℗ *(pg)*

- ***„Nauczycielka" („Učitelka"), reż. Jan Hřebejk, wyst. Zuzana Mauréry, Peter Bebjak, Zuzana Konečná, Czechy 2016***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Lego® Batman: Film" („The Lego® Batman: The Movie"), reż. Chris McKay, USA 2017***
- ***„John Wick 2" („John Wick: Chapter Two"), reż. Chad Stahelski, USA 2017***
- ***„Ciemniejsza strona Greya" („Fifty Shades Darker"), reż. James Foley, USA 2017***

eprasa.pl 2088586fa3

Krew na garsonce

Jacqueline Kennedy ma swoje miejsce w historii. Zapoczątkowała epokę żon i kochanek sławnych ludzi, które same zostają celebrytkami. Po 22 listopada 1963 r. najmłodsza z pierwszych dam Ameryki dokonała nie lada wyczynu. Zamiast wejść w rolę zbolałej wdowy, której niby wszyscy współczują, lecz najchętniej pochowaliby ją razem z małżonkiem, z energią zabrała się do budowania legendy J.F.K. – największego prezydenta Stanów Zjednoczonych od czasów Lincolna. W filmie Pablo Larraina pani Kennedy to kobieta o wielu twarzach. W jednej chwili krucha, w drugiej twarda jak skała. Do dziennikarzy ma bardzo współczesne podejście. Gardzi nimi, lecz umie wykorzystać ich do własnych celów. W programie telewizyjnym, wyemitowanym krótko po wyborczym triumfie J.F.K., wystąpiła w roli oprowadzającej po zakamarkach Białego Domu. Teraz powtarza ten zwycięski manewr. Schodzi ze świecznika, by na nim pozostać. Prawdziwa Jackie chyba nie była aż tak inteligentna. A talentem aktorskim z pewnością ustępowała Natalie Portman. Warto też zwrócić uwagę na wymizerowanego księdza – to jedna z ostatnich ról Johna Hurta. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆

REŻ. PABLO LARRAIN
„JACKIE"
USA/FRANCJA/CHILE 2016

wyst. Natalie Portman, Billy Crudup, Peter Sarsgaard, Greta Gerwig

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WOJNA FUTERKOWA

Kanał Discovery pozazdrościł konkurencji z History Channel sukcesu serialu „Wikingowie" i zamówił własną fabułę w odcinkach. „Frontier" to opowieść, której akcja rozgrywa się w wieku XVIII, a przedmiotem rywalizacji między Anglikami, Francuzami i Szkotami jest handel futrami, którego wielkim centrum była wówczas Zatoka Hudsona. Najbardziej rozpychali się Anglicy za sprawą Hudson Bay Company, najcenniejszym sojusznikiem byli zaś ci, którzy potrafili skłonić do współpracy wrogo nastawionych Indian. „Frontier" to historia zemsty, której na lokalnym gubernatorze chce dokonać traper mieszaniec. Niestety, główny bohater jest jednocześnie najsłabszym punktem serialu, bo Jason Momoa grać nie potrafi. Dużo lepiej wypadają Alun Armstrong jako lord Benton i kilku aktorów drugoplanowych. Krótki sezon pierwszy (sześć odcinków) cierpi też boleśnie na brak budżetu.

★★★☆☆☆

SEZON 1
„FRONTIER"
KANADA 2016, NETFLIX

wyst. Jason Momoa, Alun Armstrong, Allan Hawco

PIESKIE ŻYCIE

Studio Illumination Entertainment, producent m.in. „Minionków", kolejny raz rzuca rękawicę Pixarowi i Disneyowi. „Sekretne życie zwierzaków domowych" to samograj. Cóż może być dla dzieciaków atrakcyjniejszego na ekranie od masy psiaków, kociaków i innego drobiazgu? Efekt finansowy był więcej niż dobry, sama opowieść aż tak dobra nie jest. To historia dwóch psów rywalizujących o względy swej pani, które zagubione w mieście odkrywają cienie życia na własną łapę (z przystaniem do gangu dzikich zwierzaków włącznie). Równolegle przyglądamy się losom nietypowej koalicji przyjaciół, która zagubionych poszukuje – nietypowej, bo oprócz domowych psów i kotów dołączają do niej buszująca w szybach wentylacyjnych świnka morska oraz pewien ptasi maniakalny zabójca. Animacja jest na poziomie, ale dialogi słabsze od tych z hitów Pixara. Całkiem jakby twórcy uznali, że urok samych psiaków wystarczy. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

★★★☆☆☆

REŻ. CHRIS RENAUD, YARROW CHENEY
„SEKRETNE ŻYCIE ZWIERZAKÓW DOMOWYCH"
USA 2016, FILMOSTRADA

GRA TYGODNIA: „DARKSIDERS WARMASTER EDITION"

★★★★☆☆

Pierwsza część „Darksiders" zawitała na ekrany komputerów i konsol ponad siedem lat temu. Chociaż nigdy nie był to tytuł kultowy, zdobył sobie grono zagorzałych fanów, z przyjemnością wcielających się w jednego z jeźdźców Apokalipsy, który za pomocą ogromnego miecza przywraca równowagę pomiędzy aniołami i demonami. Produkcja już wtedy kusiła nieustanną akcją, otwartymi i malowniczymi lokacjami oraz ogromną liczbą wrogów do pokonania. Dzisiaj wraca na półki sklepów w odświeżonej szacie graficznej, ale z tym samym systemem rozgrywki. Czy warto? Dla nowicjuszy – tak. Dla weteranów – szkoda czasu. ©℗ ***Marcin Makowski***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *TPP*
- ***Platforma:*** *PS4/XONE/PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *THQ Nordic/Cdp.pl*
- ***Klasyfikacja wiekowa PEGI:*** *18+*

eprasa.pl 2088586fa3

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Nowoczesny patriotyzm

Obok postaci fikcyjnych bohaterami „Rozgrywki" są generałowie Jaruzelski i Kiszczak, pojawiają się też inne znane osoby, m.in. działacze NZS z Maciejem Kuroniem. Akcja powieści toczy się w Polsce w roku 1985 w różnych środowiskach, ze szczególnym uwzględnieniem służb specjalnych. Rządzący Polską wiedzą, że jest to już ich łabędzi śpiew, chcą jednak zabezpieczyć sobie przyszłość, a tego bez tych służb zrobić się nie da. Skoro więc wiadomo, że powymieniani zostaną tam ludzie, to genialny w swej prostocie pomysł nasuwa się sam. Trzeba zrobić wszystko, by „ich ludzie stali się naszymi".

I oto w powieści Bartka Marcinkowskiego natrafiamy na ciekawy dialog opozycyjnie nastawionych studentów. O ile pierwszy w walce z komuną skłonny jest zaakceptować wszelkie środki, z terrorem włącznie, o tyle drugi przeciwstawia mu „patriotyzm nowoczesny".

„– Myślę o patriotyzmie w sposób, w jaki pojmują go obywatele świata zachodniego. Troska o każdego mieszkańca, także przeciwnika politycznego, jakim w danym przypadku jest milicjant.

[…] – Jak więc walczyć z wrogiem, jeżeli mamy się o niego troszczyć? Kurwa, to jest chore, ich trzeba zabijać! To jakby kazać żołnierzom pisać odezwy na linii frontu.

[…] – Powtórzę jeszcze raz – nam, ludziom wykształconym, przyszłej elicie kraju, obce powinno być prymitywne pojmowanie patriotyzmu. Wyzbyć się powinniśmy glinianej, ciężkiej polskości, która pcha nas do samotnej walki ze wszystkimi. Wbrew temu, co myślisz, nie jesteśmy wyjątkowym narodem, bóstwem czy – jak wolał Mickiewicz – Chrystusem narodów. Przeszłość w tym sensie trzeba odrzucić, mitologia nie przyda się. Ważne to, co przed nami i pod naszym nosem. Myślenie o bohaterstwie zrobiło nas ślepymi na własne wady i słabości i dlatego jesteśmy w takim, a nie innym miejscu historii".

FOT. ARCHIWUM BARTKA MARCINKOWSKIEGO

„– W Polsce będzie normalnie tylko wtedy – konkluduje swój wywód państwowotwórczo myślący student, filozofii zresztą – gdy sami o nią zadbamy: ty, ja, towarzysz Jaruzelski, każdy. Musi się zmienić sposób myślenia o państwie.

– Bla, bla, bla… Pierdolenie. Nie kupuję tego. […] Polska to nie tylko ludzie, którzy ją budowali, ale też ci, którzy oddali za nią życie. I nie tylko struktury, a przede wszystkim ideały. Jeżeli ktoś mówi, że to anachronizm i zacofanie, musi być głupcem albo łajdakiem".

Niedoszły filozof, w 1985 r. rozpoczynający swój flirt (?) z ruchem Wolność i Pokój, zostanie niebawem aresztowany i już przy zatrzymaniu, a następnie w czasie śledztwa, pobity. Zapytany potem, o czym myślał pod celą, odpowiedział, iż tamten jego rozmówca miał rację, „że trzeba ich zabijać. I jeszcze o tym, że dobrze byłoby zamienić się na miejsca".

Ten młody człowiek, w przeciwieństwie do innych osobników sportretowanych w „Rozgrywce", był stosunkowo odporny na zabiegi SB, która i prośbą, i groźbą namawiała go do współpracy. Do czasu jednak. Źle, niestety, dobierał przyjaciół, a decydującą rolę odegrały fotografie demaskujące go jako homoseksualistę, którym w istocie był. Cała intryga powieści osnuta jest zresztą na szatańskim pomyśle gen. Kiszczaka, by właśnie „kochających inaczej" wykorzystać do stworzenia siatki współpracowników.

A po co było to wszystko?

„– Nasz system zmieni nazwę i wchłonie opozycję – powiedział w marcu 1988 r. Jaruzelski do Kiszczaka. – Wykorzystamy ich do modernizacji kraju, obciążymy odpowiedzialnością za kurację ekonomiczną i…

– Zachowamy władzę – dokończył za niego.

– Nie tylko zachowamy, ale umocnimy, przesuwając ją do cienia".

W ostatniej scenie „Rozgrywki" uczestnicy pierwszego w krótkiej historii Urzędu Ochrony Państwa kursu w sławnej szkole w Starych Kiejkutach otrzymują nominację na stopień sierżanta i zostają skierowani do pracy w centrali. Jest rok 1990. Wśród absolwentów tego kursu dla wybranych jest i nasz państwowotwórczy filozof, wciąż nowoczesny patriota, może tylko pozbawiony złudzeń. ©℗

★★★★☆

BARTEK MARCINKOWSKI „ROZGRYWKA" NOVAE RES, GDYNIA 2016

eprasa.pl 2088586fa3

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Żegnaj Hans, witaj Bradl!

Miał być komiks o Janie Nowaku-Jeziorańskim, ale zaproszony na spotkanie do Muzeum Powstania Warszawskiego scenarzysta nie za bardzo wie, jak się zabrać do stworzenia opowieści o tak pomnikowej postaci. „Wtedy na biurko trafia »Życie niewłaściwie urozmaicone« – autobiografia Kazimierza Leskiego" – opowiada w krótkim posłowiu Tobiasz Piątkowski.

Tak narodziła się seria „Bradl", której pierwszy tom właśnie się ukazał. Bradl to jeden z niezliczonych pseudonimów Leskiego, postaci doprawdy niezwykłej. Jeden z projektantów polskich łodzi podwodnych (w tym słynnego ORP „Orzeł"), lotnik zestrzelony we wrześniu 1939 r. przez Armię Czerwoną, specjalista od wywiadu i kontrwywiadu AK, kurier, superagent patrolujący Wał Atlantycki jako fałszywy niemiecki generał, w powstaniu warszawskim dowódca kompanii. W czasach komunizmu – oczywiście w więzieniu. Jeden z Polaków wyróżnionych tytułem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. Tak, to cały czas jedna i ta sama osoba – Kazimierz Leski.

Akcja pierwszego tomu serii rozgrywa się na początku wojny. Zaczyna się w chwili powrotu Leskiego do okupowanej przez Niemców Warszawy (uciekł we Lwowie z niewoli sowieckiej). Kończy w momencie, gdy krzepnie tworzona w podziemiu organizacja bojowa, której Leski będzie ważnym ogniwem. Jako że komiks obyć się nie może bez czarnego charakteru (wróg ogólny, czyli okupanci, to za mało), na przeciwnika nominowany zostaje niemiecki agent – Helmut Radke, szykowany najwyraźniej na stałego przeciwnika grupy Polaków.

Kreska Oleksickiego (od lat pracującego dla zachodnich wydawnictw) jest świetna – realistyczna, zdecydowana i nowoczesna zarazem. Kadry wytrzymują porównanie z publikacjami najlepszych zachodnich koncernów. Gdyby zamiast Bradla występował w nich Batman, byłyby ozdobą każdej antologii o Mrocznym Rycerzu. Scenariusz Piątkowskiego nie tylko przynosi dobrze nakreślonych bohaterów i ładne, niemal westernowe dialogi, lecz także okazuje się przedsięwzięciem edukacyjnym – najlepszy przykład to kadr pokazujący niemieckich żołnierzy fotografujących się przed dziś nieistniejącym już Pałacem Saskim. Całość wstępem opatrzyła Alexandra Richie, amerykańska historyk zakochana w Polsce. Żegnamy na dobre Hansa Klossa, witamy Bradla-Leskiego. To wzorowe przedsięwzięcie promujące polskie dzieje, gotowe do przekładu na inne języki. Oby jak najszybciej. ©℗

★★★★★☆

TOBIASZ PIĄTKOWSKI, MAREK OLEKSICKI „BRADL", TOM 1 EGMONT 2017

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE:

Pierwszy tom cyklu, który jest odgałęzieniem najpopularniejszej serii Diany Gabaldon – „Obca" („Outlander"). Obydwa cykle wydawane w Polsce w latach 1999–2006 przeżywają renesans popularności za sprawą serialu „Outlander".

DIANA GABALDON „LORD JOHN I SPRAWA OSOBISTA" ŚWIAT KSIĄŻKI

Siedemnaście klasycznych horrorów jednego z arcymistrzów gatunku, w tym tak znane jak „Zew Cthulhu", „Kolor przestworzy" i „Przypadek Charlesa Dextera Warda". Wznowienie w twardej oprawie.

HOVARD PHILLIPS LOVECRAFT „W GÓRACH SZALEŃSTWA" ZYSK I S-KA

Dwudziesty pierwszy tom cyklu o Jacku Reacherze. Tym razem cofamy się do roku 1996, kiedy to wespół z agentami FBI i CIA rozpracowuje sprawę uśpionej komórki terrorystycznej w Niemczech i prawdopodobnego zamachu w USA.

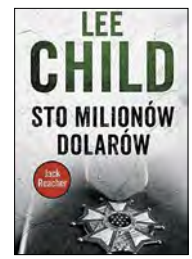

LEE CHILD „STO MILIONÓW DOLARÓW" ALBATROS

Pierwszy tom „Moskiewskiej sagi", największego osiągnięcia zmarłego w 2009 r. pisarza. Epicka opowieść porównywana jest często do cyklu Rybakowa „Dzieci Arbatu". Tamten był pierwszy, Aksionow jest za to lepszy.

©℗ ***poleca Piotr Gociek***

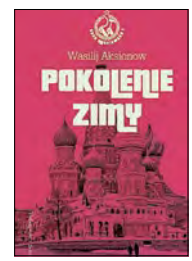

WASILIJ AKSIONOW „POKOLENIE ZIMY" PRÓSZYŃSKI MEDIA

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Jerzy Zięba „Ukryte terapie", tom 2 (Wydawnictwo Egida Halina Kostka) – ciąg dalszy kontrowersyjnych opowieści z cyklu „Czego lekarz ci nie powie".***
2. ***Jan Kaczkowski, Joanna Podsadecka „Dasz radę" (WAM) – ostatni wywiad ze zmarłym w marcu tego roku założycielem Puckiego Hospicjum pw. św. Ojca Pio.***
3. ***M. L. Stedman „Światło między oceanami" (Albatros) – rok 1920, samotne małżeństwo przygarnia obce dziecko. Są konsekwencje. Melodramat retro.***
4. ***Nicholas Sparks „Spójrz na mnie" (Albatros) – nowa powieść autora „Listu w butelce" i „Pamiętnika". Obyczajowo ze szczyptą intrygi kryminalnej.***
5. ***J.K. Rowling „Harry Potter i przeklęte dziecko" (Media Rodzina) – dorosły Harry pracuje w Ministerstwie Magii. Szkoda, że to tekst sztuki, a nie powieść.***

(Najchętniej kupowane książki w sieci księgarskiej BookBook)

eprasa.pl 2088586fa3

JAN POSPIESZALSKI

KONTRA/BASEM

Strefa Chwały

Strefa Chwały 2017 odbędzie się w Starym Sączu na przełomie czerwca i lipca FOT. PIOTR BABISZ

Od 2 lutego ruszyły zapisy dla muzyków, którzy chcą uczestniczyć w tegorocznej Strefie Chwały. To jedyny tej rangi festiwal, który łączy sferę duchową i artystyczną w formie wakacyjnego zgrupowania warsztatów-rekolekcji.

Strefa przez 25 lat wykształciła imponujące grono muzyków. Trudno wyobrazić sobie polską branżę muzyczną bez artystów, którzy przewinęli się przez Strefę. Mietek Szcześniak, Natalia Niemen, Robert Friedrich „Litza", Maleo, Piotr Nazaruk z TGD, Ewa Uryga, Joachim Mencel, Kamil Mokrzycki z Sound & Grace, Magda Frączek – oni wszyscy uczestniczyli kiedyś w rekolekcjach, a dziś tworzą polską scenę muzyki nie tylko chrześcijańskiej. Festiwal po latach tułaczki osiadł na stałe (?) w ogromnych namiotach na placu Papieskim w Starym Sączu. Wykształcił też specjalny format z przewidywalną kadrą. Z poprzednich edycji zapamietałem niezwykle profesjonalną oprawę muzyczną zarówno tego, co się dzieje na estradzie, jak i piękną, czterogłosową oprawę liturgii, stworzoną pod kierownictwem o. Andrzeja Bujnowskiego OP i Huberta Kowalskiego. Młodzi pasjonaci, którzy przed laty stworzyli festiwal, dziś już założyli rodziny, stąd z roku na rok na rekolekcjach pojawia się coraz więcej dzieci. Dla stale rosnącej grupy maluchów organizowana jest specjalna strefa, której imponującym elementem jest parking wózków.

W tym roku serię nauk wygłoszą m.in. bp Grzegorz Ryś, bp Andrzej Jeż, ks. Jacek Herma. Zapowiedziane są spotkania z Markiem Jurkiem, perkusistą Skaldów Janem Budziaszkiem, Patrycją Hurlak („Nawróconą Wiedźmą").

Będą też ci, którzy od początku tworzyli Strefę – Lidia i Marcin Pospieszalscy, Joachim Mencel i zespoły: New Life'm, Deus Meus, Pax, Albo i Nie, Piąty Wyraz, Play and Pray, Arkadio.

Zachęcam, by między 29 czerwca a 4 lipca wygospodarować kilka dni, nawet jeżeli nie jest się muzykiem. Wspaniała przygoda duchowa i spotkanie z fascynującym światem innej kultury.

Zgłoszenia na stronie http://strefachwalyfestiwal.pl. ©℗

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Nostalgia bez głosu

Filmu nie widziałem i pewnie szybko nie zobaczę, gdyż ścieżka dźwiękowa do „La La Land" nie zachęca do odwiedzenia kina.

Musical jest synonimem kultury amerykańskiej. Już w 1928 r. na ekrany kin trafił „Śpiewak jazz-bandu", a rok później Oscara za najlepszy obraz otrzymał „The Broadway Melody". Złoty okres śpiewanych filmów przypadł na przełom lat 50. i 60. W 1952 r. sześć statuetek otrzymał „Amerykanin w Paryżu", sześć lat później „Gigi" zgarnął o trzy więcej. Do dziś rekord dzierży „West Side Story" z 10 Oscarami. Ostatnim uhonorowanym tak zacnie przez Hollywood filmem muzycznym było „Chicago" z 2003 r. (sześć nagród).

Muzykę do „La La Land" skomponował Justin Hurwitz, współlokator reżysera Damiena Chazelle'a z czasów studenckich. Słowa napisali Benj Pasek i Justin Paul, weterani teatru muzycznego. Niestety, ich dzieło celujące w dźwiękową tęsknotę za złotą erą Hollywood ma wadę – brakuje piosenek, które chciałoby się zanucić. Melodie swingują, orkiestrowe aranżacje oczarowują, chóry ogłuszają, a zawodowi wokaliści (Callie Hernandez, John Legend) nie zawodzą. Niestety, Ryan Gosling i Emma Stone nie są duetem na miarę Freda Astaire'a i Ginger Rogers. A i tak mimo ich cienkich głosików promująca płytę „City of Stars" dostanie Oscara. ©℗

★★★☆☆☆
ORIGINAL MOTION PICTURE SOUNDTRACK „LA LA LAND" UNIVERSAL

★★★★☆☆
THE XX „I SEE YOU" YOUNG TURKS

Trzeci album ulubieńców brytyjskiej krytyki. Trio wkroczyło w świat popu lat 80. (cover Everything But The Girl). Mimo atrakcyjnych rozwiązań rytmiczno-brzmieniowych płyta pozostawiła mnie niewzruszonym. ©℗

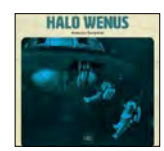

★★★★☆☆
MATEUSZ ŚWIĘCICKI „HALO WENUS" GAD

Napisał ponad 200 piosenek, tworzył muzykę teatralną, by w 1974 r. odkryć syntezator ARP. Zafascynowany elektronicznymi brzmieniami nagrał z jazzmanami instrumentale na potrzeby Wytwórni Filmów Dokumentalnych. Wreszcie są na CD. ©℗

eprasa.pl 2088586fa3

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

CZYTAJ CO TYDZIEŃ W LEPSZEJ CENIE ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY” + KSIĄŻKA PAWŁA LISICKIEGO „KREW NA NASZYCH RĘKACH?”

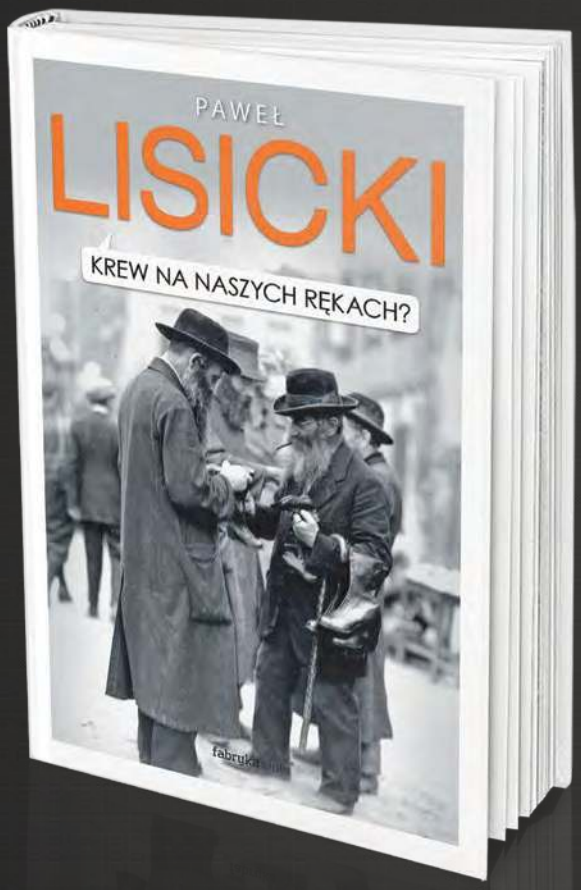

CZASY, KIEDY POLACY MOGLI ŻYĆ W NAIWNYM PRZEKONANIU, ŻE SĄ POSTRZEGANI JAKO WSPÓŁOFIARY WOJNY, DAWNO SIĘ SKOŃCZYŁY. SAKRALIZACJA HOLOCAUSTU SPRAWIŁA, ŻE DOKONAŁ SIĘ NOWY PODZIAŁ RÓL.

Od połowy ubiegłego wieku w powszechnej świadomości świata jedyną ofiarą wojny stali się Żydzi. Przeciętny Amerykanin, czy Francuz, czy Niemiec mniema, że II wojna to był Holocaust i tyle. Byli jeszcze jacyś ludzie, którzy Żydów ratowali, reszta jednak, cała wielka wielomilionowa rzesza przyglądała się biernie, albo wręcz w mordzie uczestniczyła. Otoczeni przez mrowie chrześcijańskiej tłuszczy, która czyhała na ich życie i majątek, Żydzi ginęli samotnie.

140 zł

oszczędność 86 zł

www.prenumerata.dorzeczy.pl

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO:
62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o.
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa.

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem tygodnika.

WIĘCEJ INFORMACJI:
E-MAIL: **prenumerata@point-group.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **www.prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 2088586fa3

Tomasz P. Terlikowski

Konflikt w zakonie kawalerów maltańskich i sposób jego rozwiązania przez papieża mogą wydawać się nieistotne z punktu widzenia całego Kościoła. Jednak w tej sprawie skupiają się wszystkie cechy tego pontyfikatu i wyzwania, jakie on rodzi

Maltańskie

W tej historii jest wszystko, co powinno być w dobrej powieści sensacyjnej – wielkie pieniądze, konflikt między wysoko urodzonymi zakonnikami i tradycja wielkiego zakonu rycerskiego. Nie brak w niej jednak także przyziemnych emocji, łamania prawa i… niewierności nauczaniu Kościoła. A wszystko w entourage'u odchodzącego świata zakonów rycerskich, czerwonych mundurów, wielkich nazwisk europejskiej arystokracji i intryg – w starym, absolutnie niezreformowanym, nie za dobrym stylu – kurii rzymskiej.

PREZERWATYWY ALBO ŚMIERĆ

Sprawa zaczęła się niewinnie. Wielki mistrz zakonu rycerzy maltańskich Fra' Matthew Festing zdymisjonował wielkiego kanclerza (trzecia osoba w hierarchii zakonnej) Albrechta Freiherra von Boeselagera. Powodem było – dobrze udokumentowane – oskarżenie o odpowiedzialność, jeszcze gdy pełnił funkcję wielkiego szpitalnika, za rozdawanie przez agencję zakonu Malteser International prezerwatyw. I choć urodzony w Niemczech kanclerz, „rycerz drugiej klasy", złożył śluby posłuszeństwa wielkiemu mistrzowi, to… odmówił rezygnacji. Zakon wszczął więc procedurę dyscyplinarną, która miała doprowadzić do usunięcia niemieckiego barona ze wszystkich funkcji i godności pełnionych w zakonie.

Jednak von Boeselager nie zamierzał poddać się bez walki i natychmiast przeszedł do ataku. W oświadczeniu wydanym 23 grudnia podkreślił, że jego dymisja dokonała się bezprawnie, a jej styl był autorytarny. Niemiecki baron zdecydowanie odrzucił też oskarżenia o uczestnictwo w dystrybucji środków antykoncepcyjnych przez instytucje zakonne i jej akceptację. Jego zdaniem trzy projekty, w których dochodziło do łamania zasad katolickich, zostały zorganizowane na poziomie lokalnym, a gdy tylko on się o nich dowiedział, natychmiast wstrzymał dwa z nich. Wstrzymanie trzeciego, jego zdaniem, było niemożliwe, ponieważ… oznaczałoby to całkowite pozbawienie opieki medycznej mieszkańców regionu, w którym był on sprawowany. Jednak i on został wstrzymany, gdy interweniowała Kongregacja

eprasa.pl 2088586fa3

Wielki mistrz Fra' Matthew Festing na spotkaniu z papieżem Franciszkiem 25 czerwca 2015 r. FOT. POOL/REUTERS/FORUM

zamieszanie

Nauki Wiary. Wielki kanclerz zapewniał także o swojej wierności nauczaniu Kościoła w kwestii seksualności.

Zapewnieniom tym przeczyły jednak działania specjalnej zakonnej komisji, która została powołana na długo przed odwołaniem niemieckiego kanclerza. Według zebranej przez nią informacji von Boeselager wiedział o tym, że podległe mu instytucje rozdawały prezerwatywy, a wedle jego współpracowników – on sam miał mówić jeszcze w roku 2014, że „albo Maltańczycy będą rozdawać prezerwatywy, albo ludzie będą umierać". Na wszystkie te zarzuty baron – podczas zorganizowanego 6 grudnia spotkania – nie odpowiedział. Wszystko więc wskazywało na to, że jego odwołanie, jako wewnętrzna sprawa zakonu, nie wywoła niczyjego zainteresowania i zakończy sprawę. Było to tym bardziej prawdopodobne, że zanim doszło do dymisji, z Franciszkiem spotkał się patron zakonu – kard. Raymond Burke, który poinformował Ojca Świętego o sytuacji w zakonie. Papież miał wyrazić głębokie nią zaniepokojenie i poprosić o oczyszczenie sytuacji i zakonu z wpływów masońskich. Decyzje wielkiego mistrza mogły być więc interpretowane jako wypełnienie woli papieża (który – co też trzeba powiedzieć – nie prosił o dymisję konkretnych osób). Mianowanie nowego wielkiego kanclerza Johna Chrétiena mogło kończyć sprawę. Tak się jednak nie stało.

KURIA WKRACZA DO AKCJI

Powód zaś był bardzo prosty. Otóż von Boeselager zdecydował się na odwołanie się do kurii rzymskiej, a konkretniej do sekretarza stanu Stolicy Apostolskiej kard. Pietro Parolina, informując go, że kard. Burke przekazał wielkiemu mistrzowi informację o tym, że to sam papież prosił o jego usunięcie. Parolin uznał, że – jeśli rzeczywiście tak było – oznaczało to powołanie się na słowa, które nigdy nie padły. A skoro tak, to konieczna jest szybka reakcja. Kłopot polega na tym, że – jak to relacjonował watykanista Edward Pentin – postrzegając sprawę jako pilną, nie sprawdził, czy informacje przekazane mu przez von Boeselagera są prawdziwe, a zamiast tego zaczął naciskać na zakon, by ten wycofał się ze swoich decyzji.

Gdy wielki mistrz odmówił, kard. Parolin zaproponował powołanie specjalnej watykańskiej komisji, która miałaby zająć się wyjaśnieniem wszystkich wątpliwości. Wielki mistrz jednak propozycję odrzucił, przypominając, że zakon jest podmiotem prawa międzynarodowego i nie może być w ten sposób kontrolowany. Zastrzeżenia prawne jednak nie przekonały kard. Parolina i samego Ojca Świętego. 22 grudnia wielki mistrz otrzymał list ze Stolicy Apostolskiej, z którego wynikało, że odwołane zostają wszystkie wcześniejsze sugestie papieża i że powołana zostanie specjalna, watykańska

eprasa.pl 2088586fa3

komisja, która zajmie się wyjaśnieniem sprawy. W pięcioosobowym składzie tejże zasiadali jednak niemal wyłącznie zwolennicy albo bliscy współpracownicy odwołanego wielkiego kanclerza. Bliskim znajomym von Boeselagera był zresztą także kard. Parolin, który… jeszcze przed wybuchem skandalu w zakonie maltańskim powołał rodzonego brata wielkiego kanclerza do rady nadzorczej Banku Watykańskiego.

Zakon – już na początku stycznia 2017 r. – odrzucił prawne podstawy do działania komisji watykańskiej. Nowy wielki kanclerz zaznaczył, że nie tylko opiera się ona na wątpliwych źródłach prawnych, lecz także – co nawet istotniejsze – narusza suwerenność zakonu maltańskiego. W związku z tym członkowie zakonu zostali wezwani do tego, by nie tylko nie kwestionowali decyzji wielkiego mistrza, lecz także nie współpracowali z komisją. Sama komisja podkreślała, że jej rolą jest rozwiązanie konfliktu, w który zaangażowane są także krajowe – włoskie, niemieckie czy chilijskie – struktury zakonu i dlatego ma ona pełne prawo do działania. Prawnicy zakonu, a także część kanonistów, odrzucali jednak tego rodzaju twierdzenia i podkreślali, że choć oczywiście papież ma prawo nadzorować także zakon maltański, to powinno się to dokonywać w oparciu o inne reguły prawne niż te, które zostały zastosowane.

OSOBISTA INTERWENCJA PAPIEŻA

Mimo wszystkich tych zastrzeżeń komisja nadal działała i pod koniec stycznia przedstawiła raport papieżowi. W reakcji na niego Franciszek zaprosił na spotkanie wielkiego mistrza Fra' Matthew Festinga. W jego trakcie Ojciec Święty miał zaproponować mu rezygnację. Zakonnik propozycję przyjął i podał się do dymisji. I choć część prawników kanonicznych sugeruje, że ten sposób rozwiązania konfliktu jest zastosowaniem psychicznej przemocy, a do tego złamaniem suwerenności zakonu, to ostatecznie zakon maltański rezygnację zaakceptował, a także uznał decyzję papieską, zgodnie z którą wszystkie decyzje byłego już wielkiego mistrza, podjęte od 6 grudnia 2016 r., są nieważne. Oznacza to, że von Boeselager powrócił na swoje stanowisko, a obecnie w istocie – do momentu wyboru nowego wielkiego mistrza – jest jego zarządzającym.

Kolejne decyzje dotyczące zakonu, w tym unieważnianie decyzji podjętych przez prawnie mianowane władze i mianowanie delegata apostolskiego, oznaczały w istocie złamanie zasady suwerenności zakonu maltańskiego (a warto mieć świadomość, że jest ona gwarantowana przez prawo międzynarodowe). A to może mieć drastyczne skutki nie tylko dla zakonu (ten przeżył już kilka ostrych sporów z papieżami, w tym ostatnio z Piusem XII), lecz także dla samej Stolicy Apostolskiej. Jeśli bowiem – na co zwracał uwagę prawnik kanoniczny dr Ed Condon na łamach „Catholic Herald" – w stosunkach międzynarodowych Watykan może lekceważyć normy prawa międzynarodowego i podpisane przez siebie umowy, to niby dlaczego np. Włochy, prowadząc dochodzenie w sprawie problemów bankowych Stolicy Apostolskiej, nie miałyby mieć prawa do naruszenia suwerenności tego państwa? To mocna opinia, ale warto sobie uświadomić, że – z punktu widzenia prawnego – wymuszenie przez głowę jednego państwa rezygnacji głowy drugiego państwa – jest naruszeniem fundamentalnych reguł. I wcale nie oznacza to, że papież nie ma prawa do ingerencji religijnej w życie zakonu maltańskiego. Ma, ale powinno się ono dokonać za pomocą zupełnie innych instrumentów prawnych. A tak się nie stało.

Nie brak sugestii, że w tle tego konfliktu leżała chęć przekształcenia zakonu w stowarzyszenie świeckie

KASA I GŁOWA KARD. BURKE'A

I aż trudno nie zadać pytania, po co angażować tak mocne armaty, po co naruszać prawo międzynarodowe tylko po to, by przywrócić na stanowisko jednego, niemieckiego barona? Najprostsza odpowiedź jest taka, że chodzi o pieniądze. Brat Albrechta Freiherra von Boeselagera jest, o czym już pisałem, członkiem zarządu IOR/Banku Watykańskiego. Jakby tego było mało, niemiecka część zakonu maltańskiego jest jedną z najbogatszych, a ma stosunkowo niewielkie wpływy, ponieważ… brak w niej powołań do życia w celibacie, a to właśnie rycerze składający trzy śluby mają największe wpływy i dostęp do władzy w zakonie. Można więc powiedzieć, że stanowisko wielkiego kanclerza i odwołanie z niego niemieckiego barona było dla nich istotnym elementem walki o wpływy. Nie brak też sugestii, że w tle tego personalnego konfliktu leżała także chęć swoistej laicyzacji zakonu, przekształcenia go w stowarzyszenie świeckie, co prezentować mają Niemcy. Oni sami zaprzeczają, ale… od czasu do czasu wprost sugerują stopniowe przenoszenie odpowiedzialności z celibatariuszy na kawalerów żonatych. Wiele wskazuje na to, że mamy tam do czynienia także z konfliktem między bardziej liberalną a bardziej konserwatywną grupą. I Watykan zdecydował się wesprzeć tę bardziej liberalną.

Sandro Magister, wpływowy watykanista, sugeruje zaś, że w istocie w całym sporze wcale nie chodziło o Fra' Matthew Festinga, lecz o kardynała patrona zakonu, czyli Raymonda Leo Burke'a. To jego głowa, usunięcie go z pełnionych przez niego funkcji, choćby za naruszenie reguł prawnych, ma być celem powołania nowej komisji, a także wcześniejszego usunięcia wielkiego mistrza. Watykańskie źródła twierdzą, że papież był bardzo niezadowolony z dubiów, których jednym z sygnatariuszy był właśnie kard. Burke. A jako że jest on jedynym nieemerytowanym hierarchą w gronie czterech kardynałów, to całe zamieszanie wokół maltańczyków mogło służyć właśnie osłabieniu lub nawet pozbawieniu funkcji właśnie jego. Nie jest to, rzecz jasna, proste, ponieważ – jak przyznają bliscy współpracownicy Franciszka – usunięcie kard. Burke'a dałoby środowiskom niechętnym Franciszkowi męczennika.

Niezależnie jednak od prawdziwych przyczyn wydarzeń wokół zakonu maltańskiego nie ulega wątpliwości, że cała afera ujawnia, iż w Watykanie niewiele się zmieniło, a jeśli – to na gorsze. Nadal o wielu rzeczach decyduje klika kardynalska, która kieruje się w wielu kwestiach raczej interesem finansowym niż prawdą. A jakby tego było mało, od jakiegoś czasu, w związku z papieskim lekceważeniem czy wręcz niechęcią do prawa prezentowaną przez papieża Franciszka, klika ta nie musi się nawet szczególnie przejmować prawem czy zasadami suwerenności. I to jest naprawdę groźne, nawet jeśli zajęty duszpasterstwem i ewangelizacją papież tego nie dostrzega.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2088586fa3

Wieczorny spacer po Ogrodach Łazienek Królewskich

Zimowy Wieczór Światła

18 lutego 2017

godzina 19

START

ul. Agrykola

ul. Gagarina

Al. Ujazdowskie

Trasy zbiegają się przy Pałacu na Wyspie gdzie odbędzie się finał wieczoru

Mecenasi Muzeum Łazienki Królewskie

PZU

KGHM POLSKA MIEDŹ S.A.

中国五矿 CHINA MINMETALS

Partner Muzeum

Herbapol

Patroni Medialni

cojestgrane24

DZIECKO W WARSZAWIE

POLSKIE RADIO RDC Radio dla Ciebie

eprasa.pl 2088586fa3

Tomasz Kwaśnicki

PiS przestawia wajchę

Zwrot w retoryce dotyczącej Ukrainy ma posłużyć rządowi jedynie jako wewnętrzne narzędzie. Jednak i tak przyniesie korzyści

Dlaczego Prawo i Sprawiedliwość nagle dostrzegło odradzający się na Ukrainie banderyzm?

FOT. SERGEI REZNIK\TASS\GETTY IMAGES

Od niepamiętnych czasów opowieść snuta przez media i polityków głównego nurtu (bez względu na polityczne sympatie i partyjne afiliacje) sprowadzała się do otwartego bagatelizowania lub wręcz negowania odradzającego się za wschodnią granicą banderyzmu. W najlepszym wypadku dawano do zrozumienia, że należy udawać, że się nie odradza, lub wręcz cieszyć się z tego, bo to cementuje młody ukraiński naród, dając mu siłę, energię i wigor tak potrzebne zwłaszcza teraz, gdy w pojedynkę broni on łacińskiej cywilizacji przed azjatyckim najeźdźcą.

„W takich okolicznościach nie można odmawiać Ukrainie prawa do odwoływania się do przykładów patriotycznych postaw ze stosunkowo krótkiej historii tego kraju" – informuje w oficjalnym dokumencie podsekretarz stanu w MSZ Katarzyna Kacperczyk. „Ja aż tak nie dostrzegam gloryfikowania banderyzmu na dzisiejszej Ukrainie. Raptem kilka procent osób w ogóle wie, co to był banderyzm" – uspokaja szef MSZ Witold Waszczykowski. „Nie istnieje nic takiego jak banderowska Ukraina. Jest to wytwór propagandy rosyjskiej. […] To wszystko absurd" – wyrokuje członek gabinetu politycznego MSZ, Przemysław Żurawski vel Grajewski.

Nic dziwnego zatem, że w tych okolicznościach ambasadorem na Ukrainie został Jan Piekło – człowiek, dla którego „działalność księdza Zaleskiego jest na rękę rosyjskiej propagandzie", gdyż kapłan ów „szkodzi stosunkom polsko-ukraińskim, a przez to samej Polsce […]. Epatuje rzezią wołyńską i żąda jej rozliczenia, zapominając, że Ukraińcy mają teraz ważniejsze sprawy na głowie niż ciągłe przepraszanie księdza Zaleskiego za zbrodnie UPA […]. Nie widzę nic złego w tym, że Ukraina chce uczcić ludzi, którzy walczyli z komunistycznym reżimem. Zdarzył się wtedy epizod bratobójczej walki między Ukraińcami a Polakami, doszło do zbrodni wołyńskiej, ale to tylko część historii UPA, która ma

eprasa.pl 2088586fa3

również inne karty, których nie chcemy zauważyć".

INCYDENT I ZMIANA

W tym kontekście felieton wyemitowany w niedzielę 29 stycznia w głównym wydaniu „Wiadomości" TVP stanowi dokładnie odwrotny przekaz. „Na Ukrainie kult Bandery kwitnie" – rozpoczął poważnym tonem reporter. „Część ukraińskiej elity, mimo ostrych sprzeciwów Polski, nazywa zbrodniarzy z UPA, odpowiedzialnych za ludobójstwo na Wołyniu, bohaterami".

Wyemitowano też fragment wypowiedzi Jarosława Kaczyńskiego, który oświadczył: „Prezydent Ukrainy nie może mieć wątpliwości, że Polska na taką sytuację, w której oprawcy, masowi mordercy, ludobójcy są na Ukrainie bohaterami, się nie zgadza".

Należy tu zaznaczyć, że wypowiedź prezesa PiS stanowi zwieńczenie całego ciągu tajemniczych zdarzeń, których świadkami byliśmy ostatnio w relacjach polsko-ukraińskich. Łańcuch ten rozpoczął się od wysadzenia przez nieznanych sprawców pomnika ofiar SS-Galizien w Hucie Pieniackiej. Potem doszło do incydentu z niewpuszczeniem na terytorium Ukrainy prezydenta Przemyśla. Kolejnym wydarzeniem było sprofanowanie przez nieznanych sprawców pomnika polskich ofiar NKWD w Bykowni, ostatnim z rzędu tajemniczych wypadków była faktyczna kapitulacja strony ukraińskiej i odwołanie zakazu wjazdu dla polskiego samorządowca przez ukraińską SBU.

Co takiego się stało, że PiS tak nietypowo zareagował na incydent, do którego doszło na przejściu granicznym w Medyce? Co takiego miało miejsce, że Kaczyński wygrażał Ukraińcom w polskiej TV nawet po tym, gdy ci pokornie zastosowali się do polskich żądań?

Być może jakiś snop światła na tę tajemniczą sytuację rzuci inna wypowiedź prezesa PiS. Kilka dni przed wypowiedzią prezentowaną w „Wydarzeniach" Jarosław Kaczyński gościł w Radiu Katowice. Komentując wybór Donalda Trumpa na prezydenta Stanów Zjednoczonych, wyraził swoją radość z tego, iż „jest w najwyższym stopniu prawdopodobne, że ustaną te niebywałe po prostu ingerencje w wewnętrzne sprawy polskie, które miały miejsce, których sam, można powiedzieć, byłem w jakiejś mierze i świadkiem, i – może to jest złe słowo, ale go użyję – ofiarą, bo na mnie naciskano tutaj bardzo i to w sprawach, które nie powinny rządu amerykańskiego w najmniejszym stopniu interesować".

Co kryje się za enigmatycznym sformułowaniem szefa partii rządzącej, trudno odgadnąć do końca. Nie jest jednak tajemnicą, że doniesienia o aroganckich naciskach amerykańskiej administracji na polskie władze pojawiały się w mediach wielokrotnie.

O jednej z takich sytuacji informował w lipcu portal Kresy.pl. Ambasador USA Paul Jones miał naciskać na prezydenckiego ministra Krzysztofa Szczerskiego, by Polska odstąpiła od zamiaru oficjalnego uznania zbrodni ukraińskich nacjonalistów na Polakach za ludobójstwo. A gdyby miało jednak do tego dojść, dyplomata domagał się, by sprawa ta nie znalazła rozstrzygnięcia przed szczytem NATO w Warszawie. Zarówno amerykańska ambasada, jak i minister Szczerski odmówili wówczas komentarza w tej sprawie. O podobne naciski pytał 20 lipca z trybuny sejmowej poseł Kukiz'15, Paweł Szramka.

Jeśli istotnie naciskano wówczas na polskie władze, to czyniono to skutecznie, gdyż parlament zignorował rocznicę apogeum ludobójstwa, przypadającą 11 lipca, a uchwałę (a nie ustawę, jak pierwotnie planowano) przyjęto dopiero 22 lipca pod presją opinii społecznej i po masowych protestach zorganizowanych pod Sejmem przez środowiska kresowe oraz część opozycji. Wśród nielicznych w PiS zwolenników upamiętnienia ludobójstwa panowało wówczas przekonanie, że bez nacisku kukizowców, Ruchu Narodowego i organizacji kresowych władze ich własnej partii są skłonne całkowicie zignorować temat jako politycznie nieistotny.

WYMUSZONE W USA?

Wydaje się zatem, że nagła zmiana narracji ma bezpośredni związek z wymianą ekipy rządzącej za oceanem. 26 stycznia media obiegła informacja mówiąca, że na biurku Donalda Trumpa znajduje się już czekający na prezydencki podpis dekret o zniesieniu sankcji na Rosję. Jeśli do tego dojdzie, to będzie to oczywiście równoznaczne z poświęceniem na ołtarzu rosyjsko-amerykańskich relacji interesów Kijowa i Warszawy. Zostanie zatem zrealizowany scenariusz, przed którym ostrzegano PiS od czasów kampanii parlamentarnej z 2015 r. – nasze ślepe oddanie amerykańskim interesom (czy to w kraju, czy to na Ukrainie) zostanie przez Amerykanów zmonetaryzowane w ramach nowego otwarcia na linii Moskwa – Waszyngton.

Byłoby jednak wyrazem przedwczesnej radości sądzić, że obecna sytuacja podziała na rządzących otrzeźwiająco. Nawet gdyby Jarosław Kaczyński uznał, że ideowa konstrukcja, której całe życie służył jego śp. brat, była całkowicie błędna, to i tak dwór, którym się otoczył – „giedroyciowska inteligencja" stanowiąca rzeczywistą podporę prezesowskiego tronu, obsadzająca najwyższe urzędy w państwie i w mediach – z powodów czysto ideologicznych pozostanie niezdolna do przeorientowania polityki względem Ukrainy z jednostronnie charytatywnej na bardziej merkantylną.

23 stycznia w Warszawie zebrało się grono najznamienitszych osobistości ze świata władzy, mediów i nauki, znanych skądinąd z gorliwego zaangażowania w politykę bezwarunkowego wspierania państwa ukraińskiego. Obecni byli zarówno szef MSZ Witold Waszczykowski, jak i prezydencki minister Krzysztof Szczerski, nie zabrakło Jana Piekły, Przemysława Żurawskiego vel Grajewskiego i wielu innych zadeklarowanych stronników ukraińskiego interesu. Powodem tego zgromadzenia była uroczysta inauguracja Polsko-Ukraińskiego Forum Partnerstwa. Przemawiając do zebranych gości z Polski i Ukrainy Jan Malicki – szef Studium Europy Wschodniej – szczerze i bez ogródek oświadczył, że wszyscy członkowie Forum są „miłośnikami Ukrainy". Symetryczna deklaracja ze strony ukraińskiej nie padła i bardzo wątpliwe, by ktokolwiek ze zgromadzonych jej oczekiwał.

Innymi słowy, obecna zmiana retoryki wydaje się być działaniem obliczonym przede wszystkim na użytek wewnętrzny. Wobec zbliżającego się wielkimi krokami jawnego bankructwa planów polskiego MSZ, PiS bardzo roztropnie rozpoczął medialną kampanię osłonową, usiłując przekonać opinię publiczną, że nigdy nie uprawiał polityki bezmyślnie proukraińskiej, ale że od zawsze stał na straży pamięci o Kresach, nigdy nie grał Wołyniem, niczego nie „poświęcał na ołtarzach dobrosąsiedzkich relacji". Postępowanie partii rządzącej jest bez wątpienia równie karygodne, co groteskowe. Niemniej jednak ta pożałowania godna hipokryzja na dłuższą metę o niebo lepiej przysłuży się naszym narodowym interesom niż podszyty narodową apostazją dekadencki nihilizm uczestników Polsko-Ukraińskiego Forum Partnerstwa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem portalu Kresy.pl.

eprasa.pl 2088586fa3

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Męskość w zaniku

Jak to bywa o tej porze roku, wszyscy się pochorowaliśmy. Najpierw dzieciak, potem ja, mama na końcu. Oczywiście to ja jednak najbardziej cierpiałem.

Bardzo mnie wkurzają żarty z chorujących mężczyzn. Że niby zabija nas zwyczajny katar, a grypa powoduje, że jęczymy niczym zarzynane prosięta. Dlatego kiedy dopadła nas infekcja, uznałem, że to idealny moment, żeby udowodnić coś żonie, kobietom i całemu światu.

Niestety, nie do końca mi się to udało. Kiedy temperatura wzrosła u mnie do 38,5 st. C, padłem. Po prostu padłem. Leżałem w łóżku, dygotałem i wydawałem z siebie dźwięki, z których niezbyt jestem dumny. Brzmiało to mniej więcej tak: „Yyyyy…". Naprawdę dawałem z siebie wszystko, ale wszystko w moim przypadku to było zdecydowanie za mało.

Kiedy dwa dni później grypa dopadła także moją żonę, ja – no cóż – byłem jeszcze zbyt wycieńczony, żeby się nią zająć. Ledwo chodziłem. Nasze dziecko też jeszcze walczyło z wirusem, więc matka – tak jak wszystkie matki na całym świecie – miała najgorzej. Najpierw ona się nami opiekowała, a kiedy sama znalazła się w potrzebie, nie miał kto jej pomóc.

Ona tej pomocy niespecjalnie jednak potrzebowała. Też miała powyżej 38 st. C, ale łyknęła lek przeciwbólowy, oporządziła nas, cierpiących mężczyzn, a potem poszła do pracy. Wróciła wieczorem z zakupami, zrobiła nam kolację, uśpiła dzieciaka, ponabijała się ze mnie, żem mięczak, i dopiero wtedy poszła chorować. Następnego dnia historia się powtórzyła. Nie mogłem już słuchać tych kpin, więc bohatersko poszedłem kupić trochę jedzenia. Był to błąd, bo gorączka znowu mi wzrosła i znowu zacząłem wydawać z siebie rzężące dźwięki, choć męski honor nakazywał mi godnie milczeć. Jęczałem zatem, a żona przyglądała mi się z politowaniem. To było straszne.

Przemiany cywilizacyjne to coś, co rozmontowuje resztki męskości, a biologia sprzyja kobietom. One co miesiąc przeżywają okres, który czyni je odpornymi na ból w sposób niewyobrażalny dla faceta. W dodatku rodzą czasem dzieci, a poród hartuje je niczym stal w piecach martenowskich. Tymczasem facet nie ma już gdzie zmierzyć się z fizycznym cierpieniem. Kiedyś byliśmy konkwistadorami, marynarzami albo żołnierzami. Dzisiaj nie ma już nawet obowiązkowej służby wojskowej, która dałaby nam trochę w tyłek, czyniąc odrobinę bardziej krzepkimi. Nic więc dziwnego, że z pokolenia na pokolenie miękniemy coraz bardziej. Największy ból, jaki musimy znosić, to golenie, a i tak niektórzy faceci uciekają przed nim w brody. Nie ma dla nas ratunku. Nie ma przyszłości. Ona należy do kobiet. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Urządzenie o nazwie „Bolek"

Na naszych oczach skończył się ostatecznie mit Lech Wałęsy jako przywódcy narodu.

Ustawiany ongiś w jednym szeregu z papieżem czy Piłsudskim, kończy jako drobny krętacz. Kłamca, dobity nie przez jakiś Trybunał Narodowy, a przez biegłego grafologa. Oczywiście pozostanie po nim jakaś tragikomiczna legenda (od zera do bohatera i z powrotem), ale chyba nie na to liczył.

Nie oznacza, że całkowicie zniknie z kart historii. O nie! Pozostanie jako niesłychanie ważne urządzenie, nazwijmy je roboczo „Bolkiem", które parokrotnie odegrało w naszych dziejach najnowszych rolę ogromną. Tyle że nie jako demiurg, wizjoner, prawodawca, a urządzenie właśnie.

Wałęsa miał jeszcze wybór. Mógł stanąć w prawdzie, wyznać stare grzechy. I naród by mu wybaczył

Trudno przecenić jego wagę, kiedy jako przewodniczący stał się narzędziem 10-milionowego związku Solidarność. I nieważne, czy był wtedy podstawiony, czy sam się wybił. Bez niego „karnawał wolności" przebiegłby zupełnie inaczej, a może skończyłby się, zanimby się zaczął.

Po raz kolejny u schyłku lat 80. stał się w rękach „lewicy laickiej" maszynką do przejęcia władzy, czego etapami były wybory kontraktowe, „Gazeta Wyborcza" dla Michnika czy wreszcie rząd Mazowieckiego.

Już wtedy zresztą obsługa zaczęła się zmieniać. Dotychczasowi użytkownicy uznali, że osiągnęli wszystko, i próbowali oddać urządzenie na złom. Każdy, kto znał Wałęsę, powinien być świadom ogromu ryzyka.

Przewodniczący znalazł inną obsługę (Kaczyńscy), dzięki niej wygrał wybory prezydenckie i mimowolnie umożliwił powstanie pluralizmu w Polsce.

Później, niestety, przeszedł na bieg jałowy. Uwierzył, że może obsługiwać się sam, ograniczając liczbę serwisantów do Mietka Wachowskiego i jego przyjaciół.

Skądinąd do tego momentu miał jeszcze wybór. Mógł stanąć w prawdzie, wyznać stare grzechy. I naród by mu wybaczył. Wszak kochamy Wallenrodów, Babiniczów, a naszą religię stworzyli ci, którzy wcześniej zaparli się Chrystusa (św. Piotr) czy nawet czynnie zwalczali chrześcijaństwo, tak jak Szaweł (inna sprawa, że mieli szczęście, ponieważ wśród ojców Kościoła nie znalazł się nikt w rodzaju Cenckiewicza).

W przypadku urządzenia „Bolek" pytanie o powód braku ekspiacji pozostaje otwarte i pewnie się nie dowiemy, czy przesadziła osobista pycha, czy po prostu nie pozwolili serwisanci? ©℗

eprasa.pl 2088586fa3

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

dorzeczy.pl

W NOWEJ ODSŁONIE!

INFORMACJE | OPINIE | RELACJE | EMOCJE

PUBLICYSTYKA NAJWYŻSZEJ PRÓBY.

TERAZ BLIŻEJ CIEBIE. WEJDŹ ▶

PARTNERZY SERWISU dorzeczy.pl: PZU PWPW REDUTA PWPW

eprasa.pl 2088586fa3

Piotr Semka

Mit Golema w żydowskiej tradycji jest wyrazem dumy z wiedzy, a także ostrzeżeniem przed stawianiem się w roli Boga. Niezwykłej legendzie poświęcono wystawę w Muzeum Żydowskim w Berlinie

Golem wiecznie

Legenda o glinianym stworze, który obdarzony życiem dzięki magicznym formułom najpierw pomaga i służy swemu stwórcy, a potem buntuje się i staje się niekontrolowaną, niszczącą siłą, liczy sobie już wiele setek lat. Opowieść o Golemie najpierw była echem poszukiwań z traktatów żydowskich mistyków, a potem objawiła się w legendach Żydów z Chełma i z praskiego getta. Z czasem trafiła do wyobraźni zbiorowej całego świata.

Twórcy wystawy „Golem" w Muzeum Żydowskim w Berlinie postawili sobie za cel opisanie genezy mitu i przypomnienie jego najciekawszych wersji. Dzisiaj, gdy człowiek staje wobec możliwości tworzenia sztucznej inteligencji i robotów do złudzenia przypominających ludzi, ostrzeżenie, jakie niesie ze sobą mit o „kolosie na glinianych nogach", staje się aktualne jak nigdy dotąd.

PRZECIW TWÓRCY

Dwa duże zdjęcia – Golema z niemieckiego filmu grozy z 1920 r. i golema-robota bojowego z jednego ze współczesnych filmów science fiction – otwierały berlińską wystawę. W obu przypadkach chodzi o twory ludzkiej woli mające naśladować człowieka, ale pozbawione ludzkich uczuć. Brak zdolności rozróżniania dobra od zła ma wzmacniać ich posłuszeństwo, ale jednocześnie zwiększa ryzyko bezmyślnej destrukcji. To janusowe oblicze sztucznych tworów powtarza się we wszystkich wersjach mitu.

Kim jest Golem? To pytanie postawili twórcy wystawy na samym jej początku. „Nie jest to ani człowiek, ani zwierzę, ani maszyna. Golem jest stworzony z materii nieożywionej i obdarzony życiem w wyniku magii".

Hebrajskie słowo „golem" pojawia się w Biblii w opisie stworzenia z gliny przez Boga Adama i oznacza bezkształtną masę, z której dopiero powstał pierwszy człowiek. Od pradawnych czasów w traktatach żydowskich mistyków i kabalistów pojawiały się rozważania, czy możliwe jest powtórzenie przez człowieka boskiego aktu kreacji i stworzenie Golema jako sposobu zbliżenia się do Boga. Mistycy żydowscy wierzyli, że sprawiedliwy mąż teoretycznie zdolny jest do tchnięcia życia na wzór Boga, ale jego zdolności kreacji są ograniczone przez wrodzoną grzeszność. Stąd płynęło zalecenie, aby zbliżyć się jak najbardziej do doskonałości duchowej. Kabaliści szukali specjalnej kombinacji liter i słów z alfabetu żydowskiego, które miały być zaklęciem wyzwalającym życie w materii nieożywionej. Sama procedura poszukiwania takich zaklęć była dla nich bardziej interesująca niż praktyczne korzyści z kreacji Golema.

Na wystawie specjalną salę poświęcono traktatowi Sefer Yetzirah (Księga Stworzenia) mającemu pragenezę w II w. n.e., w którym znalazła się tajemnicza, acz nie do końca jasna instrukcja stworzenia Golema. Komentarze do Księgi przypisywane są Saadji ben Josefowi (882–942) – rabinowi, filozofowi i komentatorowi ksiąg żydowskiej wiedzy. Na wystawie przedstawiono kopie stron manuskryptu dzieła z XIV-wiecznej Hiszpanii, który znajduje się dziś

eprasa.pl 2088586fa3

Berlińską wystawę otwierały zdjęcia Golema z niemieckiego filmu grozy z 1920 r. i golema-robota bojowego z jednego ze współczesnych filmów science fiction FOT. ARCHIWUM AUTORA

żywy

w zbiorach Żydowskiego Seminarium Teologicznego w Nowym Jorku. Kolejnym pisarzem zajmującym się tworzeniem golemów był Eleazar z Wormacji (ok. 1165–1230), słynny żydowski kabalista średniowieczny. „Kto studiuje Sefer Yetzirah, musi być oczyszczony i odziany w białe szaty. Zabronione jest studiowanie tej księgi w pojedynkę. Można to czynić tylko w grupie dwóch czy trzech uczonych, prawych mężów".

MIĘDZY MISTYCYZMEM A KABAŁĄ

Tajemniczość traktatów i ich wieloznaczność ożywiały zbiorową wyobraźnię Żydów – podobnie jak wśród chrześcijan krążyły opowieści o alchemikach hodujących w retortach homunculusa, czyli sztucznego człowieka.

W przypadku Żydów te opowieści stworzyły ludowe legendy, w których głoszono, że mędrcom udało się stworzyć golemy, które stawały się obrońcami wspólnot w gettach przed prześladowaniami wrogów dzieci Izraela. Jednak podania przypisujące golemom zasługi w obronie przed opresją zawsze kończyły się ostrzeżeniem, że próba naśladowania Boga kończy się nieszczęściem. Pozbawiony duszy, mechaniczny sługa z czasem wpadał w amok i stawał się groźny dla swego kreatora.

Dwie najbardziej znane legendy żydowskie o stworze z gliny to opowieść o Golemie z lubelskiego Chełma i znacznie bardziej znana w świecie legenda o Golemie praskim. Berlińska wystawa o Golemie z Chełma wspomniała pobieżnie, za to legendzie z Pragi poświęciła całą osobną salę. Gliniany stwór znad Wełtawy miał być kreacją autentycznej postaci historycznej – rabina Jehudy Löwa ben Becalela zwanego Maharalem (ok. 1520–1609). Ten urodzony w Poznaniu przywódca gminy żydowskiej w stolicy Czech zasłynął ze znajomości najbardziej tajemnych ksiąg żydowskich w okresie, gdy cesarz Rudolf II Habsburg uczynił z Hradczan centrum władzy swego imperium. Rabinowi Löwowi przypisywana była znajomość z samym cesarzem oraz jego tajemniczym astronomem i astrologiem Tycho Brahem. Löw miał stworzyć Golema do obrony przed planowanym w otoczeniu cesarza wygnaniem Żydów z Pragi. Po udanej obronie getta gliniany stwór miał wyrwać się spod władzy rabina i być w końcu przez niego zniszczony. Pokruszone resztki Golema według legendy miały być przechowywane na strychu synagogi w centrum praskiego getta. Rozmaite wersje legendy, które przez pierwsze dwa stulecia po śmierci Löwa żyły w przekazie ustnym, mają parę stałych motywów. Pierwszy to powołanie kolosa do życia

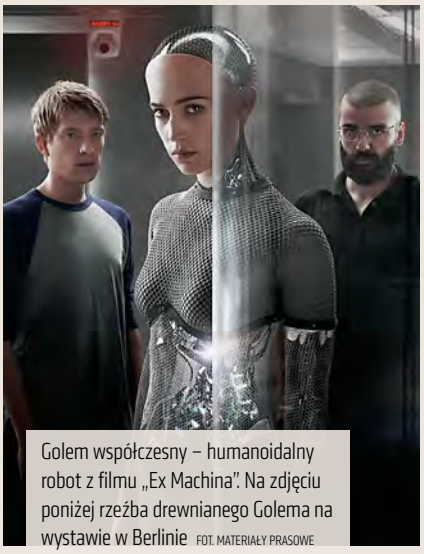

Golem współczesny – humanoidalny robot z filmu „Ex Machina". Na zdjęciu poniżej rzeźba drewnianego Golema na wystawie w Berlinie FOT. MATERIAŁY PRASOWE

przez rabina Löwa przez wypisanie w glinie słowa „emet" (prawda). Wymazanie pierwszej litery sprawiało, że napis stawał się słowem „met" (śmierć). Wtedy stwór tracił moc, waląc się na ziemię jak wielka kłoda. Innym stałym elementem legendy o Golemie jest rosnący mętlik w głowie glinianego pomocnika, który zaczyna zadawać sobie chaotyczne pytania, kim właściwie jest. I wreszcie morał o tym, jak tworząc sztuczne życie, można uratować wspólnotę, jednocześnie wyzwalając groźną siłę.

Mit zrobił oszałamiającą karierę – przypuszcza się, że znał go Denis Diderot, pisząc o „kolosie na glinianych nogach".

Pierwszy zapis legendy pojawił się w druku stosunkowo późno, bo w 1847 r., gdy żydowski wydawca Wolf Pacheles na fali romantycznej fascynacji tym, co tajemnicze, zamieścił mit o Golemie w zbiorze praskich legend żydowskich. Po nim mroczna legenda zainspirowała już całą plejadę niemieckojęzycznych pisarzy, takich jak Georg Leopold Weisel, Salomon Kohn, Michael Klapp i Paul Leppin. Próbę czasu najlepiej zniosła

eprasa.pl 2088586fa3

egzystencjalistyczna powieść pisarza Gustava Meyrinka z dobrze oddaną tajemniczą atmosferą zaułków praskiego getta.

Gdy pojawił się film, legenda o glinianym stworze zainspirowała reżyserów Paula Wegenera i Carla Boesego do nakręcenia trylogii o Golemie, która należała do pierwszych niemieckich horrorów. Film Wegenera i Boesego zyskał wiele na ekspresjonistycznej scenografii architekta Hansa Poelziga, którego postać przypomina w swym ostatnim wrocławskim kryminale Marek Krajewski.

Po Żydach i Niemcach do legendy o Golemie dość późno zabrali się Czesi, filmując ją w latach 1936 i 1951. Praski mit zainspirował Isaaca Bashevisa Singera, który w 1969 r. napisał własną wersję legendy. I wreszcie najnowsza grupa legend – bajkowe komiksy o Golemie przywoływanym jako obrońca Żydów przeciw Niemcom w czasie Holokaustu, takie jak „Oddech kości" Dave'a Wachtera, Steve'a Nilesa i Matta Santoro.

Kadr z filmu „Golem" Paula Wegenera i Carla Boesego z 1920 r. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

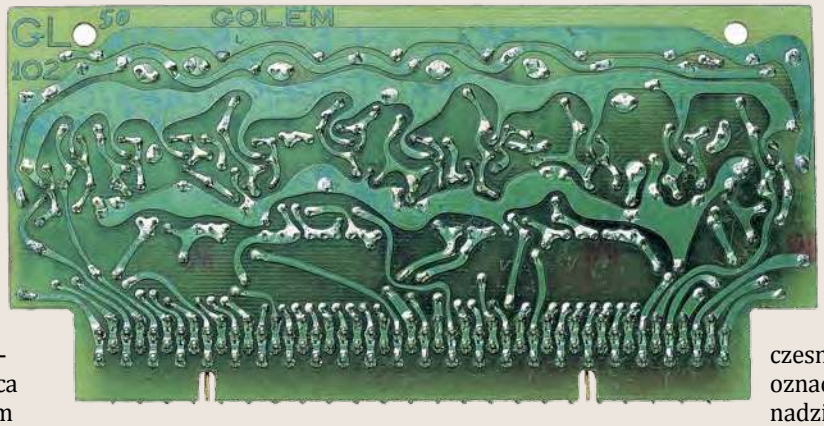

Układ scalony z 1965 r. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

AKTUALNE OSTRZEŻENIE

Mit Golema w żydowskiej tradycji jest dość dwuznaczny. Jest wyrazem dumy z siły żydowskiej wiedzy, ale i ostrzeżeniem przed wchodzeniem w rolę Boga.

Ten pierwszy sens mitu odzwierciedla to, że pierwszy izraelski mózg elektronowy stworzony przez zespół prof. Shmuela Ruchmana w 1965 r. otrzymał właśnie nazwę „Golem Aleph". „W gruncie rzeczy Golem jest niczym innym jak repliką Adama, pierwszego człowieka na ziemi" – mówił w dniu uruchomienia maszyny Gershom Scholem z Izraelskiego Instytutu Naukowego Weizmanna. „Bez wetchnięcia w pierwszego człowieka Bożej iskry Adam nie byłby niczym innym jak golemem. Dopiero siła Boga uczyniła z niego kogoś na wzór Boga". W myśl tej logiki człowiek konstruujący ten pierwszy prakomputer wciela w życie geniusz, którego nie posiadłby bez łaski Boga.

Ta świadomość każe pamiętać, że wszelka człowiecza pycha w kreacji naukowej skończy się tak samo źle jak los baśniowego Golema. A sam Golem to echo złych cech natury ludzkiej. To dlatego artysta Michael David nazwał tak wielką rzeźbę w kształcie swastyki z surowego żeliwa, która znalazła się na wystawie wśród wielu dzieł sztuki inspirowanych legendą. W tym drugim znaczeniu Golem to dla Żydów symbol wszystkiego, co najbardziej potworne i niepokojące w duszy ludzi.

Golem to także popularny motyw w grach takich jak np. „Minecraft", w książkowych horrorach Edwarda Lee i w filmach science fiction.

Analogie między próbami stworzenia sztucznej inteligencji a legendą o Golemie to temat przewodni sali z fragmentami licznych filmów, z niedawnym świetnym dramatem „Ex Machina" z 2015 r. w reżyserii Alexa Garlanda. Niepokojącą swoją realnością opowieścią o robocie w kształcie pięknej kobiety, która nauczyła się manipulować uczuciami ludzi dla osiągnięcia swoich celów.

Twórcy wystawy wskazują: „We współczesnym świecie mit Golema oznacza ambiwalencje między nadzieją, sceptycyzmem i wreszcie obawą ludzi przed utratą kontroli nad stechnicyzowanym światem".

Czym innym niż Golemem była pierwsza sklonowana owieczka Dolly? Nic dziwnego, że na wystawie zacytowano publicystę magazynu „Time" – Williama J.T. Mitchella, który wskazuje: „Klonowanie dla wielu ludzi reprezentuje groźbę destrukcji naturalnego ładu i przywodzi niezliczone legendy o zagrożeniach wynikłych z tworzenia sztucznego życia jako złamania fundamentalnego tabu. Od legendy o Golemie poprzez mit Frankensteina do motywu cyborgów z filmów science fiction – sztuczne formy życia budzą głęboki niepokój jako monstrualne naruszenie prawa naturalnego".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2088586fa3

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Moraczewski o wojnie

Rząd Jędrzeja Moraczewskiego oszpecił to dziecko w kolebce, jakim była II Rzeczpospolita" – pisał Stanisław Cat-Mackiewicz. I bez wątpienia miał rację. Był to bowiem rząd skrajnie lewicowy, ścigający się w radykalizmie z bolszewikami.

Czerwony sztandar na Zamku Królewskim, Orzeł Biały bez korony, milicja zamiast Wojska Polskiego, grabież własności „obszarników". To tylko niektóre z pomysłów Moraczewskiego. Całe szczęście większości z nich premier nie zdążył zrealizować. W 1919 r. polski „czerwony" rząd podał się do dymisji. A Moraczewski ustąpił miejsca Ignacemu Paderewskiemu.

Moja ocena gabinetu Jędrzeja Moraczewskiego jest więc bardzo krytyczna. Jednak jego wojenne dzienniki czytałem z zainteresowaniem. Jest to bowiem spojrzenie na II wojnę światową oczami politycznego „emeryta", człowieka z nieco innej epoki.

A mimo to Moraczewski kluczowe dla Polski wydarzenia i sytuację, w której znalazł się nasz kraj, oceniał przytomniej niż nasi ówcześni przywódcy. Był wolny od samooszukiwania się i iluzji, jakimi żyli tacy „mężowie stanu" jak Władysław Sikorski czy Stanisław Mikołajczyk. Weźmy choćby wpis z 14 stycznia 1942 r.:

„Brytyjski minister spraw zagranicznych Eden wrócił z Moskwy do Londynu po uzgodnieniu z rządem sowieckim wszystkich spraw wojskowych i politycznych. Zaniepokoiło mnie bardzo to uzgodnienie »wszystkich spraw politycznych«, a więc chyba i polsko-rosyjskich. Prawdopodobnie stało się to kosztem naszych granic wschodnich. Błąd Sikorskiego, jego uległość każdej obcej sile (w tym przypadku angielskiej) mści się na nas i jeszcze ciężko go odczujemy".

Święte słowa!

Ostatni wpis w dzienniku pochodzi z 1 sierpnia 1944 r. Mieszkający w Sulejówku Moraczewski pisze w nim, że słyszy już groźny huk dział nadciągającej ze wschodu Armii Czerwonej. 5 sierpnia 1944 r. były premier już nie żył. Trafił go w krtań odłamek sowieckiego pocisku artyleryjskiego… ©℗

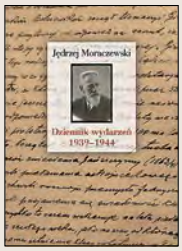

★★★★★★

JĘDRZEJ MORACZEWSKI
„DZIENNIK WYDARZEŃ 1939–1944"
LTW

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Pierwszy sybaryta PRL

Elita władzy PRL nigdy nie cieszyła się popularnością w społeczeństwie, chociaż był pewien wyjątek. Józef Cyrankiewicz uniknął kary nawet za słynną wypowiedź o „odrąbywaniu ręki podniesionej na partię". Inna sprawa, że premier był inteligentnym człowiekiem i potrafił dać sobie radę w różnych sytuacjach.

Społeczeństwo darzyło premiera Cyrankiewicza względną sympatią

„[…] w Poznaniu mi opowiadali – pisał Stefan Kisielewski – że on pojechał kiedyś do tego samego Cegielskiego, gdzie właśnie o tej ręce mówił. I tam się szykowali na niego: »my tego tutaj drania splantujemy«. A on od tego zaczął: »Ja tu na pewno zostawiłem złe wspomnienie. Powiedziałem o tym obcinaniu ręki. No, ale wiecie przecież, jakie to były czasy. Wiecie, gdzie żyjemy«. I tu pokazał ręką na wschód. I wtedy ogromne oklaski: »morowy chłop«, »swój człowiek«".

Premierem rządu został z woli Kremla 6 lutego 1947 r. Już wówczas opowiadano o jego wystawnym życiu, a szczególnie o upodobaniu do pięknych kobiet. W odróżnieniu też od Władysława Gomułki, któremu na eleganckim raucie zdarzało się umyć ręce w wazie z ponczem lub wypić wodę podaną do obmycia rąk, Cyrankiewicz potrafił reprezentować kraj za granicą. Gdy w 1960 r. wraz ze swoją drugą żoną, Niną Andrycz, miał odwiedzić Indie, o przygotowaniach rozpisywała się prasa, informując, że kreacje dla pani premierowej szyte są przez najlepszych paryskich krawców. Wzbudziło to oburzenie społeczeństwa egzystującego w skromnych warunkach. Na spotkaniach w zakładach pracy ostro atakowano rozrzutność, a do historii przeszła riposta Władysława Bieńkowskiego (byłego ministra i posła), który uspokoił robotników stwierdzeniem, że paryskie toalety pani Niny były tańszym wyjściem z sytuacji. Albowiem „gdyby Cyrankiewicz pojechał sam, to kosztowałoby nie mniej, bo kontakty z paniami na świecie drogo kosztują".

Premier był sybarytą i nawet przemawiając w Sejmie, popijał tonik Schweppes, co w czasach PRL było wyrafinowanym luksusem. A kiedy podczas jednego z zamkniętych przyjęć w ośrodku rządowym w Łańsku zameldowano mu, że niebawem pojawi się Gomułka, zareagował natychmiast. Ze stołów zniknęły kawior, łosoś i francuski koniak, a pojawiły się kaszanka, ser i kawa zbożowa.

Społeczeństwo darzyło jednak premiera względną sympatią, co trafnie podsumował Kisielewski: „Ta postać ma swoje podłoże cyniczne, bo polityk tego rodzaju musi być cynikiem. Ale stara się jakoś wypłynąć tak, żeby Polacy go lubili. Nie powiem – kochali – ale żeby go nie powiesili, jak dojdzie co do czego". ©℗

eprasa.pl 2088586fa3

Ostatnia szansa imperium

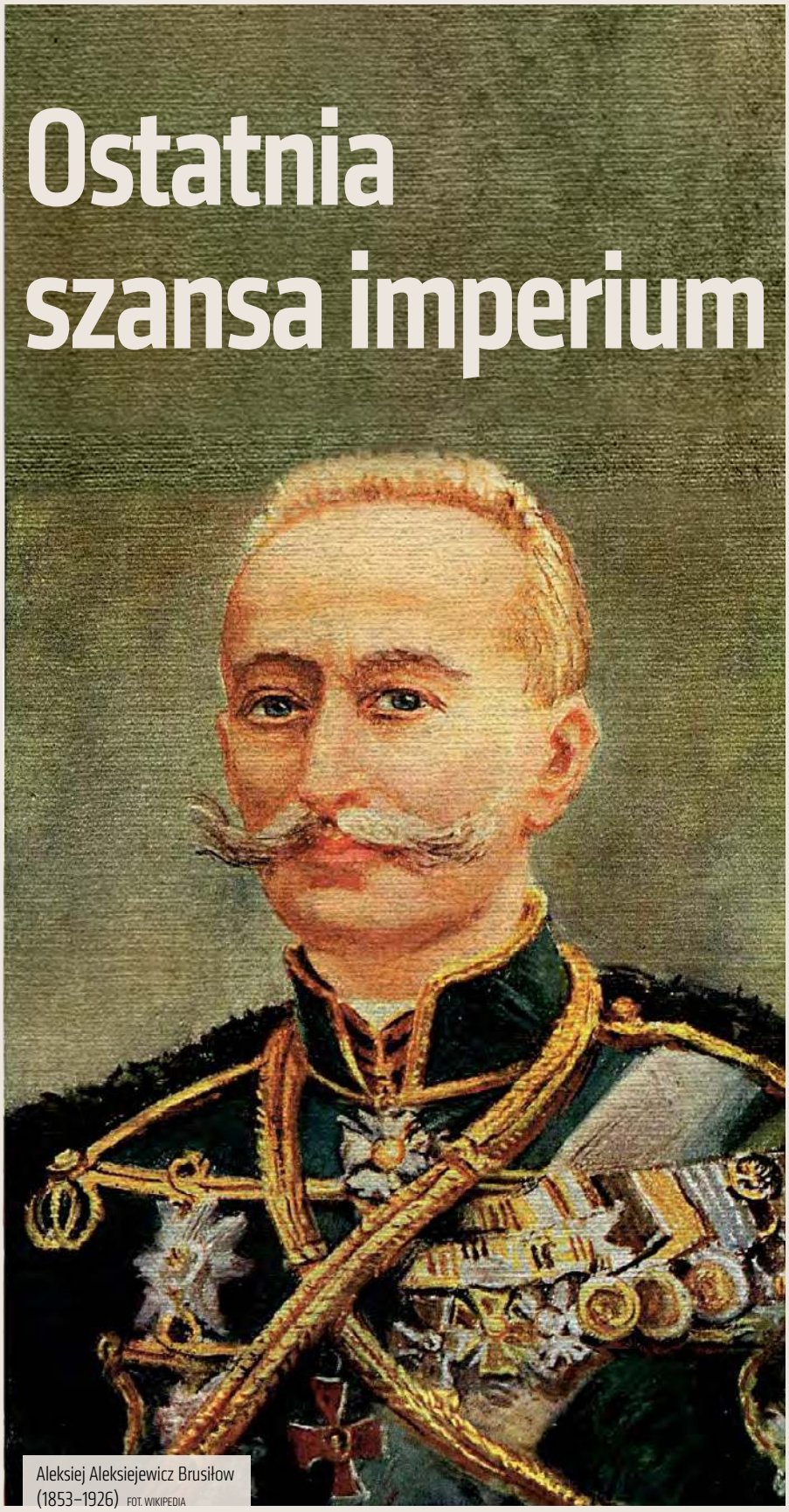

Aleksiej Aleksiejewicz Brusiłow (1853–1926) FOT. WIKIPEDIA

Adam Przechrzta

Manewr Aleksieja Aleksiejewicza Brusiłowa mógł uratować imperium, a stał się jego gwoździem do trumny

Trwająca od 4 czerwca do 20 września 1916 r. ofensywa Brusiłowa nie przyniosła Rosji ogromnych zdobyczy terytorialnych, front przesunął się średnio od 80 do 120 km w głąb obszaru kontrolowanego przez przeciwnika, choć zajęcie większości terenów Wołynia, Bukowiny i części Galicji miało rzecz jasna swoje znaczenie. Dlatego też, przy powierzchownej analizie rosyjskiego natarcia, łatwo przeoczyć ogromny potencjał, jaki operacja Brusiłowa niosła nie tylko dla Rosji, lecz także dla ententy, a może nawet losów I wojny światowej. Potencjał – jak łatwo się domyślić – niewykorzystany.

Jak wyglądała sytuacja przed ofensywą? Niespodziewany niemiecki atak pod Verdun w lutym 1916 r. zniweczył plany ententy na ten rok, przewidujące jednoczesne uderzenie na frontach rosyjskim, francuskim i włoskim, co miało doprowadzić do sytuacji, w której państwa centralne nie będą w stanie przerzucać jednostek z odcinków w miarę spokojnych na najbardziej zagrożone. Przerażeni impetem i początkowymi sukcesami Niemców Francuzi zwrócili się o pomoc do sojuszników, jednak Anglicy odmówili interwencji, twierdząc, że nie dysponują w tym momencie wyszkolonymi rezerwami, a Włosi ograniczyli się do ataku w dolinie rzeki Isonzo. Działania nieprzygotowanych do ofensywy na szeroką skalę jednostek włoskich szybko się załamały i niebawem Luigi Cadorna (naczelny dowódca armii włoskiej) przerwał natarcie, a w maju 1916 r. został zmuszony do przerzucenia części sił na północ, aby powstrzymać ofensywę Austriaków pod Asiago.

W tej sytuacji zdesperowani Francuzi zwrócili się do Rosjan, nie licząc specjalnie na sukces, gdyż od czasu klęsk z 1915 r. i odwrotu z Polski armia rosyjska uważana była za niezdolną do prowadzenia skutecznych operacji. Zdanie takie wyrażali nie tylko wrogowie, lecz także Anglicy i Francuzi. Opinia ta miała solidne podstawy, gdyż wojna

eprasa.pl 2088586fa3

zaskoczyła nieprzygotowaną Rosję. Rosyjski sztab generalny przewidywał, że konflikt potrwa nie dłużej niż kilka miesięcy, stąd zgromadzone wcześniej zapasy wystarczały na prowadzenie walk przez cztery–pięć miesięcy, a rosyjski przemysł nie był w stanie pracować w pełnym wymiarze na potrzeby armii. Do tego dochodziły kiepska organizacja i powszechna korupcja oraz intrygi zagrażające bezpieczeństwu państwa ze strony wysokich rangą dowódców.

SŁABA ARMIA?

Rosyjska armia nie miała problemów kadrowych, natomiast rozpaczliwie potrzebowała broni i amunicji, np. przeciętny korpus, liczący 28 tys. żołnierzy, miał uzbrojenie jedynie dla 20 tys. Tylko w piechocie na froncie rosyjskim znajdowało się w sumie 350 tys. nieuzbrojonych żołnierzy.

Problemem były też nieudolność i kunktatorstwo rosyjskich dowódców, dbających przede wszystkim o prestiż w oczach cara. Kiedy Brusiłow w trakcie narady w Sztabie Generalnym zgłosił chęć zaatakowania austriackich i niemieckich pozycji, gen. Kuropatkin wyraził zdziwienie, że ten chce narażać się na „nieprzyjemności" i utratę reputacji, zamiast czerpać zadowolenie z tego, iż otacza go nimb niezwyciężonego...

Mimo tych wszystkich zastrzeżeń rosyjska armia nie była wcale tak bezradna, jak wydawało się wrogom, a nawet sojusznikom. Przede wszystkim po porażkach z 1915 r. włożono ogromny wysiłek w to, aby poprawić sytuację. Pozbyto się najbardziej skompromitowanych dowódców, takich jak Suchomlinow i Rennekampf, wojsko otrzymało wyposażenie i broń, formowano nowe dywizje, poprawiła się sytuacja w przemyśle. Na przykład tulska fabryka broni, wytwarzająca wcześniej 700 karabinów maszynowych rocznie, zwiększyła produkcję do niemal 1 tys. sztuk miesięcznie, a Główny Urząd Artylerii zbudował kilkanaście nowych fabryk.

POZBAWIONY KOMPLEKSÓW

Przede wszystkim jednak na wojennej szachownicy pojawiła się nowa figura: Aleksiej Aleksiejewicz Brusiłow. Jego ojciec był Rosjaninem, matka – Polką. Wbrew temu, co twierdzą Rosjanie, nie wydaje się, aby Brusiłow przejawiał jakiś niesłychany geniusz militarny, rzadko kiedy stosował naprawdę oryginalne rozwiązania, jednak potrafił znakomicie wykorzystywać cudze pomysły do własnych celów i przy całym szacunku dla przeciwnika, pozbawiony był kompleksów, na które cierpiało wielu jego kolegów. Brusiłow nie zastanawiał się, czy jest w stanie pokonać wroga – był o tym przekonany – myślał tylko jak i kiedy. Do tego miał spore doświadczenie z racji uczestnictwa w wojnie rosyjsko-tureckiej i z czasów, kiedy dowodził dużymi związkami taktycznymi (m.in. był zastępcą dowódcy Warszawskiego Okręgu Wojskowego). To wszystko pomogło mu w opracowaniu planu ofensywy.

Co takiego, poza odpowiednim zaopatrzeniem armii, zrobił Brusiłow? Przede wszystkim przeszkolił żołnierzy na specjalnie zbudowanych makietach wyobrażających austriackie umocnienia i zbadał głęboko urzutowany system obrony nieprzyjaciela także za pomocą lotnictwa. Zapewnił piechocie możliwość bezpośredniego współdziałania z artylerią, która dzięki temu nie ograniczała swego udziału w natarciu do wstępnej nawały ogniowej, ale kierowana przez specjalnie wyznaczonych obserwatorów mogła torować przejścia w zasiekach i niszczyć precyzyjnym ogniem bunkry oraz punkty oporu wroga. Cała kadra dowódcza otrzymała dokładne schematy atakowanych pozycji, które rozpoznano dzięki zwiadowi. Zbudowano solidne pozycje wyjściowe do ataku, przesuwając rosyjskie okopy do przodu, co pozwoliło zmniejszyć odległość do linii nieprzyjaciela miejscami do 75 kroków. Utworzono specjalne grupy szturmowe do zrywania zasieków (po dwie na każdą kompanię), wyposażone w 15-kilogramowe ładunki wybuchowe. Artyleria otrzymała dokładne zadania, każda bateria miała przydzielony sektor i znała cele ostrzału na każdym etapie walki. Przebijać przejścia w zasiekach miały baterie lekkie i górskie, a niszczenie umocnionych pozycji powierzono haubicom oraz ciężkiej artylerii. Brusiłow położył szczególny nacisk na łączność między piechotą a artylerią, dla bezpieczeństwa wszystkie linie telefoniczne były dwuprzewodowe. Aby przeciwdziałać kontratakom, rosyjska artyleria przećwiczyła manewr wału ogniowego i nieruchomego ognia zaporowego. Wreszcie wszystkie przygotowania otoczono tajemnicą, podejmując też działania dezinformujące przeciwnika. Brusiłow nie dowierzał nawet swojemu sztabowi, przez co stał się znienawidzony na carskim dworze, gdyż złamał niepisany zwyczaj nakazujący dzielić się z otoczeniem władcy wszystkimi sekretami, jako że wśród zaufanych cara nie mogło być zdrajców.

Równocześnie z natarciem przeprowadzono wiele pozorowanych ataków punktowych, które zdezorientowały Austriaków, nie pozwalając im na prawidłowe użycie swoich sił. Niejako wisienką na torcie było rozpoczęcie ofensywy w dniu urodzin słynącego z dezynwoltury arcyksięcia Józefa Ferdynanda, co sprawiło, że stacjonująca pod Łuckiem na odcinku głównego uderzenia 4. Armia została w pierwszym dniu natarcia bez dowódcy.

ROSYJSKA DEMOLKA

Rosyjskie natarcie zdemolowało armię austriacką i spowodowało, że cesarstwo austro-węgierskie z partnera stało się satelitą Niemiec. Aby powstrzymać ofensywę Brusiłowa, państwa centralne musiały wycofać z frontu zachodniego 45 dywizji, co przełożyło się na poprawę sytuacji pod Verdun i pomogło w organizacji kontruderzenia nad Sommą. Gdyby alianci zachodni skoordynowali swój atak z Rosjanami, najprawdopodobniej wojna skończyłaby się już w 1916 r., a w Rosji nie było rewolucji. Jednak brak takiego współdziałania i błędy popełnione przez dowódców rosyjskich (po pierwszych sukcesach powrócili oni do starej, nieskutecznej oraz przynoszącej ogromne straty taktyki), a także zadziwiająca bierność generałów Everta i Kuropatkina spowodowały wstrzymanie ofensywy. Ogromne straty poniesione przez Austro-Węgry przyczyniły się też do ogłoszenia Aktu 5 listopada obiecującego powstanie państwa polskiego, co miało umożliwić wykorzystanie polskiego rekruta.

Ofensywa Brusiłowa była ostatnim zrywem imperium, który – w wypadku sukcesu – mógł jeśli nie uratować, to z pewnością przedłużyć jego istnienie. Utopiona we krwi na bagnach Polesia stała się ostatnim gwoździem do trumny carskiej Rosji, potęgując powszechne niezadowolenie. Sam Brusiłow, rozczarowany postawą cara i Sztabu Generalnego, optował za abdykacją Mikołaja II, a po rewolucji październikowej odrzucił ofertę współpracy z białymi i poparł bolszewików (podobnie jak jego syn). Zmarł na zapalenie płuc w 1926 r. i został pochowany przez Sowietów z honorami wojskowymi na Cmentarzu Nowodziewiczym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2088586fa3

FOT. FOTOLIA

WYPOŻYCZALNIA DZIEWCZYN

Rozpoczęcie nowego roku w Chinach to złoty czas dla firm, które dzięki Internetowi pozwalają dziewczynom wykorzystywać swój wolny czas, a mężczyznom znaleźć kobietę, która przed rodziną będzie udawała narzeczoną. Wielu Chińczyków na nowy rok podróżuje w rodzinne strony. Podczas wizyt w domu młodzi ludzie często muszą wysłuchiwać mów rodziców o tym, jak ważne są małżeństwo i zabezpieczenie trwałości rodzinie w kolejnych pokoleniach. Dla samotnych to czasem prawdziwe tortury. Nic dziwnego, że masowo korzystają z takich narzędzi, jak aplikacja – Hire Me Plz, której twórcy stanowczo podkreślają, że jedynie pozwalają sprzedawać ludziom ich wolny czas, a nie usługi seksualne. Zarejestrowanych „do wypożyczania" jest na niej ok. 700 tys. osób, a korzysta z niej podobno blisko 2 mln użytkowników. Twórcy aplikacji twierdzą, że ten model biznesowy ma przed sobą wielką przyszłość ze względu na zwiększającą się liczbę młodych ludzi, którzy chcą sprzedawać swój wolny czas. Ich zdaniem za pięć lat rynek wypożyczania samego siebie innym wart będzie miliardy. Ciekawe, kiedy będzie aplikacja do udawania całego swojego życia?

GRZYWNA ZA MAJTKI

Moda ma to do siebie, że czasem nie przemija. Tak stało się z opuszczonymi spodniami, spod których widać bieliznę. Dla republikanina z Izby Reprezentantów w Missisipi prezentowanie w ten sposób majtek na ulicy jest zachowaniem wulgarnym. Dlatego Tom Weathersby zaproponował zmiany w prawie. Zgodnie z jego propozycjami za noszenie za bardzo opuszczonych spodni groziłaby grzywna. Za pierwszy taki występek rodzice lub opiekunowie dostawaliby ostrzeżenie. Po drugim przyłapaniu małolata z opuszczonymi spodniami trzeba by już zapłacić grzywnę w wysokości 20 dol. Za kolejne występki grzywna rosłaby aż do 100 dol. A złapany z widocznymi majtkami po raz szósty musiałby skorzystać również z poradni psychologicznej. W niektórych miejscach w USA noszenie opadających spodni jest już zakazane (m.in. Opa-Locka, Floryda, Wildwood). W 2015 r. czterech uczniów szkół średnich usłyszało już za to zarzuty, a dwóch trafiło nawet do więzienia. Aż dziwne, że przeciw takim regulacjom prawnym nie protestował tamtejszy związek hydraulików i innych „złotych rączek".

HISZPAŃSKA ROBOTA

Okazuje się, że to nie Polska jest rajem dla urzędników. W Hiszpanii właśnie przyłapano dyrektora miejskiego archiwum w Walencji, który od 10 lat przychodził do pracy na godz. 7.30 tylko po to, by dotknąć swoją kartą elektronicznego czytnika. Potem wracał jeszcze o godz. 16, aby elektronicznie zarejestrować, że wychodzi z pracy. Urzędnik twierdzi, że pracował, tylko po prostu wiele ważnych zadań wykonywał poza biurem. Miejscowa prasa zarzuca mu jednak, że żadnego z powierzonych mu obowiązków zawodowych nie realizował. Za taką pracę podatnicy przez dekadę płacili mu ponad 50 tys. euro pensji rocznie. Teraz stanie przed sądem. I dobrze, bo nie dość, że leniwy, to jeszcze niezbyt mądry. Co by szkodziło mu przyjść i posiedzieć do godz. 16 w urzędzie, tak jak robi to wiele innych osób, i to nie tylko w Hiszpanii?

ROZBIŁ BANK

53-letni Kerry Johnson latem zeszłego roku wybrał się do kasyna we wschodniej Wirginii (USA). W pewnym momencie zrobił sobie przerwę w grze w blackjacka, ale zarezerwował miejsce, kładąc tam 25 dol. Po jakimś czasie wrócił i kontynuował hazardową rozgrywkę. Policja właśnie ustaliła, co robił podczas tej przerwy. Okazało się, że z kasyna wyskoczył do banku – tam oznajmił, że jest uzbrojony i że ma bombę. Udało mu się zrabować 5 tys. dol. Nie dość, że nagrały go kamery i w banku, i w kasynie, to jeszcze tymi samymi banknotami (ich numery bank przekazał policji) grał w blackjacka. Wiadomo, że trafił do więzienia. Nie wiadomo, jak mu poszło w ostatniej rozgrywce. ©℗

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **ŁUKASZ ZBORALSKI**

eprasa.pl 2088586fa3

TYLKO U NAS!
SZOKUJĄCE ZBRODNIE KAPO W NIEMIECKICH OBOZACH

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

HISTORIA DO RZECZY

NAJCHĘTNIEJ CZYTANY
MIESIĘCZNIK HISTORYCZNY

Tomasz Stańczyk – Gan-Ganowicz, pogromca komuny / Dave Barr – Byłem najemnikiem w Angoli / Tymoteusz Pawłowski – Polscy mudżahedini / Sławomir Cenckiewicz – Rozkazy likwidacyjne LWP / Nikołaj Iwanow – Stalin i homoseksualizm / Piotr Włoczyk – Wywiad z weteranem bitwy pod Kockiem / Rafał A. Ziemkiewicz – KGB i wirus HIV / Sławomir Koper – Jak polska księżna zastrzeliła kochanka

i wiele, wiele więcej

eprasa.pl 2088586fa3

Grzegorz Drymer z Londynu

Elżbieta II panuje od 65 lat. Żaden brytyjski monarcha nie zasiadał na tronie tak długo

Szafirowy jubileusz Elżbiety II

Królowa Elżbieta II nie zdecydowała się obchodzić swojej imponującej rocznicy, przypadającej 6 lutego. Jest ona dla niej bolesna, wyznacza bowiem datę śmierci jej ojca. Jerzy VI zmarł na raka płuc w wieku zaledwie 56 lat w majątku Sandringham we wschodniej Anglii. Niespełna 26-letnią księżniczkę Elżbietę powiadomiono o tym podczas podróży do brytyjskiej wówczas Afryki Wschodniej. „Nie mogę znieść myśli o Lilibet, tak młodej, dźwigającej tak wielki ciężar" – zwierzała się królowa matka w liście do babki Elżbiety, królowej Mary. Lilibet, bo tak Elżbieta II zdrabniała swoje imię w dzieciństwie i tak nazywali ją nadal rodzice, spisywała się jednak przez następne 65 lat bez zarzutu.

Królowa Elżbieta postanowiła spędzić swój szafirowy jubileusz w tym samym Sandringham, w którym zmarł Jerzy VI. Jak podkreślał w wywiadzie prasowym jej były sekretarz prasowy, Dickie Arbiter: „Ważne, żeby dobrze zrozumieć jej smutek. Zawsze podkreślała, że jej długie panowanie jest konsekwencją przedwczesnej śmierci ojca, nie jest to więc dla niej święto. W przeddzień rocznicy pójdzie do kościoła, aby podumać o nim. A w samym dniu jubileuszu będzie jak zwykle pracować nad dokumentami z »czerwonych teczek« i nie pokaże się nigdzie publicznie".

Nie zorganizowano więc żadnych uroczystości, tak jak w kolejne rocznice koronacji, która miała miejsce 2 czerwca 1953 r., ponad rok po objęciu tronu przez młodą królową. Ta zwłoka komplikuje zresztą obchody rocznic.

eprasa.pl 2088586fa3

FOT. ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

Na przykład diamentowy jubileusz 60-lecia panowania Elżbiety II obchodzono, jak należy w 2012 r., ale główne uroczystości przesunięto na czerwiec – między 59. rocznicę koronacji, a tak zwane „oficjalne urodziny monarsze" w drugą sobotę czerwca.

Źródła w pałacu Buckingham podkreśliły, że królowa nie oczekuje też żadnych jubileuszowych prezentów. Ma już zresztą jak najbardziej odpowiedni na tę okazję dar – szafirowy naszyjnik, który otrzymała od ojca. Ceni go tak bardzo, że 10 lat po koronacji zamówiła do kompletu szafirową tiarę i bransoletkę.

Nie obejdzie się jednak bez jakiejś formy upamiętnienia jubileuszu Elżbiety II i właśnie ta korona figurować będzie na rewersie okolicznościowej pięciofuntówki wybitej przez mennicę królewską w Walii. Obok korony cytat, słowa wypowiedziane przez księżniczkę Elżbietę, jeszcze zanim została królową: „Całe swoje życie czy będzie długie, czy krótkie, poświęcę służbie wam".

APOLITYCZNĄ, ALE ZAANGAŻOWANA

Jak wiadomo, królowa Elżbieta II panuje, nie rządzi. Mimo że nadal przysługuje jej teoretycznie szeroki zakres władzy, zgodnie z tradycją sięgającą XVIII w., a utrwaloną przez królową Wiktorię, przelewa go w całości na premiera i gabinet. Jeszcze wcześniejsza tradycja czyni natomiast suwerenem w państwie parlament, a zbiór wszystkich uchwalonych przez niego ustaw składa się na opus brytyjskiej konstytucji – wbrew powszechnemu mniemaniu, jak najbardziej pisanej, ale przez to niebywale złożonej.

Elżbieta II porusza się od 65 lat bardzo sprawnie w tym splocie ustaw i konwencji, a kolejni premierzy (licząc od Winstona Churchilla już 13) zawsze podkreślali jej ogromną pracowitość, polityczną mądrość i doświadczenie. O ile początkowo uczyła się politycznego fachu u Churchilla, o tyle obecnie w trudnych chwilach premierzy konsultują z nią swoje decyzje. Tak jak David Cameron, który zadzwonił do niej rano, nazajutrz po unijnym referendum, by omówić jego wynik, prosić, żeby odłożyła uzgodnione wcześniej wystąpienie z apelem o jedność, a także zawczasu zawiadomić ją o swojej decyzji złożenia urzędu.

Królowa z dużym zaciekawieniem musiała obserwować niedawne konstytucyjne zmagania między premier Theresą May, wyrazicielką wykonawczej prerogatywy monarszej, a parlamentem jako suwerenem. Spór rozstrzygnął dopiero Sąd Najwyższy – przyznając rację zwykłej obywatelce, która wnioskowała, że decyzja o uruchomieniu artykułu 50. traktatu lizbońskiego, czyli Brexitu, należy do parlamentu.

Zaangażowanie królowej dało o sobie znać przy okazji wcześniejszego, znacznie groźniejszego dla państwa kryzysu konstytucyjnego – szkockiego referendum niepodległościowego we wrześniu 2014 r. Elżbieta II panuje nad całością Wielkiej Brytanii i referendum otwierało perspektywę podziału jej królestwa. Szkocka Partia Narodowa zapewniała wprawdzie, że zachowa monarchię, ale królowa wyraźnie kibicowała ponad 300-letniej unii obu koron. Biograf premiera Davida Camerona, lord Ashcroft twierdzi, że rosnące poparcie dla niepodległości trapiło królową, która po naradzie ze swym sekretarzem dokonała subtelnej interwencji, mówiąc po niedzielnym nabożeństwie w Crathie Kirk, opodal jej szkockiego zamku Balmoral: „Mam nadzieję, że ludzie bardzo dokładnie przemyślą przyszłość".

Jest zresztą i inny dowód tego jej zaangażowania. Trzy miesiące po referendum premier David Cameron niedyskretnie zwierzył się burmistrzowi Nowego Jorku, że „Jej Wysokość mruczała z zadowolenia w słuchawkę", kiedy zadzwonił, by poinformować ją o przegranej szkockich nacjonalistów.

Elżbieta II jest nie tylko królową Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej, lecz także wielkich połaci Ameryki Północnej w Kanadzie, panuje nad całym kontynentem australijskim i nad globalnym archipelagiem – od Nowej Zelandii, przez Papuę Nową Gwineę, Wyspy Salomona i Tuvalu, do Jamajki, Saint Lucia i Grenady – w sumie w jej koronie pozostaje nadal 16 klejnotów, chociaż 17 innych odpadło już za jej panowania.

Elżbieta II ma jednak jeszcze na pociechę Wspólnotę Narodów złożoną z 52 państw i nadal pokrywającą 20 proc. powierzchni Ziemi z ponad 2,3 mld mieszkańców – niemal jedną trzecią ludzkości. Rola przywódczyni Commonwealthu jest ceremonialna, tak jak i sama wspólnota. Jest to jednak organizacja na tyle atrakcyjna, że w 1995 r. przystąpił do niej Mozambik, choć przecież nigdy brytyjską kolonią nie był. I mimo że przynależność do tej wspólnoty ma może symboliczne znaczenie, zawieszenie w prawach członka odbierane jest jako poważny despekt i wyraz międzynarodowej dezaprobaty – tak jak obecnie w przypadku Zimbabwe, a w przeszłości Fidżi, Nigerii i Pakistanu.

KLEJNOTY W KORONIE

Jak się wydaje, kilka monarchii, nad którymi panuje Elżbieta II, zachowuje obecny ustrój raczej przez sentyment do niej niż ze szczególnego przywiązania do tej formy rządów. Berło i korona

eprasa.pl 2088586fa3

w Ameryce czy na antypodach to dość rażący przeżytek.

Najbardziej odczuwalne są republikańskie nastroje w Australii, Nowej Zelandii i na Jamajce. Republikanizm Australijczyków datuje się od lat 70. zeszłego wieku, ale nosi cechy „przypływów i odpływów". Każda wizyta królowej lub członków jej najbliższej rodziny przeważa szalę z powrotem w stronę monarchistów. W Nowej Zelandii od wielu lat preferencje rozkładają się niemal równo. I tu, i tam sondaże wskazują, że koronacja księcia Walii Karola może być początkiem końca monarchii. Jednak wizyty młodej generacji książąt – Williama z Kate i Harry'ego – podreperowują jej notowania. Co ciekawe, przywiązanie do korony jest niezachwiane w Kanadzie.

O zerwaniu z monarchią myślą rządy Jamajki i Barbadosu. Na Barbadosie już w 2000 r. debatowano o referendum konstytucyjnym, planowanym na rok 2008, ale kolejne rządy odwlekają ten decydujący moment. Na Jamajce w zeszłym roku rząd zadeklarował – wyrażane przez wszystkie partie polityczne – pragnienie ustanowienia republiki, ale i tam przeszkodą może być wola społeczeństwa. Z wyjątkiem Dominiki wszystkie dawne posiadłości brytyjskie na Karaibach trwają uparcie przy królowej w odległym Windsorze.

Najtwardszym orzechem do zgryzienia dla brytyjskiej monarchii była jednak przez ponad 500 lat krnąbrna Irlandia. Jednak królowa Elżbieta II znalazła i na nią sposób.

Irlandzka Armia Republikańska – zdelegalizowana zarówno w Wielkiej Brytanii, jak i w Republice Irlandzkiej – zamordowała w 1979 r. kuzyna królowej, ostatniego wicekróla Indii, lorda Mountbattena, wysadzając w powietrze jego jacht podczas letnich wakacji, które spędzał regularnie w swej posiadłości w hrabstwie Sligo.

Przez lata ten mord ciążył osobiście królowej. Mimo to nie zawahała się w 2015 r., podczas pierwszej od ponad stu lat monarszej wizyty w Dublinie, złożyć wieńca w Ogrodzie Pamięci poświęconym republikańskim bojownikom o oddzielenie Irlandii od jej królestwa. Ostatecznie ujęła zaś Irlandczyków wizytą na pobliskim stadionie, na którym podczas wojny wyzwoleńczej w 1920 r. Brytyjczycy otworzyli ogień do tłumu kibiców.

W 2016 r., kiedy Irlandia obchodziła stulecie powstania wielkanocnego, królowa złożyła też wizytę w Ulsterze, podzielonym niemal równo między republikanów i monarchistów. Podczas odwiedzin w Belfaście spotkała się z wicepremierem północnoirlandzkiego rządu, Martinem McGuinnessem, w przeszłości wyższym dowódcą IRA, dokładnie w tym czasie, gdy jej bojownicy zabili lorda Mountbattena. Na pytanie McGuinnessa, jak się czuje, królowa odpowiedziała pół żartem, pół serio: „Jeszcze żyję".

Ruch republikański istnieje również i w samej Wielkiej Brytanii, która była już zresztą raz republiką jako Commonwealth, między 1649 a 1660 rokiem. Współcześni republikanie postulują referendum ustrojowe z chwilą zgonu lub abdykacji Elżbiety II. Sondaże przeprowadzane od 1993 r. wskazują jednak, że republiki pragnie średnio tylko 17–18 proc. Brytyjczyków. Zenit tych nastrojów przypadł w roku milenijnym i wyniósł 21 proc. Nadir zaś – 13 proc. – w 2012 r., roku diamentowego jubileuszu królowej i londyńskiej olimpiady, na której wystąpiła w inauguracyjnym wideo z Daniel Craigiem, czyli filmowym Jamesem Bondem, „sprowadzającym" ją na stadion helikopterem.

Rodzina królewska jest jak firma, której zagraża utrata brandingu, kiedy w przyszłości – co nieuniknione – zabraknie Elżbiety II

Już wówczas Elżbieta II stopniowo ograniczała jednak swoje obowiązki, w tym wizyty zagraniczne. Zamiast niej podróżują następca tronu, książę Karol, i wzbudzająca większą sympatię młodsza generacja dynastii.

Do rodziny królewskiej jeszcze trafniej niż dotąd pasuje więc nieformalne określenie „firma". Jest to jednak firma, której zagraża utrata brandingu, kiedy w przyszłości – co nieuniknione – zabraknie Elżbiety II.

CO DALEJ Z „FIRMĄ"?

68-letni książę Karol, formalnie emeryt, czeka cierpliwie na swoją kolej do tronu. Książę naraził się opinii publicznej rozwodem z Dianą, uchodzi za rozmawiającego z drzewami dziwaka, do tego o niesfornym charakterze, trudnym do wtłoczenia w gorset stoickiego niezaangażowania. Karol znany jest z kontrowersyjnych opinii o architekturze, medycynie alternatywnej, globalnym ociepleniu. I z ciętego języka – czy to kiedy pisuje do ministrów interwencyjne „pajęczaki", odręczne listy nazwane tak przez kancelarie ministerialne z racji ostrego, nieczytelnego charakteru pisma, czy kiedy interweniuje w sprawach publicznych. W ten sposób zmienił już zatwierdzony projekt architektoniczny nowego skrzydła Galerii Narodowej w Londynie, wymusił też odstąpienie od budowy osiedla, które miało powstać w dawnych koszarach w Chelsea.

Obecnie potencjalnego starcia z Karolem przestraszyło się otoczenie zaproszonego z wizytą państwową Donalda Trumpa, który ma diametralnie odmienne poglądy na zmiany klimatyczne. Biały Dom próbuje wywalczyć zmianę protokołu i wykluczenie księcia ze spotkań z prezydentem. Tego rodzaju wątpliwości nikt nie miałby wobec Elżbiety II.

– Przez ponad 60 lat królowa była stałym elementem życia, upewniając ludzi pośród tylu coraz szybszych zmian. Przychodzili i odchodzili kolejni premierzy – mówił BBC jeden z nich, John Major – ona pozostawała. – Krytycy jej rzekomej pasywności nie mają pojęcia o tym, jakie prowadziła z premierami rozmowy, bo nikt o tym nie mówi. Królowa stoi ponad polityką, ale kiedy spotyka się co tydzień z premierami, ma okazję pytać, kwestionować, radzić.

Gdyby Elżbieta II angażowała się w sprawy publiczne w bardziej widoczny sposób, to nie ustrzegłaby się, jak Karol, kontrowersji i niechęci. Tymczasem nie sposób wskazać polityka, który utrzymałby przez 65 lat tak wysoki rating popularności. Elżbieta II spełniła obietnicę cytowaną na rocznicowej monecie: „Całe swoje życie, czy będzie długie, czy krótkie, poświęcę służbie wam".

Ten jej sukces i poczucie obowiązku wyjaśniają niechęć 90-letniej Elżbiety II do abdykacji, tak jak postąpili trzy lata temu hiszpański król Juan Carlos, a rok wcześniej holenderska królowa Beatrix. Jednak za wytrwałością brytyjskiej królowej stoi również obawa, co dalej – z Karolem na tronie, z republikanami w Australii, Nowej Zelandii i na Karaibach, ze Wspólnotą Narodów i z unią Szkocji i Anglii, do której utrzymania wniosła przecież swój dyskretny wkład.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2088586fa3

SZEWACH WEISS

Donald Trump i stary Izrael

Podczas kampanii wyborczej Donald Trump miał bardzo pozytywne, z punktu widzenia koalicji rządzącej na czele z Beniaminem Netanjahu, podejście do kilku kluczowych kwestii dotyczących Izraela. Kwestii, które są powodem podziałów politycznych w samym Izraelu. Beniamin Netanjahu rządzi już czwartą kadencję. Ma poparcie w okolicach 25 proc. wyborców, ale ze względu na jego podejście do kwestii stosunków z Palestyńczykami i ze światem arabskim ma duże możliwości koalicyjne, popierają go bowiem partie prawicowe i religijne. Ideologicznie Donald Trump był im bliski.

Pierwsze tygodnie sprawowania prezydentury przez Donalda Trumpa pokazały, że błyskawicznie realizuje on część swojego programu wyborczego. Śledząc jego działalność, wydaje się, że pracuje 24 godziny na dobę. Wywołuje przy tym konflikty powyborcze w Stanach Zjednoczonych i nie tylko tam. Jednak sprawa Izraela ma swoją specyfikę z kilku powodów.

Jeśli dojdzie do przeniesienia ambasady USA do Jerozolimy, to najprawdopodobniej wybuchnie kolejna intifada

Po pierwsze, Donald Trump w kampanii wyborczej obiecał, że przeniesie ambasadę Stanów Zjednoczonych w Izraelu z Tel Awiwu do Jerozolimy. Ambasady wszystkich krajów w Izraelu działają w Tel Awiwie. Z punktu widzenia światowej tradycji politycznej sprawa Jerozolimy wciąż znajduje się na stole negocjacyjnym. Trudno zawrzeć jakąkolwiek umowę pokojową z Palestyńczykami, w której Jerozolima nie stanowiłaby centrum sporu.

De facto Jerozolima jest stuprocentową stolicą Izraela. Tam działają: parlament, rząd, sąd najwyższy, ministerstwa, organizowane są centralne obchody wszystkich uroczystości i świąt narodowych. Ambasadorowie, chcąc załatwić sprawy polityczne czy gospodarcze między krajami, jadą z Tel Awiwu do Jerozolimy. Tam przyjeżdżają prezydenci i światowi liderzy, odwiedzają siedzibę izraelskiego prezydenta, przemawiają w Knesecie i prowadzą negocjacje. Jeśli dojdzie do realizacji obietnicy Trumpa i przeniesienia ambasady USA, to najprawdopodobniej wybuchnie kolejna intifada. Nie jest oczywiście tak, że teraz Jerozolima i cały Izrael są wolne od zamachów, ale specjaliści do spraw bezpieczeństwa ostrzegają, że taki krok ze strony Stanów Zjednoczonych może być odebrany jako zbyt duże poparcie Izraela i gest wyraźnie antyarabski.

Beniamin Netanjahu znalazł się więc w bardzo delikatnej sytuacji politycznej. Realizacja obietnicy amerykańskiego prezydenta zdaje się spełnieniem ideologicznych i politycznych snów jego oraz koalicji, na której czele stoi. Jednak ani on, ani naród nie chcą powrotu do totalnego stanu wojennego. Wiedzą to również Palestyńczycy, prawdopodobnie zdaje sobie z tego sprawę również Donald Trump. W błyskawicznej realizacji swoich planów nie zdecydował się zatem jeszcze na taki krok. Coś się dzieje w zakulisowych rozmowach dyplomatycznych.

Po drugie, Stany Zjednoczone jako najbliższy sojusznik Izraela, nawet w czasie prezydentury Baracka Obamy, nigdy nie zgodziły się na tworzenie przez Izrael osiedli w Judei i Samarii. Ma to być część procesu pokojowego. Więcej, nawet premier Ariel Szaron w ostatnim roku sprawowania rządów zdecydował o likwidacji osiedli na południu Izraela. Rozmawiając o pokoju w przyszłości, nie można tworzyć nowych osiedli. Trzeba zostawić terytorium dla Palestyńczyków, by mogli na nim stworzyć swoje niepodległe i samodzielne państwo.

Donald Trump ostro skrytykował grudniową rezolucję Rady Bezpieczeństwa ONZ, potępiającą budowę izraelskich osiedli. Stany Zjednoczone na forum ONZ nie skorzystały z prawa weta, dotychczas przeważnie broniły spraw Izraela. Większość parlamentarna w Knesecie ostro krytykowała za to Baracka Obamę, ale opozycja popiera taką politykę, a krytykuje raczej Donalda Trumpa, czując, że z takim podejściem nie uda się doprowadzić do zawarcia umowy pokojowej z Palestyńczykami.

To egzamin, który będzie musiał zdać Donald Trump. Te dwie sprawy są najważniejsze z punktu widzenia pokoju w Izraelu i bardzo ważne z punktu widzenia całego Bliskiego Wschodu, choć obecnie na pierwszym planie są oczywiście sytuacja w Syrii, gdzie przelewana jest krew, i problem Państwa Islamskiego. Jednak sprawa konfliktu izraelsko-palestyńskiego również jest ważna, bo toczy się już zbyt długo i kiedyś musi się skończyć.

Stworzyła się zatem sytuacja, w której choć Donald Trump podczas kampanii wyborczej wypowiadał się po myśli koalicji Beniamina Netanjahu, to części składanych obietnic prawdopodobnie nie będzie można spełnić. A na pewno nie w najbliższym czasie.

Wielu Żydów dotknęło to, że 27 stycznia – podczas Międzynarodowego Dnia Pamięci o Ofiarach Holokaustu – nikt w imieniu prezydenta Donalda Trumpa nie podkreślił tego, co zwykle w tym dniu jest sprawą centralną – Holokaustu jako systemowego morderstwa narodu żydowskiego. Setki Żydów demonstrowały wtedy z prawdziwą pretensją o to, że pomija się tak ważny fakt historyczny. Kilka lat temu prezydent Barack Obama mówił o „polskich obozach", obecny prezydent milczy o narodowości ofiar Holokaustu. Może to tylko przypadek, a może jest w tym coś głębszego. ©℗

oprac. raw

eprasa.pl 2088586fa3

Piotr Włoczyk

Szwecja nie radzi sobie z gangami imigrantów. Tamtejsza prawica już całkiem otwarcie mówi o konieczności wysłania wojska na ulice miast

Rachunek za

Podczas gdy Malmö, trzecie największe miasto Szwecji, inwestuje miliony koron w promocję swojej marki, hitem na YouTube stało się amatorskie nagranie pokazujące, jak wyglądała tam ostatnia noworoczna zabawa pod gołym niebem. Obejrzano je już blisko milion razy, ale na pewno nie o takiej „reklamie" marzyli mieszkańcy miasta. Nagranie pokazuje bowiem, jak młodzi imigranci odpalają fajerwerki w stronę tłumu. Sztuczne ognie leciały też w okna i samochody. Towarzyszyły temu okrzyki: „Dżihad!". Po noworocznej nocy lokalna policja przyznała, że nie była w stanie zapanować nad sytuacją.

Dla mieszkańców Malmö nie było to jednak nic niezwykłego. Strzelaniny, podpalenia aut, napady z bronią w ręku – wszystko to, co kiedyś było nie do pomyślenia dla Szwedów, dziś jest elementem ich codzienności.

– Odkąd w 2015 r. pojawiła się w Malmö ostatnia wielka fala imigrantów, bezpieczeństwo znacznie się u nas pogorszyło – mówi „Do Rzeczy" Kazimierz Tomkowicz, Polak mieszkający w Szwecji od 1988 r. Nasz rozmówca mówi, że zaczyna się niepokoić o bezpieczeństwo swojej rodziny. – Mieszkam na obrzeżach Malmö i obawiam się, że w końcu ta fala przestępstw może dotrzeć też do mojego domu – dodaje.

Pan Marek w Malmö mieszka od prawie 20 lat. Prowadzi tu przedsiębiorstwo usługowe. Zgodził się z nami porozmawiać jedynie pod warunkiem zachowania anonimowości. – To, co się tu dzieje, to po prostu katastrofa. Wczoraj były trzy napady na sklepy, w tym jeden polski [rozmawialiśmy w zeszły wtorek – przyp. red.]. Od 2015 r. widać pogorszenie bezpieczeństwa – uważa pan Marek. – Gangi imigrantów strzelają się między sobą, palą samochody, dokonują napadów. Naprawdę boję się o życie i zdrowie moich pracowników. Poważnie myślę o powrocie do Polski – dodaje.

Co piąty mieszkaniec 300-tysięcznego Malmö jest wyznawcą islamu. Niewiele dużych europejskich miast może przebić ten wynik. W szczycie kryzysu imigracyjnego w 2015 r. Malmö – połączone z Danią malowniczym mostem nad cieśniną Sund – dosłownie zalane zostało przez imigrantów z państw muzułmańskich, tłumnie zmierzających do kraju, który z otwartości na ludzi w potrzebie zrobił swój znak firmowy. Ewidentnie jednak część z nich nie była zainteresowana spokojnym życiem w nowej ojczyźnie.

Polacy z Malmö zgodnie podają nazwy dzielnic, które lepiej omijać: Rosengård, Holma, Kroksbäck. Niemal w całości zamieszkane są one przez muzułmańskich imigrantów.

– Ci ludzie przywożą z własnych krajów do Szwecji konflikty, które nie znikają także u nas. Przykładowo Irakijczycy nie za bardzo lubią się z Irańczykami, a Syryjczycy nawet między sobą są bardzo skonfliktowani. Chodzę z takimi chłopcami do szkoły – mówi „Do Rzeczy" Anita Tomkowicz, uczennica ostatniej klasy liceum w Malmö. – Ci młodzi imigranci prześladują moich przyjaciół, którzy są gejami. Podchodzą do nas, wyrzucają nam rzeczy z plecaków, nie dają normalnie żyć. Nauczyciele boją się zwrócić im uwagę. Szwedzi już się nauczyli, że lepiej im się nie sprzeciwiać. Lepiej ustąpić, bo są agresywni i w każdej chwili mogą wybuchnąć – opowiada.

WOJSKO NA ULICACH?

W styczniu dużą dyskusję wywołała propozycja prawicowego polityka z Malmö, który przedstawił radykalne – jak na szwedzkie warunki – wyjście z kryzysu.

„W Szwecji i w Malmö bardzo brakuje policjantów. Dlatego być może czas już, by wojsko stanęło ramię w ramię z policją, by zapewnić bezpieczeństwo w naszym kraju" – napisał Magnus Olsson na łamach gazety „Expressen". Olsson jest członkiem rady miasta Malmö z ramienia prawicowej partii Szwedzcy Demokraci (SD), która buduje swoje poparcie na hasłach ograniczenia imigracji.

Propozycja Olssona spotkała się z ostrą krytyką ze strony rządzącej miastem czerwono-zielonej koalicji.

– Jestem przeciwny wysyłaniu na ulice wojska, ponieważ jestem za demokracją – mówi „Do Rzeczy" Nils Karlsson, zastępca burmistrza Malmö, członek Partii Zielonych. – To projekt absolutnie wbrew konstytucji i tak absurdalny, że nie ma szans na realizację. Wojsko jest od obrony kraju, ale to cała strategia działania SD. Według nich wszystkiemu winni są zawsze ludzie o innym pochodzeniu, wychowani w innej kulturze. To nie jest nawet bliskie prawdzie – podkreśla Karlsson.

eprasa.pl 2088586fa3

W Malmö gangi imigrantów strzelają się między sobą, palą samochody, dokonują napadów

FOT. JOHAN NILSSON/AP/EAST NEWS

multi-kulti

Jednocześnie jednak polityk Partii Zielonych przyznaje, że przestępczość w mieście to realny problem.

– Oczywiście mamy w Malmo poważny problem z przestępczością: zbyt dużo broni na ulicach, zbyt wiele gangów, które coraz częściej sięgają po broń. Odpowiedzią na to powinno być zwiększenie sił policyjnych. Magnus Olsson chce jednak swoim postulatem przedstawić sytuację w naszym mieście jako totalny chaos i anarchię, co nie jest prawdą. Nie wydaje mi się, żeby bezpieczeństwo bardzo się pogorszyło od jesieni 2015 r. Przypomnę, że latem 2015 r. było dużo gorzej niż dziś: wtedy mieliśmy do czynienia z wieloma atakami z użyciem granatów – mówi Karlsson. I dodaje: – Większość kryminalistów nie ma nic wspólnego z ludźmi, którzy przyjechali w 2015 r. Większość kryminalistów to imigranci w pierwszym i drugim pokoleniu. Jednak powodem tego nie jest jakaś wrodzona skłonność do przestępstw. Przyczyną jest bieda, a czasem mizoginia. To ostatnie zjawisko powodowane jest odseparowaniem mężczyzn od kobiet.

Mimo izolowania SD na scenie politycznej i przypinania łatki partii neofaszystowskiej ugrupowanie pnie się w sondażach. W ostatnich wyborach parlamentarnych w 2014 r. SD zdobyli 13 proc. głosów, teraz poparcie dla tej partii przekracza 20 proc. SD brakuje w sondażach już tylko kilku punktów procentowych do prześcignięcia rządzących Szwecją socjaldemokratów.

– Wysłanie wojska do pomocy policji nie powinno brzmieć kontrowersyjnie, zważywszy na skalę problemu. Sama policja ewidentnie nie daje sobie rady z przestępczością – mówi „Do Rzeczy" Pontus Andersson, polityk SD. – Niekontrolowana fala imigrantów, która zalała nas w 2015 r., znacznie pogorszyła sytuację, która i bez tego była ciężka. W rejonach multikulturowych nie mówi się po szwedzku, panuje wysokie bezrobocie. Trzeba nazywać rzeczy po imieniu: przestępczość to głównie problem imigrancki.

Pan Marek jest jednym z wyborców SD. – Wojsko na ulicach to konieczność, ponieważ policja to głównie blondynki z pięknymi warkoczami. Dają sobie radę z kradzieżami, ale nie nadają się do strzelania się z gangami. Wszyscy moi znajomi też widzą, że tylko SD dają nadzieję na ratunek. Liberalna polityka imigracyjna skończyła się katastrofą.

ZMIANA PODEJŚCIA

Malmö nie jest wyjątkiem, również inne duże szwedzkie miasta przeżywają podobne problemy. W zeszłym roku szwedzka policja przyznała w swoim raporcie, że w całym kraju istnieje 55 stref, nad którymi straciła kontrolę.

Ostatnim szokującym przypadkiem problemów z przestępczością był zbiorowy gwałt na mieszkance Uppsali, który transmitowany był na żywo na Facebooku. Szwedzkie media jak ognia unikały jednak nazywania sprawców imigrantami.

O przemocy seksualnej w Szwecji głośno było też w ostatnie wakacje, gdy w czasie dwóch festiwali muzycznych kilkadziesiąt młodych kobiet złożyło doniesienia o gwałtach i molestowaniu, co wcześniej nie zdarzało się na taką skalę.

Szwecja przez lata uważała się za „humanitarne supermocarstwo", przyjmując do siebie procentowo najwięcej imigrantów spośród wszystkich krajów rozwiniętych. W rekordowym 2015 r. do Szwecji przyjechało 163 tys. osób, które ubiegały się o status uchodźcy. Biorąc pod uwagę liczbę ludności, Szwedzi okazali się dwa razy bardziej gościnni od Niemców. Jednak tylko 32 tys. osób z tej grupy zostało zakwalifikowanych jako uchodźcy. Obecnie Szwecja próbuje pozbyć się tysięcy imigrantów, którym nie należy się ten status.

O stopniowej zmianie podejścia do imigracji w Szwecji świadczy choćby wprowadzenie testów genetycznych, pozwalających ustalić faktyczny wiek osób wnioskujących o status uchodźcy. Okazało się bowiem, że bardzo wiele osób, które twierdziły, że są dziećmi, mogło już zdążyć zapomnieć o tym, jak świętowały swoje 18. urodziny.

O ile zwolennicy szwedzkiej ultraliberalnej polityki imigracyjnej mogą zbywać opinie polityków SD i ich zwolenników jako antydemokratyczny ekstremizm, o tyle wiele do myślenia powinien im dać raport magazynu „Foreign Policy" opublikowany w zeszłym roku. Doceniając chęć niesienia pomocy potrzebującym, „Foreign Policy" jasno wskazał, że Szwecja zbyt szeroko otworzyła swoje bramy, przeceniając swoje siły. Wydźwięk tego tekstu świetnie oddaje jego tytuł: „Śmierć najbardziej szczodrego narodu na Ziemi".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2088586fa3

Stefan Sękowski

Nadal na chińskim szlaku

Czy wstrzymanie sprzedaży działki pod budowę terminalu kolejowego w Łodzi oznacza koniec budowy centrum logistycznego łączącego nas z Chinami? Niekoniecznie, ale to dowód na to, że współpraca z Chińczykami to nie sielanka

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

Musimy pozostać oddani rozwojowi globalnego wolnego handlu i inwestycji, promować ich liberalizację oraz ułatwienia przez otwarcie i powiedzieć „nie" protekcjonizmowi. Stosowanie protekcjonizmu to jak zamykanie się w ciemnym pomieszczeniu. Wiatr i deszcz pozostają co prawda na zewnątrz, ale ciemne pomieszczenie blokują także światło i powietrze. W wojnie handlowej nikt nie zwycięży" – tego nie powiedział ani Leszek Balcerowicz, ani czołowy unijny polityk. To słowa Xi Jinpinga, prezydenta formalnie komunistycznej Chińskiej Republiki Ludowej. W tym roku otwierał obrady Światowego Forum Ekonomicznego w Davos i był jego gwiazdą – pod nieobecność świeżo upieczonego prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki Donalda Trumpa. Chiny chcą być w awangardzie wolnego rynku.

Jak w swojej mowie podkreślał Xi Jinping, od kiedy pod koniec lat 70. XX w. Chiny zaczęły się reformować i otwierać, przyciągnęły do siebie inwestycje zagraniczne o wartości ponad 1,7 bln dol., same zaś zainwestowały na świecie ponad 1,2 bln dol. Są wszędzie, od Azji przez Afrykę do Ameryki Południowej, zarówno kupując tam lub stawiając zakłady przemysłowe, jak i inwestując w energetykę czy infrastrukturę, którą w Azji finansować ma powstały w 2015 r. Azjatycki Bank Inwestycji Infrastrukturalnych (AIIB), a Polska jest jednym z jego założycieli.

NICI Z CENTRUM?

Ambitnym planem, który właśnie promują, jest infrastrukturalny „Jeden Szlak – Jeden Pas", który ma łączyć drogą morską i lądową wybrzeże Chin aż z Lizboną. Częścią tego przedsięwzięcia ma być Nowy Jedwabny Szlak, łączący liniami kolejowymi i drogami Europę z Chinami.

eprasa.pl 2088586fa3

– Chińczycy nie mogą w nieskończoność trzymać swoich rezerw w obcych walutach, dlatego muszą inwestować. To dobra informacja także dla nas. Trzeba wskoczyć do tego pociągu, póki jedzie – mówi „Do Rzeczy" dr Krystyna Palonka z Centrum Studiów Polska-Azja. W naszym przypadku mówienie o pociągach jest bardzo na miejscu, bo to właśnie Polska jest centrum, poprzez które Chińczycy chcą się łączyć kolejowo z naszym kontynentem. W ubiegłym roku do Łodzi przyjechało 400 pociągów z Chin, w tym roku ma być ich tysiąc. Każdy może przewieźć ponad 32 tys. ton towarów. Na razie pędzą załadowane głównie w jedną stronę, do Polski, ale niedługo ma to się zmienić. Łódź jest bowiem typowana przez Polaków i Chińczyków na siedzibę huba logistycznego, który połączy tę część Europy z Państwem Środka. – Niedaleko krzyżują się dwie autostrady, ważne połączenia kolejowe, miasto leży mniej więcej w równej odległości od wszystkich granic kraju. Łódź jest naturalnym miejscem dla tego typu przedsięwzięcia. To istotne nie tylko z punktu widzenia Łodzi i okolic, lecz także całej Polski. Chiny chcą mieć strategicznego partnera w Europie, taka szansa trafia się raz na sto lat – mówi „Do Rzeczy" wiceprezydent miasta, Ireneusz Jabłoński.

Nie wszystko idzie jednak gładko. Gdy Agencja Mienia Wojskowego odwołała zaplanowany na 7 grudnia ubiegłego roku przetarg na sprzedaż działki pod łódzki terminal kolejowy, niektóre media mówiły nawet o „wypisywaniu Polski z Nowego Jedwabnego Szlaku". Na położonym na południu miasta gruncie przy ul. Pryncypalnej znajduje się rozbudowana infrastruktura kolejowa – i to tu miało powstać centrum logistyczne, za którego pośrednictwem miano ekspediować towary do chińskiego Chengdu. Polskie i zagraniczne, te drugie bowiem za pośrednictwem dróg kolejowych, autostrad, a także lotniska miały spływać do centrum Polski. Miało to ułatwić nie tylko transport, lecz także stanowić szansę dla firm z Łodzi i okolic, które zajmowałyby się m.in. obsługą kontrahentów, przechowywaniem i uzdatnianiem towarów. Tymczasem AMW postanowiła przeprowadzić „ponowną analizę sposobu optymalnego i racjonalnego zagospodarowania tej nieruchomości". Jak napisała „Do Rzeczy" Małgorzata Weber, rzecznik prasowa agencji: „AMW ma w swoim zasobie wiele nieruchomości, ale jedyną wśród nich wyposażoną we własną bocznicę kolejową jest nieruchomość przy ul. Pryncypalnej 94 w Łodzi. Agencja nie dysponuje inną działką w Łodzi (ani poza Łodzią) przystosowaną w takim stopniu jak nieruchomość przy ul. Pryncypalnej 94 do utworzenia tam terminala kolejowego" – czytamy w odpowiedzi. Jeśli agencja nie sprzeda tej działki, to nie sprzeda żadnej.

– Biorę za dobrą monetę oświadczenie AMW, z którego wynika, że nie chodzi o zablokowanie sprzedaży działki, tylko o wycofanie się z otwartego przetargu. Mogłaby ona trafić do dewelopera lub funduszu inwestycyjnego spekulującego na rynku nieruchomości. To uniemożliwiłoby budowę centrum na tej działce – uspokaja Jabłoński. I dodaje, że w razie czego w mieście są także inne tereny, które można by przeznaczyć na ten cel. Jednak problem jest poważniejszy niż to, czy centrum powstanie na tej czy na innej parceli. Minister obrony narodowej Antoni Macierewicz, któremu podlega AMW, nie jest, delikatnie mówiąc, zwolennikiem zacieśniania współpracy z Chinami. W 2015 r. w wywiadzie udzielonym kanadyjskiemu polonijnemu „Gońcowi" wiceprezes Prawa i Sprawiedliwości powiedział, że jego zdaniem „koncepcja Jedwabnego Szlaku, ekspansji Chin, jest częścią całościowej koncepcji porozumienia Europy Zachodniej z Rosją i z Chinami oraz wyeliminowania z obszaru eurazjatyckiego wpływów Stanów Zjednoczonych, a także zlikwidowania jako niepodległego podmiotu Polski". I chociaż nie jest to oficjalne stanowisko obecnego rządu, to budzi niepokój, jest bowiem frontalną krytyką ogromnego projektu infrastrukturalnego, który otwarcie poparli prezydent RP Andrzej Duda czy minister rozwoju Mateusz Morawiecki.

DUŻO GADANIA, MAŁO EFEKTÓW

Oficjalne stanowisko Polski wobec współpracy z Chinami jest bardzo pozytywne. Co wcale nie znaczy, że idzie za tym wiele konkretów. Zarówno wizyta prezydenta Polski w Chinach w listopadzie 2015 r., jak i prezydenta Chin w Polsce w czerwcu 2016 r. nie przyniosły zbyt wielu wymiernych rezultatów. Chociaż od kiedy w 2012 r. ruszył przy Polskiej Agencji Informacji i Inwestycji Zagranicznych program „GoChina", ukierunkowany na promocję polskich firm w Państwie Środka, nasz eksport do ChRL wzrósł o ok. 25 proc., to nadal nie stanowi jednak nawet 1 proc. całego naszego eksportu. W porównaniu z importem z Chin, który w pierwszych 11 miesiącach 2016 r. był wart 19,8 mld euro, nasz eksport w drugą stronę o wartości 1,5 mld euro jest dość nikły. Nad Jangcy sprzedajemy głównie miedź, maszyny i urządzenia elektryczne, a także meble. Zainteresowaniem cieszy się np. nasze mleko w proszku, a od niedawna również jabłka. Niestety, sprzedajemy ich nadal mało. Także inwestycje w samych Chinach nie wyglądają najmocniej. Jest to częściowo efekt protekcjonizmu ChRL, tego, że wciąż bardzo wiele zależy od uznaniowości władz oraz utrudnień, jeśli chodzi o dostęp do zamówień publicznych (Chiny wcale nie są tak wolnorynkowe, jak można by się spodziewać po wypowiedziach ich oficjeli). Jednak z drugiej strony polskie firmy i tak rzadko interesują się inwestowaniem w tamtym rejonie.

To ma się zmienić, a jednym ze środków ma być likwidacja Wydziałów Promocji Handlu i Inwestycji przy ambasadach oraz konsulatach i zastąpienie ich Zagranicznymi Biurami Handlowymi. – WPHI, poza kilkoma wyjątkami, miały ponurą sławę. W najlepszym przypadku zajmowały się przygotowywaniem analiz na rzecz resortu gospodarki, a ich oferta dla firm była niewielka. Polskie firmy są gotowe do wyjścia na rynki zagraniczne i po prostu należy im się rzetelne wsparcie. To, co robimy, to prawdziwa rewolucja. Zamiast urzędników skupionych na procedurach za granicę wysyłamy doradców biznesowych, których zadaniem będzie generowanie nowych kontraktów. Takie wsparcie może skrócić czas wejścia polskich przedsiębiorców na rynki zagraniczne z ok. dwóch lat nawet do sześciu miesięcy – mówi „Do Rzeczy" prezes PAIiIZ, Tomasz Pisula. Wśród sześciu uruchomionych w pierwszej kolejności ZBH (z 70 planowanych) znalazło się także to w Szanghaju, co świadczy o tym, jak wyglądają priorytety PAIiIZ.

Czas pokaże, czy ZBH rzeczywiście spełnią swoją funkcję. Warto traktować współpracę z Chinami poważnie, nawet mimo pewnych kłopotów, jakie przechodzi obecnie chińska gospodarka. Z drugiej strony Chińczycy nie robią niczego za darmo, a np. ich mocne zaangażowanie w projekty energetyczne wzbudziły niedawno obawy czeskiego kontrwywiadu. Jednocześnie warto pamiętać, że z punktu widzenia Chińczyków jesteśmy krajem o wielkości jednej z ich prowincji. – To większa szansa dla nas niż dla nich – tłumaczy Palonka.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest zastępcą redaktora naczelnego „Nowej Konfederacji".

eprasa.pl 2088586fa3

Z Ryszardem Florkiem, prezesem Fakro
rozmawia Edyta Hołdyńska

Mądrość gospodarcza

EDYTA HOŁDYŃSKA: Nieuczciwa konkurencja to jeden z powodów, dla których polskie firmy nie mogą przebić się ze swoją ofertą za granicę. Gdzie jest źródło tego problemu?

RYSZARD FLOREK: W Polsce nieuczciwą konkurencję stwarza państwo. To ono już na starcie oferuje firmom nierówne warunki nie tylko konkurowania ze sobą, lecz także w starciu z zagranicznymi firmami. To nierówne starcie całej naszej polskiej gospodarki z innymi. Mam tu na myśli głównie szkodliwe przepisy. Na przykład odprawy celne dla towarów sprowadzanych spoza Unii Europejskiej. Nasza firma dotknięta jest nieuczciwymi praktykami zarówno w kraju, jak i na świecie. Są trzy bariery wejścia na rynki zagraniczne dla polskich firm. To one powodują, że nie mamy polskich przedsiębiorstw na skalę globalną. Wiele firm już próbowało, ale poniosło straty i musiało się wycofać.

O jakich barierach mówimy?

Jedną z barier, która jeszcze istnieje, choć mają ją wyeliminować proponowane nowe regulacje, jest efekt skali, który pozwala przedsiębiorcom z olbrzymim kapitałem wejść na polski niechroniony rynek i go zdominować. Ten efekt nie jest uwzględniony w warunkach konkurowania. A starcie polskich firm z zachodnimi jest bolesne. Nasze nie mają szans. To jest legalne, ale należałoby pomyśleć, nad stworzeniem regulacji dla uczciwej konkurencji. Druga bariera to wszelkie ograniczenia dostępu do własnych rynków wprowadzane przez bogate kraje. To dodatkowe certyfikaty, skomplikowane umowy wyłączności. Cały arsenał metod powodujący, że polskie firmy mają trudności w podbojach zachodnich rynków. Choćby nawet dodatkowe regulacje dla polskich kierowców. To kolejne koszty dla rodzimych przewoźników.

To wszystko jest zgodne z prawem. Gdzie tutaj nieuczciwa konkurencja?

FOT. KRYSTIAN MAJ/FORUM

eprasa.pl 2088586fa3

Trzecia bariera jest zupełnie nielegalna, a sformułowana jest prawnie jako nadużywanie pozycji dominującej. To jest zakazane, ale Komisja Europejska toleruje naruszanie tego prawa. To prawo jest nieklarowne, więc znowu mamy do czynienia z nadużywaniem pozycji dominującej, bo wygrywa ten, kto ma więcej pieniędzy na prawników i lobbystów. To powoduje, że firmy, które poradzą sobie z tymi pierwszymi dwiema przeszkodami, dopada ten trzeci kłopot. Tak było w przypadku naszej firmy. Poradziliśmy sobie z efektem skali i ze wszystkimi dziwnymi certyfikatami, ale borykamy się z cenami dumpingowymi. A to niedopuszczalne. Tam, gdzie myśmy wchodzili, konkurent obniżał cenę swoich produktów. Stać go na to, bo ma 20 razy większy kapitał od nas. I zarabiał tam, gdzie nam jest trudniej dotrzeć.

Jaki jest więc skuteczny sposób na nieuczciwą konkurencję? Pan wystąpił z oficjalną skargą do Komisji Europejskiej. Nie pomogło?

Tutaj jest kilka możliwości. Po pierwsze, polski rząd musi o nas zawalczyć w Unii Europejskiej. Zadbać o to, by prawo mówiące o nadużywaniu pozycji dominującej było bardziej restrykcyjne i przestrzegane. To trzeba zrobić za granicą. Natomiast w Polsce działa Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów oraz są możliwości legislacyjne. Możemy zaostrzyć to prawo na własnym podwórku. Widzę tu szanse na równiejszą konkurencję. Ważnym elementem jest też tzw. kapitał społeczny. W Niemczech Niemiec kupuje niemieckie, we Francji Francuz francuskie. A w Polsce Polak kupuje zagraniczne. Jeżeli także w Polsce konsumenci tak dbaliby o własną gospodarkę, jak dbają o nią nasi bogatsi sąsiedzi, to też wiele by się zmieniło in plus. Firmom byłoby łatwiej zmagać się z potentatami.

Co konkretnie powinien zrobić rząd, aby wyrównać konkurencję zagranicznych firm względem rodzimych?

W pierwszej kolejności nie powinien sam stwarzać im nieuczciwej konkurencji. Jest wiele sprzecznych przepisów, a to powoduje, że polski przedsiębiorca musi spędzać większość czasu w urzędzie czy w sądzie. A mógłby ten czas poświęcić na rozwijanie swojej firmy. To już powoduje, że jest na straconej pozycji względem zagranicznych konkurentów. Polski rynek to ok. 5 proc. obrotu zagranicznego potentata, więc jego stać na to, aby trochę czasu poświęcić na urzędy. A urzędy boją się podskoczyć wielkim graczom, więc tolerują ich zachowanie. Polski przedsiębiorca jest chłopcem do bicia.

Czy Konstytucja Biznesu wicepremiera Morawieckiego poprawi sytuację? Jest tam mowa o jednolitej interpretacji przepisów.

To jest krok w dobrym kierunku, ale jesteśmy dopiero na początku drogi. To część zmian, które trzeba w Polsce wprowadzić, aby gospodarka zaczęła się szybko rozwijać. Trzeba pomyśleć przede wszystkim o samej konkurencji, o tym, jakie przepisy zgodne z unijnym prawem da się wprowadzić w Polsce. Trzeba o tym dyskutować. Cieszy nowy projekt Kodeksu postępowania administracyjnego, który wprowadza dużo dobrych zmian.

Specjalne Strefy Ekonomiczne przyciągają zachodnie koncerny do Polski, oferując ulgi i zachęty podatkowe. Czy polskie firmy na tym tracą?

Poszczególne kraje walczą o inwestorów zagranicznych między sobą. Ulgi dla nich są potrzebne, bo inaczej w ogóle do nas nie przyjdą. Z całym szacunkiem dla polskich firm – nie jesteśmy w stanie we wszystkich gałęziach gospodarki być konkurencyjni globalnie. Tam, gdzie nie możemy wygrać, musimy stwarzać pole dla innych. Trzeba się jednak poszczególnym branżom przyglądać, żeby nie sprawiać, by zagraniczna konkurencja zabijała polską.

A czy Polska nie mogłaby się stać taką strefą dla polskich firm?

Oczywiście chodzi właśnie o to, aby polskie przedsiębiorstwa również miały podobne przywileje. W SSE mogą działać także polskie firmy. Jednak zagraniczne firmy, wchodząc do Polski, mają przed sobą tylko kolejną fabrykę w nowym miejscu. A polskie przedsiębiorstwa często są tak małe, że musiałyby zrezygnować ze swojej dotychczasowej siedziby i przenieść się do strefy, co się im nie opłaca. Dlatego nasza fundacja Pomyśl o Przyszłości postuluje, by wprowadzić rozwiązania fiskalne dla wszystkich. Takie, które byłyby równe dla wszystkich, ale by polskie firmy mogły z nich bardziej skorzystać.

Na przykład?

To np. przesunięcie CIT do dywidendy. Czyli płacimy CIT, kiedy pobieramy dywidendę. Takie rozwiązanie dla zagranicznych inwestorów byłoby neutralne, gdyż tak czy inaczej dysponują dużym kapitałem. Natomiast polskim dałoby to duży oddech i motywację do działania. Przyczyniłoby się do rozwoju polskiej gospodarki. Coś takiego wprowadziła przed laty Estonia i bardzo dobrze sobie radzi. Gdybyśmy porównali PKB Polski i PKB Estonii, to tam rośnie on dwa razy szybciej. Tak samo jak wpływy do budżetu. Nie są to wpływy z CIT, ale pieniądze z zarobków ludzi i ich inwestycji. A wtedy nie tylko płacą podatki od wynagrodzenia, lecz także idą do sklepu i płacą państwu w postaci VAT za dobra, które sobie fundują. Wpływy z VAT i PIT przewyższają ewentualne straty z CIT.

A na zakupach warto wybierać polskie produkty. W ostatnim czasie o tym, jak ważny jest patriotyzm gospodarczy, mówi także rząd. Czy widzi pan szansę na poprawę sytuacji?

To bardzo ważne, że się o tym mówi. Myśmy wydali już pół miliona raportów o tym, dlaczego na Zachodzie zarabiają więcej od nas. Organizujemy na ten temat konferencje. Chciałbym jednak zaprotestować przeciwko używaniu sformułowania „patriotyzm gospodarczy". Ja bym to nazwał „mądrością gospodarczą". Wybierając polski produkt i porównując ceny na metkach w sklepie, musimy uwzględnić to, że poza tym, iż dostajemy ten produkt, dostajemy jeszcze bonus.

Jaki?

To nasze własne, wyższe zarobki, lepsze szkoły, lepsze drogi, lepsza służba zdrowia. Mało kto zdaje sobie sprawę z tego, że w cenie produktu, który kupujemy, oprócz surowców, kosztów produkcji, transportu i dystrybucji są jeszcze tzw. koszty korporacyjne. A w ich skład wchodzą badania i rozwój, centra finansowe, zarządzanie z pozycji koncernu. Te koszty sięgają 20–30 proc. Tę wartość w cenie produktu zostawiamy w Polsce, jeśli kupujemy polski produkt. A jeśli zagraniczny, to pozwalamy wywieźć te pieniądze za granicę. Sponsorujemy z własnej kieszeni kraj, z którego pochodzi koncern. Chodzi o tysiące miejsc pracy, które moglibyśmy sponsorować dla naszego kraju. I to jest właśnie ta mądrość gospodarcza.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2088586fa3

Ułóż własny budżet

Jacek Przybylski

Pieniądzom trzeba rozkazywać, a nie im służyć – twierdził już rzymski filozof Seneka Młodszy. Abyśmy to my mieli władzę nad pieniędzmi, a nie pieniądze nad nami, warto nauczyć się tworzenia domowego budżetu i racjonalnego zarządzania nim

Kontrola nad własnymi finansami zabezpiecza przed wpadnięciem w finansowe tarapaty i ułatwia spełnianie marzeń. Planując roczny budżet domowy, możemy bowiem obliczyć, jak długo i ile odkładać, aby uzbierać pieniądze na konkretny cel.

Ogólne zasady tworzenia budżetu są podobne zarówno w przypadku państwa i potężnej korporacji, jak i niewielkiego gospodarstwa domowego. Aby móc dobrze zarządzać pieniędzmi, trzeba wiedzieć dokładnie, ile ich mamy i ile wydajemy.

Podobnie jak w przypadku budżetu państwa budżet domowy dzieli się więc na dwie główne części: dochody i wydatki. Na dochód rozporządzalny (sumę przychodów pomniejszoną o podatki czy składki ZUS) gospodarstw domowych składają się:

1. dochody regularne – wynagrodzenie z pracy najemnej, dochody z własności (np. z tytułu wynajmowania mieszkania) i świadczeń społecznych;

2. dochody nieregularne – premie, wynagrodzenia z pracy sezonowej, dochody z inwestycji, w tym odsetki, spadki i darowizny oraz różnego rodzaju wygrane i prezenty.

Wydatki w domowym budżecie również można podzielić na:

1. stałe (sztywne), czyli takie, które musimy ponosić regularnie – np. czynsz za mieszkanie, opłaty za prąd, gaz, ogrzewanie i wodę, abonament na telefon

FOT. FOTOLIA

eprasa.pl 20355861a3

komórkowy, abonament na telewizję i Internet, raty kredytów, opłaty za przedszkole lub żłobek;

2. zmienne, których wysokość się zmienia (np. zakupy spożywcze, leki, paliwo do samochodu, ubrania i buty, zabawki, bilety do kina i teatru, wydatki na używki, prezenty świąteczne lub urodzinowe, remont, wakacje, zakup samochodu, pralki, lodówki, telewizora czy nowej sofy).

Gospodarstwo domowe powinno również uwzględniać m.in. zaliczki na podatek od dochodów osobistych, podatki od nieruchomości oraz opłaty za wieczyste użytkowanie gruntów, podatek od spadków i darowizn czy składki na ubezpieczenia społeczne.

DOMOWY MINISTER FINANSÓW

Wcielenie się w rolę rodzinnego ministra finansów wcale nie jest trudne. Wystarczy samodzielnie stworzyć proste formuły w arkuszu kalkulacyjnym albo posłużyć się długopisem i ręcznie w notesie lub zeszycie, czyli w bardziej tradycyjny sposób, planować finansową przyszłość rodziny. Aby ułatwić sobie codzienne zarządzanie domowym budżetem, można także skorzystać z różnego rodzaju narzędzi pomocniczych. Są wśród nich płatne lub bezpłatne programy komputerowe oraz aplikacje na telefony komórkowe. Można również skorzystać z darmowych narzędzi udostępnianych przez banki klientom korzystającym z bankowości internetowej lub aplikacji mobilnych.

Niezależnie od tego, w jaki sposób zdecydujemy się sporządzić domowy budżet, główne zasady będą takie same. Pierwszym krokiem w tworzeniu budżetu powinno być rozpisanie z jednej strony kartki czy arkusza kalkulacyjnego wszystkich dochodów, a z drugiej strony planowanych wydatków (dla ułatwienia późniejszego planowania możemy podzielić je na kilka kategorii, takich jak np. stałe opłaty, żywność, transport, odzież i obuwie, zdrowie, edukacja, rozrywka).

Gdy po spisaniu i podliczeniu dochodów oraz wydatków okazuje się, że zostaje nam jakaś rezerwa, to mamy do czynienia z nadwyżką. Jeżeli obie kwoty są równe, to znaczy, że nasz domowy budżet jest zrównoważony.

Z danych opublikowanych przez GUS wynika, że w I połowie 2016 r. gospodarstwa domowe osiągały znacznie wyższe dochody niż rok wcześniej. Uwzględniając dodatkowo dynamikę cen, poziom przeciętnego dochodu rozporządzalnego w gospodarstwach domowych zwiększył się w pierwszych dwóch kwartałach 2016 r. przeciętnie o 4,8 proc. w porównaniu z analogicznymi okresami roku poprzedniego. Gospodarstwa domowe wydawały też więcej niż rok wcześniej – po uwzględnieniu wskaźnika inflacji – przeciętnie o 3,2 proc. Ponieważ ich dochody rosły szybciej niż wydatki, gospodarstwa domowe więcej zaoszczędziły, odkładając 3,9 proc. dochodów.

Jeśli wydatki są wyższe niż dochody, to mamy do czynienia z deficytem. Finansowanie deficytu w przypadku gospodarstw domowych jest znacznie bardziej kosztowne niż w przypadku państw (a to z uwagi na względnie wysokie oprocentowanie kredytów), a przy braku dochodów z pracy lub majątku – niemożliwe na dłuższą metę. Deficyt można oczywiście pokryć z oszczędności trzymanych specjalnie z myślą o takich właśnie sytuacjach. Jeśli chcemy skorzystać z kredytu, to pamiętajmy, że każdy dług trzeba oddać wraz z odsetkami, nierzadko – zwłaszcza w przypadku firm pożyczkowych – wysokimi. Dodatkowo nie finansujmy jednego kredytu kolejnym, zwłaszcza wysoko oprocentowanymi „chwilówkami". To prosta droga do wpadnięcia w pętlę zadłużenia, która w skrajnych przypadkach może się skończyć nawet koniecznością ogłoszenia upadłości konsumenckiej. Umożliwia ono uwolnienie się od wszystkich długów, ale wiąże się też z utratą całego majątku. Według danych BIG InfoMonitor z możliwości ogłoszenia bankructwa skorzystało w 2016 r. ponad 4 tys. osób. Z ogłoszonych w styczniu 2016 r. danych BIG InfoMonitor wynika zaś, że najwyższe długi mają bankrutujący w wieku od 34 do 45 lat.

1 773,7 mld zł

STAN AKTYWÓW FINANSOWYCH GOSPODARSTW DOMOWYCH POD KONIEC CZERWCA 2016 R.

Gdy wiemy już dobrze, na co wydajemy pieniądze i ile zarabiamy, możemy zacząć rzeczywiste zarządzanie domowym budżetem. Nie będziemy już tylko spisywać wydatków, ale nauczymy się tak kontrolować pieniądze, aby pod koniec miesiąca nie okazało się, że znów wydaliśmy ich więcej, niż planowaliśmy. Aby to się udało, trzeba wnikliwie analizować swoje wydatki.

Warto też przygotować domowy budżet roczny. To w nim będziemy mogli zaplanować większe wydatki, np. na kupno nowego samochodu czy działki budowlanej, a następnie podzielić je na 12 miesięcy i zaplanować odpowiednią kwotę w kolejnych budżetach miesięcznych.

DOROBIĆ LUB ZACISNĄĆ PASA

Początkowo planowanie co miesiąc domowego budżetu może się wydawać czasochłonne i trudne. Szybko okaże się jednak, że jest to zadanie wyjątkowo proste, a bieżąca analiza wydatków – szczególnie jeśli jest dokonywana systematycznie – zajmuje nie więcej niż 10–15 minut każdego dnia, w zamian przynosząc bardzo wymierne korzyści. Trzeba jednak pamiętać o rodzinnej dyscyplinie finansowej, czyli przestrzeganiu wpisanych do budżetu założeń, monitorowaniu kosztów, a także o „nowelizacji" budżetu (zwłaszcza jeśli się okaże, że wydajemy istotnie więcej, niż wstępnie planowaliśmy).

Jeżeli w naszym domowym budżecie brakuje pieniędzy, to szukajmy dodatkowych źródeł dochodów. Można poprosić szefa o podwyżkę, wziąć więcej nadgodzin lub postarać się np. o dodatkowe zlecenia. Jeśli brakuje ofert w naszym zawodzie, to można dorobić, np. roznosząc ulotki, opiekując się dziećmi lub ludźmi starszymi, wykonując proste prace domowe (takie jak sprzątanie, a nawet wyprowadzanie psów na spacer) lub przeprowadzając uliczne ankiety.

Miłośnicy zdjęć mogą dorabiać, fotografując śluby, chrzciny i inne uroczystości, a osoby ze smykałką do aktorstwa zarobić na kręceniu filmików na YouTube. Nauczyciele i specjaliści biegli w danej dziedzinie mają też zawsze możliwość udzielania korepetycji. Ludzie z żyłką handlowca po godzinach mogą zaś dorabiać, np. sprzedając kosmetyki wśród sąsiadów i znajomych albo kupując za bezcen modne ubrania

eprasa.pl 2088586fa3

w sklepach z odzieżą używaną i sprzedając je drożej.

Na krótką metę pomóc mogą również przegląd posiadanych rzeczy i sprzedaż niepotrzebnych aparatów fotograficznych, starych telefonów komórkowych, książek, płyt czy zabawek. W ten sposób można jednocześnie zarobić dodatkowe pieniądze i pozbyć się zbędnych sprzętów.

Inną drogą jest zmniejszenie wydatków. Aby ułatwić sobie to zadanie, trzeba regularnie spisywać wydatki, żeby zobaczyć, w jakiej dziedzinie najprościej będzie nam znaleźć oszczędności. Warto wówczas przeliczyć wydatki w danej kategorii (np. na jedzenie na mieście czy używki) na czas, który musimy poświęcić, aby na te rzeczy zarobić – taki zabieg może pomóc nam w przekonaniu samych siebie do zrezygnowania z niektórych zbytecznych wydatków. W niektórych wypadkach wystarczy już samo stworzenie budżetu, aby zyskać motywację do rezygnacji z zachcianek i ograniczenia domowego deficytu.

Najlepiej, jeśli suma wszystkich sztywnych wydatków nie przekracza połowy dochodów. Wówczas łatwiej jest znaleźć pieniądze na pokrycie np. kosztów niespodziewanych awarii czy zdarzeń losowych (naprawy samochodu czy nagłej wizyty u dentysty etc.). Jeśli wydatki sztywne stanowią większość w budżecie, to warto ustalić priorytety i zrezygnować z usług, które nie są nam niezbędne. Można np. ograniczyć liczbę kanałów w telewizji kablowej, zrezygnować z telefonu stacjonarnego, zmniejszyć koszty związane z użytkowaniem telefonu komórkowego, poszukać darmowego konta bankowego, a także anulować karnet na siłownię, na której i tak nie byliśmy od kilku miesięcy, lub – jeśli jednak ćwiczymy regularnie – zamiast w modnym klubie zacząć trenować w domu, biegać po okolicznych parkach lub jeździć rowerem do pracy.

Sposobów na ograniczenie wydatków jest mnóstwo. Aby wyjść nad kreskę, wystarczy czasem np. zmniejszyć ilość pieniędzy, które tracimy na jedzenie na mieście (zabierając do pracy kanapki lub przygotowany w domu obiad do podgrzania w mikrofalówce, możemy zaoszczędzić nawet kilkaset złotych miesięcznie), ze znajomymi umawiać się w domu, a nie w kawiarniach. Nawet kilkadziesiąt procent zaoszczędzić można też, np. chodząc do kina w środku tygodnia, a nie w weekendy.

Aby nie tracić pieniędzy np. na niepotrzebne prowizje i odsetki, warto spłacać w terminie raty pożyczek i – zawsze w całości – zadłużenie na kartach kredytowych.

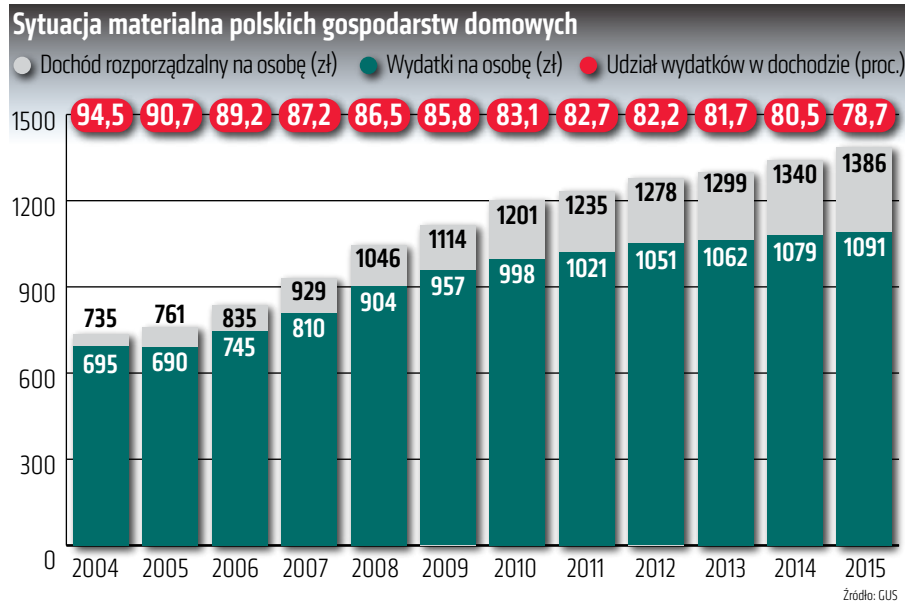

Rzetelnie przeprowadzony przegląd paragonów z ostatnich kilku tygodni może zachęcić do tego, aby roztropniej dokonywać zakupów spożywczych (według raportu Banków Żywności w Polsce wyrzuca się 9 mln ton jedzenia, co stawia nasz kraj na piątej pozycji wśród państw marnujących najwięcej jedzenia w Unii Europejskiej), nie kupować przedmiotów, które nie są nam niezbędne, a także ograniczyć zakup słodyczy, alkoholu i papierosów (wiele darmowych aplikacji na smartfony dla rzucających nałóg szacuje, ile pieniędzy zaoszczędził już były palacz na zerwaniu z uzależnieniem). Nawet niewielkie kwoty wydawane np. na papierosy czy na kawę w drodze do pracy w skali miesiąca, a zwłaszcza roku, urastają do znaczących sum (osoba wypalająca dziennie jedną paczkę puszcza z dymem ok. 5 tys. zł rocznie).

O co najmniej 10 proc. – a czasem nawet więcej – można zmniejszyć wydatki, kupując ubrania na wyprzedażach. Skutecznym sposobem na zmniejszenie wydatków jest też sporządzenie listy zakupów przed wyjazdem do hipermarketu, a także niezabieranie ze sobą na zakupy dzieci, którym trudno wytłumaczyć różnicę między zachciankami a prawdziwymi potrzebami.

Poza tym część niezbędnych produktów (np. artykuły chemiczne) można próbować kupić taniej w sklepach internetowych. Podczas zakupów w Internecie warto też korzystać z porównywarek, które pozwolą odnaleźć najniższą cenę tego samego produktu. Kupując te same produkty taniej, możemy zmniejszyć wydatki, w ogóle nie obniżając komfortu życia.

W podobny sposób możemy modyfikować swój budżet w razie nagłej obniżki dochodów (w przypadku kłopotów ze spłatą kredytu lub pożyczki warto skontaktować się z bankiem i zapytać o możliwość okresowego zawieszenia spłaty). Budżet warto zmodyfikować również wówczas, gdy nagle wzrosną nam dochody stałe lub gdy jednorazowo otrzymamy dodatkowe pieniądze (np. premię, spadek lub darowiznę). Nadwyżkę można wówczas przeznaczyć na oszczędzanie i inwestycje. Nawet przy stałym wzroście dochodów warto zaś brać przykład z wielu miliarderów, którzy choć na ich kontach są ogromne pieniądze, to nadal latają klasą ekonomiczną lub – jak Warren Buffett – na markowe produkty polują na wyprzedażach.

OSZCZĘDZANIE I INWESTOWANIE

Dobrze zaplanowany i konsekwentnie prowadzony budżet domowy przyniesie widoczne korzyści zarówno w przypadku osób samotnych, jak i dużych rodzin (według Kimberly Palmer, amerykańskiej specjalistki od finansów osobistych i autorki książki „Smart Mom, Rich Mom", w prowadzenie spraw finansowych gospodarstw domowych powinni być zaangażowani i mężczyźni, i kobiety).

Sprawne zarządzanie własnymi finansami pozwala bowiem nie tylko zapanować nad bieżącymi wydatkami i uniknąć wpad-

eprasa.pl 2088586fa3

FOT. FOTOLIA

nięcia w długi. Znacząco zwiększa także szanse na wygospodarowanie nadwyżek finansowych, nawet w gospodarstwach domowych o niskich dochodach. Prowadząc budżet, można bowiem zobaczyć, jak często bardzo nieprawdziwa jest wymówka: „Zarabiam za mało, żeby oszczędzać".

Ścisła kontrola dochodów i wydatków jest również bardzo przydatna dla osób dobrze zarabiających. Często bowiem ludzie, którzy zarabiają więcej, także więcej wydają. Bez odpowiedniego zarządzania i optymalizacji wydatków nawet duże pieniądze mogą więc błyskawicznie uciekać z konta, narażając zamożne osoby na niespodziewane pojawienie się „dziury budżetowej".

Kontrola wydatków sprawi, że nie będziemy „przejadać" nadwyżek, wydawać ich na różnego rodzaju przyjemności, dzięki czemu łatwiej będzie nam oszczędzać. Trzymanie dyscypliny w wydatkach i efektywne zarządzanie domowym budżetem mogą sprawić, że znajdziemy się w grupie 13 proc. Polaków, którym regularnie udaje się odkładać pieniądze, a nie tylko w grupie 70 proc., która jedynie deklaruje, że oszczędzać warto (według zeszłorocznego raportu „Postawy Polaków wobec finansów" opracowanego przez Fundację Kronenberga).

Systematyczna analiza przychodów i kosztów daje też przyjemne poczucie kontroli nad pieniędzmi. Ułatwia więc np. zbudowanie poduszki finansowej, która umożliwia utrzymanie dotychczasowego poziomu życia w razie nagłego zmniejszenia się dochodów. Jaka powinna być wielkość takiego „funduszu bezpieczeństwa"? Osoby, które mają umiejętności pozwalające w razie czego szybko znaleźć nową pracę, mogą pozwolić sobie na rezerwę w wysokości trzykrotności miesięcznych dochodów netto. Bezpieczniejszą wartością jest równowartość sześciokrotnych miesięcznych dochodów netto.

Z opublikowanego w zeszłym roku Finansowego Barometru ING wynika, że wielu oszczędzających spokojnie czuje się dopiero, gdy mają na rachunku sześciokrotność (16 proc. ankietowanych), dziewięciokrotność (5 proc.), 12-krotność (8 proc.) lub nawet powyżej 12-krotności miesięcznych dochodów netto (13 proc.).

679,5 mld zł

STAN ZOBOWIĄZAŃ GOSPODARSTW DOMOWYCH W II KW. 2016 R.

Porządna poduszka finansowa dodaje pewności siebie, przez co może pośrednio przyczynić się do zwiększenia dochodów. Mając oszczędności na koncie, łatwiej jest bowiem np. poprosić szefa o podwyżkę lub zaryzykować zmianę miejsca pracy. Warto pamiętać, aby fundusze stanowiące poduszkę finansową lokować w sposób bezpieczny i łatwo dostępny (nie lokujmy ich więc np. w akcjach).

Gdy będziemy już mieli zaoszczędzone pieniądze na czarną godzinę, dzieląc następne dochody, warto w budżecie zapisać istotną część na oszczędności celowe, które przybliżą nas np. do wyjazdu na egzotyczne wakacje czy kupna nowego samochodu.

Wolne środki można lokować np. na rachunkach oszczędnościowych (niektóre banki, aby ułatwić klientom oszczędzanie na konkretny cel, udostępniają w serwisach internetowych specjalne darmowe skarbonki lub umożliwiają zakładanie rachunków oszczędnościowych, których nazwy można dowolnie modyfikować), lokatach bankowych, w funduszach inwestycyjnych lub spróbować samodzielnie inwestować na giełdzie papierów wartościowych. Popularnym wyborem w czasach niskiego oprocentowania lokat jest też inwestowanie pieniędzy w nieruchomości przynoszące regularne przychody z wynajmu. Niezależnie od tego, który sposób wybierzemy, regularne prowadzenie budżetu domowego pozwala też na budowanie codziennych nawyków, które sprawiają, że oszczędzanie z czasem staje się łatwiejsze.

Część nadwyżek (np. 10–15 proc.) warto przeznaczyć też na inwestycje długoterminowe, np. na zakup nieruchomości, złota czy oszczędzanie na emeryturę (w tym przypadku warto rozważyć m.in. wpłaty na konta IKE i IKZE).

Dobrym sposobem na regularne, efektywne oszczędzanie jest zmiana strategii odkładania pieniędzy. Zamiast próbować chomikować to, co pod koniec miesiąca zostanie w portfelu lub na koncie, lepiej zapisać w budżecie konkretną kwotę (np. 200 zł) jako wydatek stały i odkładać ją regularnie już na początku miesiąca, np. wpłacając na konto oszczędnościowe lub wybrany fundusz inwestycyjny. Wówczas szansa na to, że te pieniądze rzeczywiście uda nam się zaoszczędzić, znacząco wzrośnie.

Oszczędzając i inwestując, pamiętajmy też o dywersyfikacji portfela. Innymi słowy, nie lokujmy wszystkich oszczędności w jednym miejscu. Jeśli za większość zgromadzonych pieniędzy kupujemy akcje, to na wszelki wypadek ulokujmy też część pieniędzy na bezpiecznych lokatach lub w rządowych obligacjach.

Oczywiście spodziewane zyski z lokat czy obligacji lub np. comiesięczne wpłaty do funduszy inwestycyjnych też umieszczamy w domowym budżecie. Spisując wszystkie przychody i wydatki, łatwiej jest bowiem o przemyślane decyzje inwestycyjne i rozsądniejsze wydatki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2088586fa3

FOT. FOTOLIA

Jak przekazać majątek bliskim?

Jacek Przybylski

Spadki i darowizny istotnie zmieniają sytuację finansową rodziny. Jakich formalności należy dopełnić? Co zrobić, aby móc skorzystać ze zwolnienia podatkowego?

Sposobem na przekazanie wybranej osobie majątku jest darowizna. Wiele osób woli bowiem jeszcze za życia przekazać np. dziecku mieszkanie, działkę czy dom. Przedmiotem darowizny mogą być oczywiście nie tylko nieruchomości, lecz także rzeczy (np. samochód, kolekcja książkowych białych kruków czy biżuteria), a także papiery wartościowe, pieniądze i inne składniki majątku. Kodeks cywilny mówi bowiem jedynie, że „przez umowę darowizny darczyńca zobowiązuje się do bezpłatnego świadczenia na rzecz obdarowanego kosztem swego majątku".

Warto jednak pamiętać, że zgodnie z polskim prawem darowizny, których spadkodawca dokonał za swojego życia, są z zasady w dziedziczeniu ustawowym zaliczane do masy spadkowej. Na przykład jeśli matka jeszcze za życia przekaże jednej z dwóch córek mieszkanie za 400 tys. zł, a po śmierci zostawi jeszcze oszczędności warte 600 tys. zł, to – zakładając, że spadkobiercami są tylko te dwie córki – obdarowana wcześniej córka dostanie 100 tys. (bo wartą 400 tys. nieruchomość dostała już wcześniej), a druga córka odziedziczy 500 tys. zł.

Darczyńca może jednak zastrzec, że darowizna, którą przekazuje, nie podlega zaliczeniu do schedy spadkowej.

Pod względem podatkowym darowizna i spadek podlegają jednakowym zasadom. W praktyce darowizna ma jednak tę zaletę, że umożliwia większą niż w przypadku spadku swobodę w obdzielaniu majątkiem konkretnej gałęzi rodziny, np. wnucząt czy prawnucząt. W przypadku spadku prawo do majątku po spadkodawcy przypadałoby wnukom czy prawnukom dopiero w sytuacji, gdyby dzieci spadkodawcy nie dożyły otwarcia spadku.

NIEZWYKLE KORZYSTNA ULGA

Co do zasady nabycie spadku lub otrzymanie darowizny wiąże się z obowiązkiem zapłaty podatku, którego stawki wahają się od 3 do nawet 20 proc. Od stycznia 2007 r. wielu spadkobierców i obdarowanych nie musi jednak płacić ani złotówki, nawet jeśli dostaną w darowiźnie lub odziedziczą w spadku zabytkowy pałac, luksusowy jacht czy 10 mln zł w gotówce.

Aby skorzystać z tej niezwykle korzystnej ulgi, wystarczy spełnić dwa warunki. Po pierwsze, trzeba być członkiem najbliższej rodziny darczyńcy lub spadkodawcy (do tzw. zerowej grupy podatkowej należą: małżonek, dzieci, wnuki, pasierbowie, rodzice, dziadkowie, ojczym, macocha, rodzeństwo). W tym przypadku do najbliższej rodziny nie są zaliczani teściowie, synowa czy zięć. Jeśli więc rodzice chcą przekazać np. mieszkanie swojemu synowi lub córce, to umowa darowizny powinna być sporządzona tylko na dziecko, z ominięciem jego żony czy męża.

Po drugie, należy dopilnować niezbędnych formalności. Zwolnienie od podatku nie następuje bowiem automatycznie. Aby móc z niego skorzystać, trzeba zgłosić właściwemu naczelnikowi urzędu skarbowego nabyte w drodze spadku lub darowizny rzeczy i prawa majątkowe. Na formularzu SD-Z2 wybieramy m.in. tytuł

eprasa.pl 2088586fa3

nabycia (np. spadek lub darowizna), rodzaj dokumentu potwierdzającego nabycie (np. testament, umowa, prawomocne orzeczenie sądu), dane dotyczące nabytego majątku (np. powierzchnię mieszkania czy szczegóły dotyczące samochodu), a także stopień pokrewieństwa łączący nas z darczyńcą lub ze zmarłym.

Trzeba pamiętać, żeby formularz SD-Z2 złożyć najpóźniej w ciągu sześciu miesięcy od uprawomocnienia się postanowienia sądu stwierdzającego nabycie spadku lub zarejestrowania przez notariusza aktu poświadczenia dziedziczenia albo wydania europejskiego poświadczenia dziedziczenia. Warto dopilnować tego terminu, ponieważ brak zgłoszenia lub spóźnienie się z jego złożeniem oznaczają utratę prawa do zwolnienia podatkowego.

W przypadku darowizny obowiązek podatkowy powstaje z chwilą złożenia przez darczyńcę oświadczenia w formie aktu notarialnego lub – jeśli umowy darowizny nie zawarto notarialnie – z chwilą spełnienia przyrzeczonego świadczenia. Jeżeli nabycie majątku następuje w częściach, to obowiązek podatkowy powstaje z chwilą nabycia poszczególnych części.

Formularza SD-Z2 nie trzeba jednak składać, jeśli suma darowizn od jednej z osób nie przekracza 9637 zł. Na przykład: jeżeli co roku dostajemy od ojca na urodziny 2 tys. zł, to dopiero w piątym roku będziemy musieli zgłosić ten fakt do urzędu skarbowego.

Przy darowiznach pieniężnych trzeba również bezwzględnie pamiętać o tym, że aby skorzystać ze zwolnienia podatkowego, darowizna nie może być wręczona w gotówce. Darczyńca musi wykonać przelew na konto bankowe obdarowanego, jego rachunek w SKOK lub podarować je za pomocą przekazu pocztowego. Warto o tym pamiętać, ponieważ w tej kwestii fiskus jest nieubłagany. Nawet w przypadku zawarcia pisemnej umowy darowizny albo wpłaty przez obdarowanego pieniędzy na konto już po otrzymaniu gotówki od darczyńcy urzędnicy skarbowi i tak mogą zażądać podatku, nawet przy dotrzymaniu terminu zgłoszenia.

BLIŻSZA RODZINA PŁACI MNIEJ

Jeśli powiadomienie na formularzu SD-Z2 nie zostanie złożone lub zostanie złożone po terminie albo jeśli darowizna pieniężna zostanie przekazana z ręki do ręki, to podatek trzeba zapłacić na zwykłych zasadach. Podatek płaci się według skali podatkowej, a wysokość daniny zależy od stopnia pokrewieństwa.

Do pierwszej grupy podatkowej należy najbliższa rodzina, czyli:

– małżonkowie,

– zstępni, czyli dzieci, wnuki, prawnuki;

– wstępni, czyli rodzice, dziadkowie, pradziadkowie;

– rodzeństwo, pasierb, zięć, synowa, ojczym, macocha, teściowie.

Do drugiej grupy podatkowej należą członkowie dalszej rodziny:

– zstępni rodzeństwa, czyli dzieci, wnuki, prawnuki rodzeństwa;

– rodzeństwo rodziców;

– zstępni i małżonkowie pasierbów;

– małżonkowie rodzeństwa i rodzeństwo małżonków;

– małżonkowie rodzeństwa małżonków oraz małżonkowie innych zstępnych.

Pozostali nabywcy rzeczy i praw majątkowych, czyli osoby niespokrewnione, należą do trzeciej grupy podatkowej.

Najniższy podatek płacą osoby z grupy pierwszej, najwyższy – z grupy trzeciej. Podobna zasada dotyczy wysokości kwoty wolnej od podatku. W przypadku pierwszej grupy jest ona najwyższa i wynosi 9637 zł. W ramach drugiej grupy kwota wolna to 7276 zł, a w trzeciej wynosi 4902 zł. Tyle więc w sumie, w ciągu pięciu lat, możemy otrzymać od jednej osoby, aby nie płacić podatku.

Zarówno stawki, jak i przysługujące podatnikowi kwoty wolne obowiązują bez względu na to, co jest przedmiotem spadku czy darowizny. Jeśli w danym roku otrzymamy np. spadki po dwóch różnych osobach i darowiznę od trzeciej, to podane kwoty wolne mają zastosowanie do każdego przypadku z osobna. W każdym przypadku z osobna płaci się należny podatek od nadwyżki ponad kwotę wolną, pamiętając o różnych stawkach w zależności od grupy podatkowej (np. w pierwszej grupie stawki wahają się od 3 do 7 proc., a w trzeciej – od 12 do 20 proc.).

TO URZĄD WYLICZA PODATEK

Jeżeli w ciągu pięciu lat przekroczymy kwotę wolną, to musimy złożyć w urzędzie skarbowym formularz SD-3. W przeciwieństwie jednak do podatku dochodowego nie wyliczamy podatku sami, lecz czekamy na decyzję urzędu skarbowego, który sam wylicza wysokość należnej daniny. Podatek płaci się w ciągu 14 dni od otrzymania decyzji od fiskusa (jeśli nie zgadzamy się z jego wysokością, to mamy prawo odwołać się od decyzji).

Zeznania podatkowego SD-3 nie trzeba składać, jeżeli umowę darowizny zawarto w formie aktu notarialnego (najczęściej taką formę ustanowienia darowizny wybiera się w przypadku przekazywania nieruchomości). Wówczas to notariusz oblicza i pobiera podatek, a także przekazuje wszelkie informacje do urzędu skarbowego. Warto jednak wiedzieć, że wyliczony przez notariusza podatek nie musi być ostateczny. Pracownicy fiskusa mogą np. zakwestionować zapisaną w akcie wartość nieruchomości, jeżeli jest niezgodna z wartością rynkową, nakazać jej podwyższenie i tym samym dopłatę podatku.

I ostatnia informacja: darowizny na rzecz członków rodziny – w przeciwieństwie do darowizny np. na organizacje charytatywne – darczyńca nie może odliczyć od dochodu, rozliczając podatek dochodowy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Sposób wyliczania podatku od spadków i darowizn

Kwoty nadwyżki	I grupa podatkowa	II grupa podatkowa	III grupa podatkowa
do 10 278 zł	3 proc.	7 proc.	12 proc.
od 10 278 do 20 556 zł	308,30 zł i 5 proc. nadwyżki ponad 10 278 zł	719,50 zł i 9 proc. nadwyżki ponad 10 278 zł	1233,40 zł i 16 proc. nadwyżki ponad 10 278 zł
powyżej 20 556 zł	822,20 zł i 7 proc. nadwyżki ponad 20 556 zł	1644,50 zł i 12 proc. nadwyżki ponad 20 556 zł	2877,90 zł i 20 proc. nadwyżki ponad 20 556 zł

eprasa.pl 2088586fa3

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Świat mówi: sprawdzam

Nie do końca przewidywalny Putin w Rosji, odmiennie od swych niedawnych poprzedników traktujący świat prezydent USA Trump, Brytyjczycy rozwodzący się z Unią Europejską, niemal bezkarnie panoszący się po Starym Kontynencie terroryści i do tego wielka niewiadoma w wyborach we Francji, a być może także w Niemczech, gdzie Schulz rzucił rękawicę Merkel. A co za tym idzie – chyboczące się NATO i UE.

Cóż, życie od czasu do czasu mówi: sprawdzam. Tak było, jest i będzie, a kto o tym zapomina, kto w przerwach między owymi nieuchronnymi sprawdzianami pozwala sobie na lekkomyślność wybierania do władzy lekkoduchów, specjalistów od „ciepłej wody w kranach", zaprzysięgłych pacyfistów i „postępowców" albo najzwyczajniejszych głupców, ten musi się liczyć z tym, że za którymś razem jego państwo takiego sprawdzianu nie zda. A co za tym idzie – przegra pokój, w gorszym przypadku – wojnę, w jeszcze gorszym – straci suwerenność, a w najgorszym – w ogóle przestanie istnieć.

I akurat Polakom, którzy wszystkie te przypadki w ciągu ostatnich 250 lat przećwiczyli na własnej skórze, niektóre po wielekroć, zdawałoby się, nie trzeba tego tłumaczyć. A jednak, niestety, wiele na to wskazuje – trzeba, bo albo pamięć mają zadziwiająco krótką, albo nie potrafią z tego, co zapamiętali, wyciągać właściwych wniosków.

Gdyby bowiem Polacy mieli dobrą pamięć i potrafili wyciągać właściwe wnioski, nigdy nie dopuściliby do władzy tych, którzy ich ojczyznę niemal do cna rozbroili. A w związku z tym Polska miałaby dziś nieporównanie silniejszą armię, Polacy zaś nie musieliby tak drżeć przed niewiadomym, jak drżą teraz, i oglądać się na innych, prosząc o zapewnienie ochrony.

Gdyby Polacy mieli dobrą pamięć i umiejętność właściwego wnioskowania, nigdy w życiu nie powierzyliby władzy tym, którzy wystawili ją na żer kremlowskiej broni gazowej. A w związku z tym od kilkunastu lat Polska cieszyłaby się własnym gazociągiem ze Skandynawii – umowę na jego budowę zawarto za czasów rządu Jerzego Buzka – dzięki czemu moglibyśmy dziś dużo spokojniej przyglądać się coraz jawniejszej zmowie Niemiec i Rosji w sprawie gazociągu Nord Stream, wymierzonego wprost w bezpieczeństwo m.in. naszego kraju.

Ba, gdyby Polacy mieli dobrą pamięć i umiejętność dbania o swe interesy, za nic na świecie nie oddaliby władzy tym, którzy rządzili tak, że 5 proc. Polaków wyemigrowało z Polski i nie chce do niej wrócić. Którzy zadłużyli Polskę po uszy, wprowadzili jeden z najbardziej skomplikowanych systemów podatkowych na świecie, nie potrafili zbudować ani sprawnego systemu emerytalnego, ani ochrony zdrowia itd.

Gdyby Polacy mieli dobrą pamięć i potrafili dbać o swoje interesy, wiedzieliby, że jeśli chce się w życiu liczyć na kogoś, to trzeba liczyć na siebie. Wyłącznie na siebie. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Ekonomia Trumpa

Nieformalny rząd światowy, sieci wpływów, grupa Bilderberga, lepsi ludzie z forum w Davos, wszyscy są w szoku. Dlaczego? Ponieważ prezydent Trump realizuje obietnice wyborcze. Od lat wiadomo było, że politycy obiecują ludziom zmiany na lepsze, a po wyborach wykonują polecenia grup wpływów. Trump się wyłamał. Miał być mur, więc będzie. Miał być zakaz wjazdu dla ludzi z wybranych krajów arabskich, jest. Miały być cła importowe i wypowiedzenie międzynarodowych umów handlowych i to się dzieje. Miało być karanie firm amerykańskich za przenoszenie produkcji do innych krajów i jest.

Gdyby nie polityka ochrony rynku, Korea Południowa do tej pory byłaby biednym krajem

Żeby zrozumieć, jakie będą konsekwencje gospodarcze polityki Trumpa, trzeba przeczytać książkę Josepha E. Stiglitza „Creating a Learning Society". Stiglitz, członek wspomnianych elit i zagorzały krytyk Trumpa, napisał książkę, która wyjaśnia, dlaczego polityka prezydenta USA będzie bardzo skuteczna.

Główna teza wspomnianej książki jest następująca. W XXI w. najważniejszy jest proces uczenia się. Kraje, które odnoszą sukcesy, to te, w których proces uczenia się jest najbardziej efektywny. Najważniejszy etap uczenia się to „learning by doing", czyli próbowanie. Produkowania samochodów dany kraj nie nauczy się, uruchamiając kierunek produkcji samochodów na uczelniach, ale podejmując próbę produkcji. Oczywiście jeżeli sektor jest nowy – lub stary, ale nieefektywny – to nie ma szans na rozwój, jeżeli rząd nie zapewni mu ochrony w postaci barier handlowych. Z czasem, gdy sektor stanie się globalnie konkurencyjny, bariery można usunąć, cła znieść.

Stiglitz pokazuje przykład Korei Południowej, która historycznie miała przewagę konkurencyjną w produkcji ryżu. Gdyby nie polityka ochrony rynku, Korea do tej pory byłaby biednym krajem produkującym bardzo efektywnie ryż. Na skutek mądrej polityki przemysłowej, barier handlowych i wsparcia państwa Korea stała się jednak światową potęgą w przemyśle samochodowym i elektronice. Taka polityka pozwala na stworzenie milionów dobrze płatnych miejsc pracy w bardziej wydajnych sektorach. Korzysta na tym nie tylko Korea, lecz także cały świat, bo pojawili się nowi producenci samochodów i elektroniki, wzrosła globalna konkurencja, co prowadzi do wzrostu jakości towarów i spadku ich cen. Korzystają z tego konsumenci na całym świecie.

Polecam książkę Stiglitza jako lekturę obowiązkową wszystkim ministrom obecnego rządu w Polsce. ©℗

Autor jest rektorem Narxoz University w Ałma Acie w Kazachstanie.

eprasa.pl 2088586fa3

TYGODNIK POLSKIEGO DO RZECZY

CZYTAJ CO TYDZIEŃ W LEPSZEJ CENIE ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"
+ KSIĄŻKA KATARZYNY PINKOSZ
„WYBUDZENIA. Powrót do życia - polskie historie."

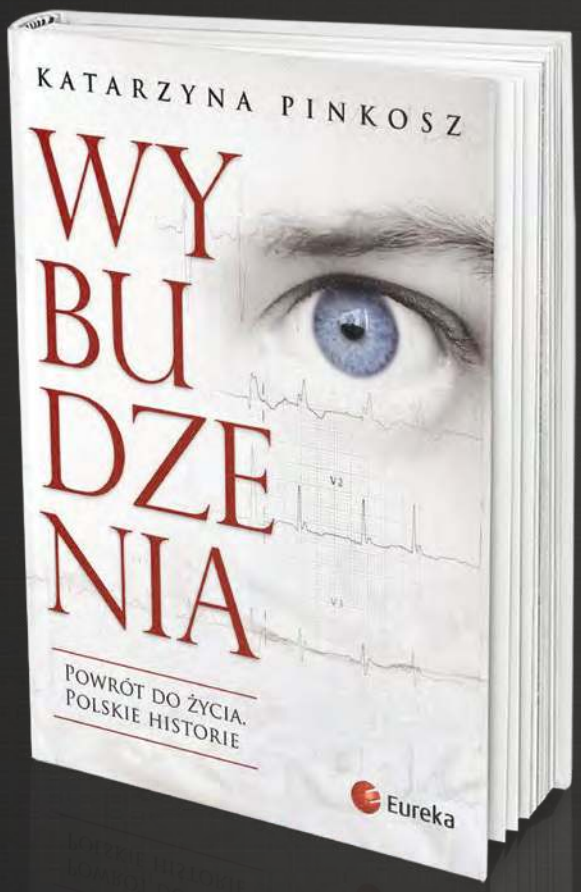

O życiu decydują sekundy. Wypadek, udar, zakrztuszenie: co roku kilkanaście tysięcy osób w Polsce zapada w śpiączkę. Co powoduje, że niektórzy się z niej budzą, choć lekarze nie dawali im szans?

Rodzicom Agnieszki Terleckiej sugerowano, że jej serce czy nerka może komuś uratować życie. Agnieszka wybudziła się i skończyła studia.

Reżyser Mariusz Kobzdej po ośmiu miesiącach w głębokiej śpiączce wrócił do życia.

Żużlowca Piotra Winiarza wybudził warkot motoru.

Trzynastoletniego Dawida – gol strzelony przez Cristiano Ronaldo.

„Wybudzenia" to poruszające historie osób, które wyszły ze śpiączki i tych, którzy nadal o to walczą, tak jak Ola - córka Ewy Błaszczyk. Połowa osób nazywanych czasem „roślinami" czuje, widzi, słyszy. Gdzie są, kiedy wydaje się, że „tu" ich nie ma?

„Wybudzenia" to też niezwykłe rozmowy z ludźmi, którzy przeciągają śpiących na „naszą" stronę, to pytania o sens życia, jego wartość i o to, kiedy rzeczywiście jest jego koniec.

135 zł

oszczędność 84 zł

www.prenumerata.dorzeczy.pl

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO:
62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o.
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa.

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem tygodnika.

WIĘCEJ INFORMACJI:
E-MAIL: **prenumerata@point-group.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **www.prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 2088586fa3

TEST „DO RZECZY": INKBOOK PRIME

Nowy czytnik wrocławskiej firmy Arta Tech to ciekawa alternatywa dla popularnych modeli Kindle.

Czarna obudowa wygląda elegancko i jest przyjemna w dotyku. Sam czytnik ma niewielkie wymiary (159 x 114 x 9 mm) i jest dosyć lekki (168 g).

Ekran został zintegrowany z czarną ramką, co robi dobre wrażenie. Sześciocalowy wyświetlacz ma rozdzielczość 1024 x 768 pikseli (212 pikseli na cal) – to więcej niż wystarczająco, aby czytać e-booki. Czytniki konkurencji mogą jednak pochwalić się lepszą rozdzielczością (np. niewiele droższy Kindle Paperwhite 3 ma już ekran o rozdzielczości 1440 x 1080, czyli 300 ppi).

Zaletą modelu Prime jest bezpieczne dla wzroku doświetlenie ekranu, które pozwala czytać nie tylko przy świetle słonecznym, lecz także po zmroku bez konieczności szukania lampek czy zapalania górnego światła. Panel jest doświetlony równomiernie, nie ma cieni. Poziomy doświetlenia można zwiększać lub zmniejszać (np. aby móc doczytać do końca rozdział, gdy mąż lub żona chcą już spać). Ghosting występuje rzadko i nie jest specjalnie uciążliwy.

Strony zmienia się za pomocą gestów na ekranie dotykowym lub korzystając z fizycznych przycisków (po dwa z każdej strony czytnika). Te ostatnie mogłyby jednak działać dużo lepiej. Zdarza się bowiem, że aby przewrócić stronę, trzeba nacisnąć przycisk kilka razy. Same przyciski sprawiają też wrażenie mało solidnych.

Czytnik wyposażony jest w pamięć o pojemności 8 GB. Po odjęciu plików systemowych dla użytkownika zostaje ok. 6 GB, co wystarczy na wiele tysięcy e-booków. W razie potrzeby można zaś tę pamięć rozszerzyć za pomocą karty microSD (do 32 GB) lub skorzystać z miejsca w chmurze. Akumulator o pojemności 2 tys. mAh pozwoli korzystać z czytnika nawet kilka tygodni na jednym ładowaniu.

InkBOOK Prime jest wyposażony w czterordzeniowy procesor. I chociaż teoretycznie do czytania nie potrzeba wielkiej mocy obliczeniowej, to lepszy procesor sprawia, że czytnik działa szybciej i płynniej, np. gdy chcemy uruchomić kolejną aplikację.

Dla tych, którzy chcą ściągnąć na czytnik dodatkowe aplikacje, istotną zaletą inkBOOK jest system Android (niestety, w przestarzałej wersji 4.2.2). Czytnik potrafi otworzyć wiele formatów e-książek, m.in. PDF, EPUB czy MOBI, TXT, RTF lub FB2. E-booki można pobrać przez Wi-Fi lub wgrać z komputera przez kabel USB. Możemy też korzystać z aplikacji takich sklepów z e-bookami jak Midiapolis.pl (preinstalowany), a także Amazon Kindle, Kobo, Nook czy Skoobe. Model Prime ma też wbudowany moduł Bluetooth. Cena: 599 zł. ©℗

Jacek Przybylski

GRAMOFON NA KÓŁKACH

Kiedy kaseta magnetofonowa zamordowała płytę gramofonową i „adaptery" zniknęły ze sklepów (tak, tak, był taki czas), moim rodzicom zostały w schowku stare kolekcjonerskie płyty, niekiedy unikatowe. W końcu wszystkie trafiły do raju starych płyt, czyli mówiąc wprost – na przemiał, a dziś... Dzisiaj załamuję nad tym ręce. Nie tylko gramofony wróciły w wielkiej chwale. Na rynku pojawi się klocek, który pozwoli słuchać muzyki z płyt winylowych. Urządzenie to nosi nazwę RokBlok i jest wykonanym z MDF bardzo niewielkim prostopadłościanem ważącym zaledwie 9 dag. RokBlok kładziemy na płycie winylowej, podnosimy antenkę, co powoduje opuszczenie specjalnej igły – wtedy urządzenie zaczyna, na maleńkich gumowych kółkach, krążyć po płycie, odtwarzając dźwięk wbudowanymi w niego głośnikami. Jakość dźwięku nie jest zła, pasmo przenoszenia wynosi od 20 do 20 tys. Hz, w dodatku można za pomocą Bluetooth sparować RokBloka z głośnikiem. Bateria, zdaniem producenta, wystarczy na cztery godziny odtwarzania. Sprzedaż ruszy we wrześniu, a cena gadżetu wynosić będzie ok. 350 zł.

KOSZULKA DO FITNESSU

Przyznaję, na bieganie w T-shircie na świeżym powietrzu jest jeszcze zdecydowanie za wcześnie. Od czego są jednak sale gimnastyczne i domowe bieżnie? Polar Team Pro Shirt to koszulka wyjątkowa, bo wyposażona w czujniki umożliwiające monitorowanie funkcji życiowych, a także pracy mięśni. Wszystko dzięki specjalnym włóknom, z których jest wyprodukowana, powodujących, że T-shirt ściśle przylega do ciała, pozwalając na analizę parametrów ruchu, przyspieszenia, pokonanego dystansu i szybkości. Polar Team Pro Shirt współpracuje ze sportowymi smartwatchami dzięki specjalnej aplikacji, a do sprzedaży trafi w marcu. ©℗

Wojciech Wybranowski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 2088586fa3

Daj się obedrzeć ze skóry – peeling cz. I

Jedną z najstarszych procedur, które można zakwalifikować jako zabiegi medycyny estetycznej, jest peeling.

Wydawało się, że w klasycznej postaci polegającej na aplikacji na skórę różnych płynów czy substancji stracił na znaczeniu wraz z pojawieniem się różnego rodzaju laserów i innych urządzeń o podobnym działaniu. Nie odbierając znaczenia tym nowym urządzeniom klasyczny peeling pozostaje nadal jedną z podstawowych „terapii" w medycynie estetycznej.

Peeling w sensie medycznym oznacza abrazję, czasowe „uszkodzenie" naskórka lub głębiej położonych warstw skóry poprzez aplikację środka chemicznego (generalnie różnego rodzaju kwasów) lub za pomoc środków fizycznych, takich jak materiały „ścierne", płyn pod dużym ciśnieniem lub laser.

Peelingi chemiczne zawierają substancje, które mają specyficzne działanie i muszą być poddane uważnej analizie.

Celem peelingu jest poprawa stanu skóry, nadanie skórze większej „świetlistości", poprawa jej napięcia,nawilżenia i unaczynienia.

Główne wskazania do tego zabiegu to: usunięcie najbardziej zewnętrznej warstwy naskórka, poprawienie „nierówności"skóry, usunięcie zmian powstałych na skutek rogowacenia, zmian barwnikowych, najdrobniejszych zmarszczek i spłycenie tych większych, zmniejszenie „porów" skóry, regulacja wydzielania łoju, spłycenie blizn potrądzikowych i innych. Odpowiednio dobrany może wpłynąć korzystnie na trądzik.

Ponadto aplikując mocniejsze peelingi działające bezpośrednio na głębsze warstwy skóry, uzyskujemy efekt stymulujący jej procesy odnowy poprzez zwiększenie produkcji kwasu hialuronowego, kolagenu i elastyny, co w konsekwencji daje efekt rewitalizujący i napinający.

Peelingi można podzielić w zależności od głębokości „uszkodzenia" skóry na bardzo powierzchowne, powierzchowne (dotyczy całego naskórka), średnio głębokie i głębokie, które dotyczą głębszych warstw skóry. Zależy to do substancji chemicznych tworzących peeling,stanu skóry, czasu aplikacji i innych czynników. Czym głębsze tym efektywniejsze ale i bardziej ryzykowne.

Peelingi są dosyć powszechnie używane w gabinetach kosmetycznych i myślę, że kosmetyczki bezpiecznie mogą aplikować te, które mają najbardziej powierzchowne działanie.

Peelingi głębiej działające są wskazane dla lekarzy, gdyż proces gojenia wymaga czasami kilkudniowej rekonwalescencji i mogą być potrzebne inne terapie lekarskie. ***Cdn.***

dr Andrzej Ignaciuk
– prezes Polskiego Towarzystwa Medycyny Estetycznej i Anti-Aging PTL
www.drignaciuk.pl

NOWOŚĆ
AntiAging
DR.CYJ HAIR FILLER
Hair cell and scalp revitalization
Pierwsza na świecie peptydowa terapia włosów
Spektakularne efekty już po 2 miesiącach! Tylko 4 sesje co 2 tygodnie!
Rekomendowany dla kobiet i mężczyzn
Rewolucyjna formuła siedmiu peptydów i kwasu hialuronowego
• Powstrzymuje wypadanie włosów
• Skuteczny w walce z alopecją
• Przyspiesza odrost włosów
• Pogrubia i zagęszcza włosy
• Pobudza krążenie i poprawia ukrwienie skóry głowy
• Rewitalizuje mieszki włosowe
• Pielęgnuje skórę głowy
• Wzmacnia włosy przed i po przeszczepie
pogrubianie
pielęgnacja
odbudowa
wzrost
blask
zagęszczanie
rewitalizacja
DR.CYJ Hair Filler
Technologia przedłużonego uwalniania i wnikania substancji aktywnych - działa jeszcze 14 dni po aplikacji
Dekapeptyd-10; Oktapeptyd-11; Oktapeptyd-2
• Pobudzenie angiogenezy w obrębie mieszków włosowych
• Zahamowanie apoptozy
• Stymulacja wzrostu włosa
Dekapeptyd-18; Dekapeptyd-28
• Aktywacja wzrostu włosa poprzez białka Wnt
• Pobudzenie komórek macierzystych
• Namnażanie keratynocytów
Oligopeptyd-54; Oligopeptyd-71
• Zablokowanie wpływu DHT powodującego łysienie
• Zatrzymanie wypadania włosów
• Przywrócenie pigmentacji włosów
Generalny Importer na Polskę:
AntiAging Institute Sp. z o.o.
ul. Królowej Marysieńki 9 lok. 14
02-954 Warszawa, tel./fax: 22 842 06 94
www.AntiAging.com.pl
AntiAging

eprasa.pl 2088586fa3

JACEK KOMUDA

PODRÓŻE SARMACKIEGO KUCHMISTRZA

Nie strzelać do portretów!

Jednym z najciekawszych filmowych poczęstunków jest wieczerza, jaką zajada w Wodoktach Andrzej Kmicic z Oleńką w „Potopie". Bohater zaczyna od kiełbas i kiszek na półmisku, które znane były w Polsce od przynajmniej 200 lat. Kiełbasa uchodziła jednak za danie plebejskie i prostackie. W „Compendium ferculorum" Stanisława Czernieckiego wymieniona jest przede wszystkim jako składnik różnych dań. Jeśli chodzi o kiełbasy – że tak powiem – wykwintne, to autor radzi robić je np. z sarniej polędwicy, łoju, rodzynków, pieprzu, cynamonu, cukru i soli. Najbliższe naszym to chyba tzw. wiedeńskie, z mięsa wieprzowego siekanego drobno „jak mak", z pieprzem, solą, czosnkiem, nakładane w cienkie kiełbaśnice albo kiszki baranie, następnie pieczone albo warzone.

O wiele bardziej różnorodne są przepisy na kiszki, które mogą być z kruszek, czyli wnętrzności cielęcych, lub z usiekanego drobno kapłona, jelenia albo daniela. Najciekawsze zaś – na słodko – z mleka, jajek, cukru, cynamonu, pieprzu i rodzynków; najpierw gotowane, a potem przypiekane na ruszcie.

Skończywszy z kiełbasami i kiszkami, Kmicic zabiera się do wędzonego udźca, następnie zaś podają mu pieczoną gęś – być może właśnie tę „na czarno", o której wspominał Jędrzej Kitowicz, że przydawano jej barwy od wiechcia upalonej słomy wydobytej z... buta kucharza. „Wyborny półgęsek" – podsumowuje pan Andrzej i popełnia błąd historyczny. Półgęskiem nie nazywano bowiem gęsi, ale potrawę przygotowywaną z jej piersi, peklowanej i wędzonej.

Przyjechawszy później do Lubicza, bohater bawi się w towarzystwie „kmicicowej" kompanii, typowych oficerów i towarzyszy lekkiej jazdy XVII w., moich ukochanych bohaterów „Potopu". Jadło jest tu prostackie – pieczona świnia, do picia zaś żmudzki miód. Miód już w średniowieczu był specjałem nad specjały, w czasach Kmicica znano go kilkanaście rodzajów i mieszano z sokiem z owoców. Były więc wiśniak, maliniak, jednak oficerowie pana Andrzeja pili z całą pewnością biały lipiec kowieński, bardzo popularny na Litwie. Wydaje się też, że na stole stoi we flaszy jakaś czerwonawa gorzałeczka, zapewne różana, chociaż – jak podaje Gloger – na Litwie ceniono przede wszystkim starą prostą żytniówkę nalewaną w dębowe beczki, zwłaszcza te po winie.

Biesiadę kończy strzelanina do portretów panów Billewiczów, której jednak pod żadnym pozorem odtwarzać nie radzę! Wiedziony ciekawością sam kiedyś strzeliłem z repliki XVII-wiecznego pistoletu ołowianą kulą do ściany w moim dworze w Bachowie. Nie wiem, czy był to zły traf, czy akurat trafiłem w nieodpowiednie miejsce albo pod zbyt ostrym kątem, ale kula odbiła się od wysuszonych, jodłowych bali! ©℗

FOT. FOTOLIA

Kiełbasy sarnie z Wodoktów

Bierzemy polędwicę sarnią, mielimy drobno, dorzucamy trochę siekanego sadła, rodzynków, pieprzu, cynamonu, soli (można i cukru), mieszamy wszystko w misie, nakładamy w kiełbaśnicę, czyli w wieprzowe, wypłukane flaki. Gotujemy w winie z solą lub po prostu pieczemy, włożywszy w rondel, do którego dodajemy trochę masła albo sadła. Kiełbasę można też usmażyć na słoninie.

Gęś z czosnkiem, ale nie półgęsek

Pieczemy w piekarniku albo na rożnie całą gęś, polewając ją od czasu do czasu masłem. Bierzemy garść migdałów, oparzamy je i obłupiamy, obieramy ze skórki główkę czosnku lub dwie, następnie gotujemy go w wodzie, rozgniatamy na masę, podobnie jak migdały. Uwaga! Nie mieszamy ich z czosnkiem. Tak samo przygotowujemy kilka kwaśnych jabłek, obieramy, kroimy cienko, gotujemy w wodzie, a później rozgniatamy na masę. Bierzemy trochę białego chleba, także go rozgniatamy, dodając jabłka i migdały, wrzucamy rozgnieciony czosnek i zalewamy dużą ilością octu winnego rozrobionego z wodą. Wszystko to gotujemy, następnie mieszamy z tłuszczem, który wytopił się z gęsi, polewamy mieszaniną pieczonego ptaka i podajemy na stół.

eprasa.pl 2088586fa3

WĄTRÓBKI W WINIE WEDŁUG PRZEMYSŁAWA BABIARZA

Nie posiadam nadzwyczajnych umiejętności kulinarnych, w zasadzie zacząłem gotować z musu wynikającego z tego, że przez pewien czas mieszkałem sam. Jak to człowiek na studiach czy zaraz po nich, kiedy musi spróbować, bo wcześniej korzystał z tego, że gotowała mu mama czy babcia. Z tamtego czasu mam kilka wyjątkowo nieudanych eksperymentów kulinarnych. Chyba najgłupszym była próba podgrzania konserwy rybnej. Wyniknęło to z nieporozumienia. Pewnego dnia koleżanka przywiozła do akademika konserwę, zostawiła ją we wspólnej kuchni, mówiąc, że jest to „porcja obiadowa". Jakiś czas później, gdy nie miałem czego włożyć do garnka i przypomniałem sobie o tej konserwie, potraktowałem jej opis dosłownie i próbowałem zawartość puszki podgrzać. Okazało się, że była to ryba w occie, a podgrzewanie na patelni ryby w occie daje fatalne skutki, a to, co powstaje, nie nadaje się do jedzenia. Ostatnio w kuchni robię jedynie śniadania i kolacje, ale kiedyś dość często przyrządzałem potrawę, która się sprawdza i jest rzeczywiście smaczna. To kurze wątróbki z jabłkiem w białym winie. Smak tej potrawy to przełamanie słonego i słodkiego, zbliżony do słodyczy. Ostatni raz przygotowywałem ją kilka lat temu z okazji zdanego egzaminu mojej córki, więc nie pamiętam dokładnych proporcji wątróbek do jabłek, ale można to sprawdzić w przepisach w Internecie lub działać wedle gustu.

Składniki:

- 1 kg wątróbek drobiowych
- jabłka
- pół szklanki białego wytrawnego wina
- tłuszcz do smażenia (może być olej), mąka, sól

Przygotowanie:

Oczyścić wątróbki z wszelkich błon i żyłek, a następnie zalać mlekiem i odstawić na 2 godz. Jabłka pokroić na cząstki. Podgrzać tłuszcz na patelni. Wątróbki obtoczyć w mące i wrzucić z kawałkami jabłek na rozgrzaną patelnię. Obsmażać nie dłużej niż 2–3 min (chodzi o to, żeby w wątróbkach pozamykać pory i żeby jabłko puściło sok). Całość z patelni przerzucić do naczynia żaroodpornego i dodać pół szklanki białego wytrawnego wina. Dusić w piekarniku ok. godziny w temperaturze 200 st. C. Podajemy same, z chlebem lub na ziemniakach purée, które polewamy sosem z naczynia. Solimy dopiero na talerzu, ponieważ wątróbki posolone wcześniej będą twarde. ***(not. raw)*** ©℗

Przemysław Babiarz jest dziennikarzem i komentatorem sportowym, związanym z TVP.

FOT. KRZYSZTOF KUCZYK/FORUM

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

JOANNA BOJAŃCZYK

Jedz fasolę

W nauce o żywieniu nic nie jest wieczne. 10 lat temu ukazały się zalecenia jedzenia pięciu porcji warzyw i owoców dziennie. Teraz pora na nowe instrukcje. Po czterech latach badań opublikowała je ANSES, francuska agencja ds. zdrowia i higieny. Dotyczą osób dorosłych. Niektóre z zaleceń są już znane, teraz je uściślono.

Zatem: nie powinniśmy jeść więcej niż 25 g wędlin i 500 g mięsa dziennie (dwa spore befsztyki). Zaznaczono, że są to ilości graniczne, narażające nas na spore ryzyko zachorowania na raka jelita. Aby tego uniknąć, możemy po prostu białko zwierzęce zastąpić roślinnym. Stąd zalecenie: jedzmy fasolę. Soczewica, bób, cieciorka, jaś są zdrowsze i tańsze niż mięso. A do tego wszelkie nieoczyszczone produkty zbożowe. Takie menu pomaga uniknąć nie tylko raka jelita, lecz także cukrzycy typu II i chorób serca oraz naczyń krwionośnych.

Dodajmy do tego bogate w kwasy omega-3 oleje rzepakowy i arachidowy oraz owoce i warzywa. Co do tych ostatnich wyniki badań ANSES niczego nie dodają – najlepsze są takie, które zawierają mało cukru, a dużo zdrowego włókna.

Teraz sprawa napojów słodzonych – nie tylko gazowanych i sztucznych, lecz także pozornie zdrowych, ale dosładzanych soków owocowych. Tutaj wyrok jest surowy: nie więcej niż szklanka dziennie. Temu niewinnemu z pozoru ograniczeniu towarzyszy groźne ostrzeżenie: „Dzienne spożycie jednej szklanki takich napojów powoduje podwyższone o 20 proc. w porównaniu z osobami, które ich nie piją, ryzyko rozwinięcia cukrzycy II typu oraz chorób serca i naczyń".

FOT. PIXABAY

Komu choroby niestraszne, na tego może podziała groźba przyrostu wagi: tylko jedna codzienna szklanka słodkiego soczku czy coli powoduje, że rocznie przybędzie nam 200 g. W ogóle jeśli chodzi o cukier, to mamy nie przekraczać 100 g dziennie. Jednak o tym, że cukier to biała śmierć, wiemy od dawna.

Czarny punkt francuskiego raportu to zanieczyszczenie jedzenia. Metale ciężkie, pestycydy, hormony to „powód do troski" – jak dyplomatycznie formułują to naukowcy.

W celu zmniejszenia szkodliwości tych paskudztw proponują możliwie jak największą „dywersyfikację" produktów. Jak to zrobić? Tego niestety nie mówią.

Uprawiać ogródek z dala od cywilizacji? Kto może, ten niech ucieka. Tylko dokąd? ©℗

epress.pl 2088586fa3

NASZ TEST: SUZUKI IGNIS

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (3)

SUV-ów i crossoverów przybywa na rynku w błyskawicznym tempie. W czasach, gdy praktycznie każdy producent samochodów ma w ofercie małą miejską terenówkę, każdy szuka też swojej niszy. Nie jest to łatwe zadanie, ale trzeba przyznać, że projektantom z Suzuki udało się stworzyć coś oryginalnego. Japoński crossover w wersji mini ma niewielką konkurencję i jest idealną propozycją dla tych, którzy szukają filigranowego samochodu z charakterem, łączącego cechy małego auta i terenówki.

Oryginalna pudełkowata stylistyka sprawia, że Ignis zalicza się do modeli, które się kocha albo których się nienawidzi. Dość wysoki (niemal 1,6 m), lecz krótki (3,7 m) na pierwszy rzut oka sprawia wrażenie, jakby Japończycy odnaleźli niedawno na deskach kreślarskich kilka ciekawych projektów z ubiegłego wieku i dostosowali je do realiów XXI w. Na parkingu i na drodze odjechany crossoverek w stylu retro budzi więc zasłużenie spore zainteresowanie (podobnie jak trzy paski na tylnych błotnikach przypominające logo znanego producenta odzieży sportowej). I może znacząco obniżyć średnią wieku klientów Suzuki.

W KABINIE

Wnętrze małego szalonego japończyka jest oryginalne i pełne przemyślanych detali. W wersji elegance na drzwiach zobaczymy więc m.in. ciekawie skomponowane białe i czarne plastiki, rączki w stylu retro i polakierowany na pomarańczowo tunel centralny.

Deska rozdzielcza jest przejrzysta, zegary czytelne, a stylizowane na lotnicze przełączniki dodają Ignisowi oryginalności.

Ogólnie jak na taką miniaturkę kabina Ignisa jest bardzo przestronna. Dużo miejsca jest zwłaszcza z przodu, ale z tyłu dwie, nawet wysokie, osoby będą podróżować w całkiem komfortowych warunkach. Przednie fotele są wygodne i dobrze wyprofilowane (w droższych wersjach mogą być podgrzewane). W odmianie czteroosobowej Ignisa tylne fotele można zaś niezależnie przesuwać.

Bagażnik ma 260 l (204 l w wersji 4 x 4). To bardzo mało, ale wystarczy, aby zrobić niewielkie zakupy, a nawet by na krótko wyskoczyć za miasto. Po złożeniu tylnych foteli pojemność kufra rośnie do niemal 1,1 tys. l.

JAZDA

Na miejskich drogach terenowy maluch sprawuje się bardzo dobrze. Jest zwrotny i w praktyce wydaje się bardziej żwawy, niż można by się spodziewać, zerkając na specyfikację techniczną (benzynowy wolno ssący silnik o pojemności 1,2 l i mocy 90 KM ważące niecałe 900 kg autko rozpędza od 0 do 100 km/godz. w ciągu ok. 12 s).

Układ kierowniczy jest wystarczająco precyzyjny, a autko zachowuje się stabilnie. Nieźle radzi sobie również pięciobiegowa manualna skrzynia. Niestety, na autostradzie, przy wyższych prędkościach, w kabinie robi się już jednak zdecydowanie za głośno. Podczas szybkiej jazdy trzeba też być przygotowanym na to, że leciutkie, wysokie auto jest dość wrażliwe na silne boczne podmuchy wiatru.

Zaletą japońskiego crossoverka jest aż 18 cm prześwitu. To bardzo dużo jak na miniaturkę terenówki. Bez obaw możemy więc Ignisem podjechać pod wyższy krawężnik, pojechać polną drogą na podmiejską działkę lub odwiedzić przyjaciół, którzy postanowili wybudować dom w miejscu, gdzie asfaltu nie będzie jeszcze długo. Zawieszenie jest jednak bardzo sztywne, przez co jazda po dziurawych nawierzchniach nie jest zbyt komfortowa.

Na pochwałę zasługuje za to spalanie. Podczas naszego testu w cyklu mieszanym wyniosło ono zaledwie 5 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

Wyższa pozycja za kierownicą daje większe pole widzenia. Niewielkie wymiary ułatwiają zaś manewry na parkingach. W testach Euro NCAP Suzuki Ignis zdobył różne oceny w zależności od wersji wyposażenia. W standardzie model ten otrzymał jedynie trzy gwiazdki na pięć. Wersja wyposażona w opcjonalne funkcje zwiększające bezpieczeństwo – takie jak system zapobiegania kolizjom lub ostrzegania o niezamierzonej zmianie pasa ruchu – zdobyła już komplet gwiazdek.

CENA

Najtańszy nowy Ignis z napędem na jedną oś i pięciobiegową skrzynią manualną kosztuje 49,9 tys. zł. Ceny Ignisa z napędem na cztery koła wahają się w zależności od wersji wyposażenia od 61,9 tys. zł do 68,9 tys.

KONKURENCI

Fiat Panda Cross 4 x 4, Mini Cooper Countryman, Mitsubishi ASX, Nissan Juke, Opel Adam, Skoda Yeti. ©℗

JACEK PRZYBYLSKI

eprasa.pl 2088586fa3

Odkryj
nowe oblicze zimy
z Rentis

GAZELE BIZNESU 2016
17. EDYCJA RANKINGU NAJBARDZIEJ DYNAMICZNYCH MAŁYCH I ŚREDNICH FIRM
Puls Biznesu

RENTIS
Smart way to rent a car

+48 720 200 500 www.rentis.pl info@rentis.pl

OGÓLNOPOLSKA WYPOŻYCZALNIA SAMOCHODÓW

BIAŁYSTOK +48 519 535 331 **BYDGOSZCZ** +48 519 535 300 **GDAŃSK** +48 519 535 311 **GORZÓW WLKP** +48 519 535 327
KATOWICE +48 519 535 301 **KIELCE** +48 519 535 304 **KRAKÓW** +48 519 535 305 **LUBLIN** +48 519 535 318 **ŁÓDŹ** +48 519 535 308
OLSZTYN +48 519 535 314 **OPOLE** +48 519 535 309 **PŁOCK** +48 519 535 334 **POZNAŃ** +48 519 535 303 **RZESZÓW** +48 519 535 306
SZCZECIN +48 519 535 310 **WARSZAWA** +48 519 535 302 **WROCŁAW** +48 519 535 307

eprasa.pl 2088586fa3

MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Opór za wszelką cenę

MARCIN MAKOWSKI: Właściwie z tygodnia na tydzień amerykańska opozycja „antytrumpowa" rośnie w siłę. Niedawno na dźwigu przed Białym Domem aktywiści rozwiesili wielki baner z hasłem „RESIST". Do czego może doprowadzić ich opór?

MATTHEW TYRMAND: Do czego może prowadzić, nie wiem, ale ważne, gdzie jest jego źródło. Moim zdaniem w bezsilności demokratów, którzy tracą poparcie w amerykańskiej klasie średniej. Donald Trump w pierwszym tygodniu urzędowania spotkał się z przedstawicielami związków zawodowych, którzy wyszli bardzo zadowoleni, twierdząc, że można się dogadać z nową administracją. Trump po prostu zawładnął masami. Ludzie, którzy wieszają podobne banery, to amerykański odpowiednik lemingów z Wilanowa. Za nimi stoją rozkrzyczane i wpływowe media, część waszyngtońskiego establishmentu, środowiska akademickie.

Powtarzasz starą śpiewkę. „Złe elity, złe media". Steve Bannon powiedział ostatnio w jednej z rozmów, że liberalne media „powinny się zamknąć". Dziwisz się ich reakcjom?

Ha, dobrze, że o tym wspomniałeś. Właśnie tutaj leży sedno problemu. „New York Times" wyciął z dłuższej wypowiedzi jedno zdanie i dorobił do niego własną interpretację. Tymczasem Bannon stwierdził, że wielu dziennikarzy przestało słuchać głosu Amerykanów, nie ma pojęcia, że straciło kontakt ze swoimi odbiorcami i być może, gdyby dla odmiany na chwilę się zamknęło, ktoś by wreszcie zrozumiał, na czym polegała porażka Hillary Clinton.

A więc otwarta wojna. Szef strategii Białego Domu odsądza media od czci i wiary, one w zamian nazywają go już wprost „nazistą". Będzie tylko gorzej?

W zeszłym tygodniu byłem w Nowym Jorku na konferencji, w której uczestniczyły dwa duże lewicowe think tanki, Liga przeciwko Zniesławieniu i Southern Poverty Law Center. Przez trzy godziny prześcigano się w dyskusji, kto jest większym nienawistnikiem – Bannon czy Trump. Ten pierwszy został nazwany wcieleniem zła i twórcą IV Rzeszy. Wprost nawoływano do oporu społecznego i impeachmentu prezydenta. Tak, będzie gorzej, bo wpływowi ludzie w USA nie mogą dopuścić myśli, że ich wizja świata przegrała. Czas dorosnąć.

Czego twoim zdaniem doczekamy się w kwestii stosunków USA z Unią Europejską? Administracja Trumpa i on sam nie kryją opinii, że UE w obecnym kształcie musi upaść. To nie jest dobra informacja dla Polski.

Nic nie poradzę, że takie są fakty. We Francji najpewniej wygra Marine Le Pen, w Holandii Geert Wilders, Grecja znowu pogrąża się w recesji. Wielka Brytania już zaczyna odczuwać pozytywne skutki Brexitu i negocjuje ze Stanami lepsze umowy handlowe. Europa w wersji brukselskich elit umiera, czy to się komuś podoba, czy nie. Polska nie może liczyć, że obecność w Unii, zdominowanej przez Niemcy i Francję, jest projektem z wielką przyszłością. Historia ponownie przechyla się w kierunku państw suwerennych i narodowych, ponieważ iluzja superpaństwa i globalizmu się nie sprawdza, gdy trzeba bronić własnych interesów. Ona jest korzystna jedynie dla silnych.

Może zatem, zamiast niszczyć Unię, należy ją zreformować? Trump proponuje lek, który może zabić pacjenta. Podobnie jak w przypadku ograniczeń migracyjnych, które były tak nieudolnie napisane, że spowodowały chaos komunikacyjny na amerykańskich lotniskach.

Zgadzam się, że można to było urządzić lepiej pod względem logistycznym, ale sama idea była moim zdaniem słuszna. I nie miała niczego wspólnego z dyskryminacją religijną – jak niektórzy starają się to ludziom wmówić. Trump po prostu czasowo zakazał przylotu migrantom z siedmiu krajów, które Barack Obama uznał za największe zagrożenia pod względem terrorystycznym dla USA. Gdyby chodziło o muzułmanów, to trzeba by do tej listy dodać Indonezję, Malezję, Egipt etc. Ameryka musi dokładnie zbadać proces przenikania radykałów na naszą ziemię, właśnie po to, aby nie powtórzyły się wypadki podobne do masakry w San Bernardino. ©℗

ROZMAWIAŁ **MARCIN MAKOWSKI**

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl 2088586fa3

Dziękujemy, że byli Państwo z nami!

republika

Wicepremier
Mateusz Morawiecki
Człowiek Roku 2016
"Gazety Polskiej"

Prezes Rady Ministrów
Beata Szydło
Laureatka Nagrody Klubów
"Gazety Polskiej"

Profesor
Sławomir Cenckiewicz
Laureat Nagrody
im. św. Grzegorza I Wielkiego

Gala Gazety Polskiej Człowiek Roku 2016, 30 stycznia 2017
relacja NA ŻYWO

eprasa.pl 20885586fa3

OKIEM BLOGERKI

Bez „ale”

KATARYNA

„GAZETA WYBORCZA”: *Jako prezydent Wałęsa otoczył się służbami specjalnymi, obalił rząd Olszewskiego, zablokował lustrację i wyrwał dokumenty z teczki „Bolka”, zbierał haki na Kaczyńskich, Merkla i Borusewicza. Czy to jest prawda o Wałęsie? Niewątpliwie tak. Ale...*

Po 25 latach – bo tyle minie w tym roku od pierwszego pojawienia się „Bolka” w debacie publicznej – mam już serdecznie dość wysłuchiwania kolejnych „ale” za każdym razem, gdy temat wraca. A przecież „Gazeta Wyborcza” i tak była bardzo delikatna, do dorobku „Bolka” trzeba przecież dorzucić niedające się szanować wyroki sądów, medialne kampanie nienawiści przeciwko każdemu, kto „Bolka” powiązał z Wałęsą, ataki władzy na uczelnię i historyków piszących o „Bolku” i wreszcie smutną historię Adama Hodysza („Proszę nie wymieniać przy mnie imienia »Bolek«. Dwa razy straciłem przez to pracę, a raz ledwie uszedłem z życiem”) oraz wyzwiska, jakimi Wałęsa hojnie obdarzał uczciwszych i odważniejszych od siebie.

Tak jak większość pięknoduchów tęsknię za legendą. I to nie IPN, ale sam Wałęsa mi ją odebrał

Usiłuję sobie przypomnieć, kiedy ostatnio Lech Wałęsa był „legendarnym przywódcą Solidarności”, a nie drobnym krętaczem miotającym się bezładnie w teczce „Bolka”, i nie pamiętam. Może to było w 2002 r., kiedy na ceremonii otwarcia igrzysk w Salt Lake City niósł flagę olimpijską jako przedstawiciel Europy? Tak jak większość pięknoduchów tęsknię za legendą. I to nie IPN, ale sam Wałęsa mi ją odebrał.

Wałęsa o ofiarach swoich donosów: *Jeszcze raz o donosach. Problem polega na tym, że nawet na donos to trzeba zasłużyć. Pani zobaczy, co tam za nazwiska są. Połowę ludzi w donosach znam, nic nie znaczyli w tamtym czasie i dziś nie znaczą.*

Wałęsa o Bogdanie Borusewiczu: *On mi wiele złego narobił, dotychczas mu odpuszczałem, ale ponieważ chce przywłaszczyć moje zwycięstwa, to należy wyjaśnić, jaka była rola Borusewicza. Prowokator? Agent czyjś? Czy po prostu nieznający się na rzeczy? Jego wystawienie mnie do prowadzenia było po to, by mnie zamknięto.*

Wałęsa o Andrzeju Gwieździe: *Wśród materiałów, które dostałem z IPN, jest taki, który pokazuje, jak to naiwnie dał się wpuścić w kanał współpracy z SB Andrzej Gwiazda i jego grupa. To, co robi ostatnio, też wygląda na inspirowane. Albo na zwykłe obsesje. Mam nadzieję, że ci, którzy mieli wątpliwości, a i bardzo szkodzili, wspierając SB, jak Joanna i Andrzej Gwiazdowie, Anna Walentynowicz i inni w świetle faktów i dokumentów, zaznajamiając się z nimi, zdobędą się na głośne „przepraszam”. Na te proste znaczące słowa po latach podejrzeń i oskarżeń.*

Miałam nadzieję, że ostatnie ustalenia grafologów pozwolą skończyć ten chocholi taniec wokół Wałęsy, ale my się chyba nie umiemy z tym zmierzyć. Wśród licznych hołdów, jakie politycy i komentatorzy publicznie składają dziś „pokrzywdzonemu” Wałęsie, przeważa „szacunek za wszystko”. A ja „za wszystko” szanować nie umiem. Chociaż szanować „mimo wszystko” mogłabym się postarać. Gdyby Wałęsa choć trochę mi pomógł. ©℗

PODSŁUCHANE

Dzielnica Radom

Śmielej, Mariusz, śmielej! Szerzej zakreślaj!
Ale jak szerzej?

No, tu, na północy, weź tu zaznacz.
Ale Jarku, to jest Ostrów Mazowiecka.

A nie, to trochę za daleko. Mnie o Ząbki chodziło.
Dlaczego akurat Ząbki?

Bo z Ząbek jest Sasin. Sasina się wypchnie, żeby ten projekt zaprezentował, a jakby miał być znowu kandydatem na prezydenta, to już nie będzie gadania, że nie jest z Warszawy. Będzie z Warszawy, a konkretnie z Warszawy-Ząbek.
Aha. Sprytne, Jarku, sprytne. A w tę stronę? Na południe, znaczy?

Pokaż, bo nie widzę dobrze bez okularów... Tu co jest?
Warka.

Ja bym się nie wahał, ale może w pierwszej wersji zatrzymamy się na Górze Kalwarii.
W pierwszej wersji? A w następnej?

W następnej nie będziemy się hamować. Co to jest to duże?
Radom.

Radom, powiadasz... Tam siedzi ten, jak mu tam, Struzik, tak?
Siedzi.

No. No to zrobimy mu numer i za jakiś czas będzie siedział nie w mieście Radom, ale w dzielnicy Radom. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Tu już nie ma demokracji, znaczy demokracji ślady, resztki i ja wiem... Jakaś przestrzeń istnieje, w końcu się tu zbieramy, mówimy...”.

WIESŁAW WŁADYKA,
publicysta, w Radiu TOK FM

eprasa.pl 2088586fa3

Niesprawiedliwość

fot. Jerzy Gumowski

Sędziowskie bagno III Rzeczypospolitej jest bękartem lub też, jak kto woli, pokłosiem sędziowskiego szamba PRL–u. Działacz antypeerelowskiej opozycji, znany architekt Czesław Bielecki, diagnozując to bez taryfy ulgowej wyraża opinię powszechną: *„Nie mamy sądów z prawdziwego zdarzenia. Sprawnych, szybkich, sprawiedliwych. Jedyna niezawisłość, której tak starannie broni znaczna część korporacji prawników, to kompletna niezależność sędziów od uczciwości, od bezstronności i od elementarnego zdrowego rozsądku, łącznie: od sprawiedliwości”* (2016). Wielu ludzi uważa, że to wskutek braku dekomunizującej/deubekizującej weryfikacji tego środowiska, która winna być dokonana z całą bezwzględnością już w pierwszych latach III RP. Jasno tę kwestię zlapidaryzował politolog Antoni Dudek: *„ — Błąd popełniono na samym początku lat 90., gdy nie przeprowadzono weryfikacji sędziów. Zaniechanie tego było błędem z prostego powodu — jeżeli w korpusie sędziowskim byli nawet w czasach PRL ludzie o sympatiach wolnościowych, to w latach 80. zostali z hukiem wyrzuceni z sądownictwa, gdyż nie dawali gwarancji działania zgodnie z intencjami władzy. W efekcie pod koniec lat 80. sądownictwo zostało gruntownie wyczyszczone z ludzi myślących niezależnie. Pozostali sędziowie lojalni wobec władzy (...) Trzeba było na początku lat 90. usunąć najbardziej skompromitowanych sędziów, żeby reszta zobaczyła, iż dostaje szansę na pracę w państwie demokratycznym”* (2016).

Jeśli z tak ewidentnych przyczyn trzeba było oczyścić tę *„stajnię Augiasza”* — to czemu tego wówczas nie zrobiono? Przez opór *„autorytetów”*, również branżowych, czyli sądowniczych. Ówczesny szef Sądu Najwyższego, prof. Adam Strzembosz, głosił, że środowisko prawnicze oczyści się samo, a gdyby nie, to *„nieuchronna wymiana pokoleniowa rozwiąże problem”*. Politycy również byli tego zdania. Grażyna Staniszewska (czołowa działaczka UD/UW) biadoli dziś: *„ — Liczyliśmy naiwnie na samooczyszczenie sądownictwa. Niestety, nikt sam się nie oczyści”* (2016). Dominik Zdort: *„Jak wiemy — takie samooczyszczenie nigdy nie nastąpiło. Czego smutne skutki odczuwamy do dzisiaj”* (2016). Są to skutki nie tylko tego (prof. Dudek: *„ — Dzisiaj sedno problemu nie tkwi już w biografiach, ale w złej organizacji pracy”*), lecz faktem jest, że tamte dawne układy, koneksje, szemrane zakulisowe wpływy tudzież intrygi wciąż grają w sądownictwie pierwsze skrzypce, stanowiąc zasadnicze tryby owego „interesu”. A przy tym jego ociężałe biurokratyczne młyny mielą tak wolno, iż jest to chyba rekord świata — jako dowód wskazuje się wyroki, które zapadły po 17 latach trwania procesu! Wiceminister sprawiedliwości Patryk Jaki: *„ — Tym bardziej jest to dziwne, że posiadamy jedną z największych grup sędziów w Europie, a mimo to jesteśmy na jednym z ostatnich miejsc jeśli chodzi o szybkość spraw. Do tego często wyroki są tak niesprawiedliwe, tak bulwersujące, że nikt nie umie tego wytłumaczyć. Polski wymiar sprawiedliwości fatalnie działa”* (2016). O czym głośno bywa nie tylko w Polsce. Polski imigrant został przez brytyjski sąd skazany za brutalny gwałt (*„gwałt ze szczególnym okrucieństwem”*) na dożywocie, a dla władz brytyjskich szokującą była informacja, że wcześniej ten sam człowiek dostał od polskiego sędziego za dokładnie takie samo przestępstwo… trzy lata więzienia w zawieszeniu! Karnista Jacek Czabański: *„ — Polskie prawo jest zbyt liberalne. Na przykład wbicie komuś noża w plecy, lub skakanie przez sprawców po głowie ofiary, traktowane jest przez nasze sądy nie jako morderstwo, tylko jako «pobicie ze skutkiem śmiertelnym», dużo łagodniej karane”* (2016). To dlatego mówi się o *„prawie bezzębnym”* nad Wisłą, a nie tylko dlatego, że od lat państwo nie umie dać sobie rady z pijanymi kierowcami rozjeżdżającymi ludzi, czy choćby tylko z grupką bandziorów potrafiących uniemożliwić tysiącom kibiców obejrzenie Ronaldo na żywo (stadionowo) zamiast w TV.

∞

Sebastian Florian Klonowic (XVI wiek): „Prawo bez sprawiedliwości być nie może”

∞

Nawet dzieci wiedzą, że *„ryba psuje się od głowy”*. Ileż w ciągu minionego ćwierćwiecza III RP widzieliśmy skandalicznych wyroków Sądu Najwyższego! Chociażby w sprawie Mariana Jurczyka, szefa szczecińskiej „Solidarności”, ewidentnego agenta SB (TW *„Święty”*), którego SN wybielił mimo stosu pisanych odręcznie donosów i pokwitowań jurgieltu. Albo w sprawie Józefa Oleksego, którego SN rozgrzeszył z *„lustracyjnego kłamstwa”*, bo pan premier *„wskutek błędu”* (sic!) nie domyślił się czym była jego dawna praca dla AWO (Agenturalnego Wywiadu Operacyjnego). Albo w sprawie Beaty Sawickiej, którą SN uniewinnił, mimo iż cała Polska widziała (dzięki filmowi nagranemu ukrytą kamerą) jak ta aktywistka PO bierze sutą łapówkę. Albo w sprawie OFE, gdy SN uznał, że składki wpłacane tam nie są prywatnymi pieniędzmi (chociaż podlegały rodzinnemu dziedziczeniu!). Nawet były boss Trybunału Konstytucyjnego, Jerzy Stępień, publicznie wówczas parsknął, iż *„w tej sprawie Sąd Najwyższy się pomylił”*. Wielki królewiecki myśliciel, Immanuel Kant, pisał, że fundamentalną rolą karania jest *„wymierzenie sprawiedliwości”*, a kiedy kary nie ma — *„triumfuje niesprawiedliwość”*. Od bardzo dawna powtarzam swą publicystyką, że w Polsce istnieje prawo, lecz nie istnieje sprawiedliwość. Ugrupowanie partyjne, którego nazwa zawiera obie te rzeczy, winno bezbłędnie rozumieć nadrzędność tej drugiej.

Przy czym trzeba pamiętać, że gangrenująca Polskę niesprawiedliwość to nie tylko kwestia złych wyroków sądowych lub zaniechań trybunalskich, czyli jurysdykcyjnych kalectw, tąpnięć wymiaru sprawiedliwości — lecz także kwestia braku sprawiedliwości w działaniach innych organów, chociażby administracyjnych, fiskalnych czy ekonomicznych o rozmaitym charakterze. Gąszcz sprzecznych przepisów lub biurokratyczna samowola. Klasycznym przykładem takiej niesprawiedliwości jest głośny casus Romana Kluski, twórcy firmy Optimus. Jako nieukorzeniony w naszych dawnych *„służbach”* — mocno drażnił oligarchiczny establishment gospodarczy III RP. Trzeba go więc było *„wyautować”*. Po barbarzyńskich interwencjach aparatu państwowego majątek czołowego biznesmena (katolika i patrioty) zmalał z 12,5 mld zł do ledwie 250 mln, eliminując go nie tylko poza czołówkę, lecz nawet poza pierwszą tudzież drugą ligę, i „właściwy” *„porządek”* został przywrócony. Gdy morderca księdza Jerzego Popiełuszki bierze w III RP pokaźną emeryturę — to też jest krzycząca niesprawiedliwość oraz jawny dowód, że wciąż panoszy się postpeerelowskie bezpieczniactwo. Kiedy awansują ustosunkowani, a nie uzdolnieni — mamy ewidentny sabotaż tzw. *„sprawiedliwości społecznej”*, vulgo: olewanie tej *„równości szans”*, którą cesarz Napoleon wprowadził jako kluczową regułę już ponad dwieście lat temu. Miejsce mi się kończy, więc jeszcze tylko okrzyk: precz z niesprawiedliwością! ©℗

Waldemar Łysiak

PS. Felieton ten został napisany przed końcem listopada i czekał w kolejce do druku. 20 stycznia minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro zapowiedział publicznie dużą uzdrawiającą/usprawniającą reformę sądownictwa, która ma zlikwidować główne patologie systemu jurysdykcyjnego.

eprasa.pl 2088586fa3

Mam małą firmę. Wybrałem InsERT nexo

SPRAWDŹ

pobierz.insert.com.pl

eprasa.pl 2088586fa3